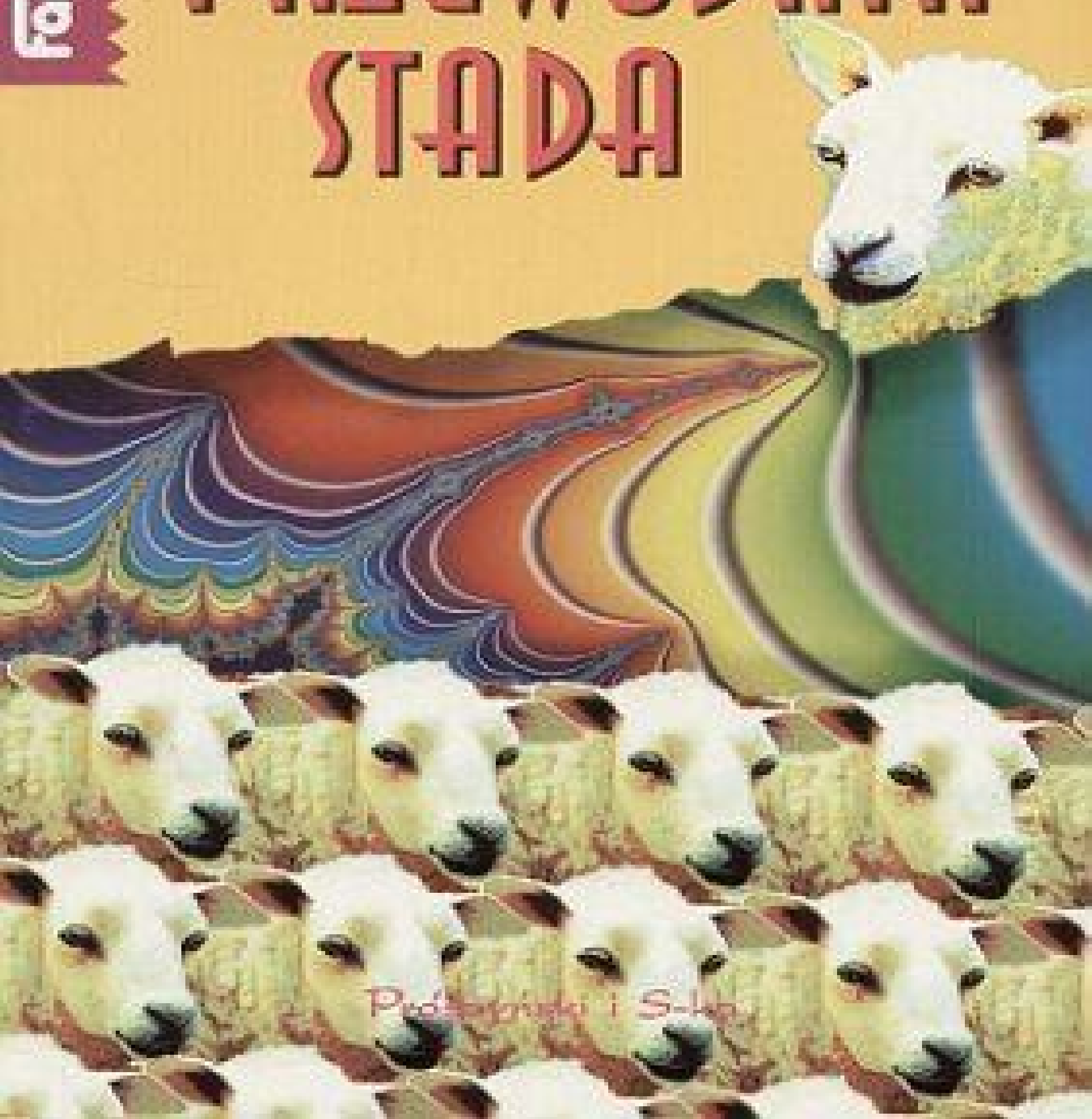


Nowa
fantastyka

Connie Willis

PRZEWODNIK STADA



Przewodnik i Stado

Connie Willis

Przewodnik Stada

(przełożyli Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski)

Spis treści

[1. Początek](#)

[2. Strumyk](#)

[3. Dopływy](#)

[4. Bystrzyny](#)

[5. Główne koryto](#)

1. Początek

Bracia i siostry, męże i żony
Idą za fletem w tan szalony.

Robert Browning

Hula-hoop (marzec 1958 - czerwiec 1959)

Prototyp wszystkich manii komercyjnych. Niesamowity sukces, jakiego później nigdy nie udało się powtórzyć. Pierwotnie była to drewniana obręcz używana w Australii na lekcjach gimnastyki. Firma Wham-O zastosowała do jej konstrukcji plastik w jaskrawych kolorach i zaczęła sprzedawać po 1,98 dolara, dla dorosłych i dla dzieci. Hula-hoop kręciło się na biodrach zakonnic, gwiazd Hollywood, gejsz, cesarzowej Jordanii i szarych ludzi, powodując dyslokację bioder, nadwężenie karku i wypadanie dysków. Rosja i Chiny wykleły tę zabawkę jako "twór kapitalistyczny"; grupa belgijskich podróżników zabrała dwadzieścia sztuk na biegun południowy (dla pingwinów?); na całym świecie sprzedano ponad pięćdziesiąt milionów sztuk. Szał wygasł równie szybko, jak powstał.

Uchwycenie początkowego momentu danej manii jest prawie niemożliwe. Każda moda i szał ma zazwyczaj źródła w głębokiej przeszłości i dotarcie do nich to przedsięwzięcie znacznie trudniejsze niż dotarcie do źródeł Nilu.

Po pierwsze, w wypadku mody istnieje prawdopodobnie kilka źródeł, a po drugie, stykamy się tu z bogactwem ludzkich zachowań. Speke i Burton mieli do czynienia jedynie z krokodylami, wodospadami i muchą tse-tse. Po trzecie, wiemy, jak

funkcjonują rzeki, jak płyną od źródła do ujścia. Mania natomiast wybucha znikąd i jakby bez powodu. Na przykład skoki na elastycznej linie. Albo lampy wulkaniczne.

To samo dotyczy odkryć naukowych. Ludzie na ogół myślą, że nauka to racjonalne rozumowanie, systematyczne kroki od pierwotnej hipotezy przez eksperyment do ostatecznych wniosków. Doktor Chin, któremu w ostatnim roku przyznano Grant Niebnitza, napisał: "Proces odkrycia naukowego jest logicznym przedłużeniem obserwacji przez eksperyment".

Nic bardziej niezgodnego z prawdą. Ten proces przypomina inne ludzkie osiągnięcia - jest bezładny, często prowadzi w niewłaściwych kierunkach, decydującą rolę gra w nim przypadek. Przypomnijmy sobie Aleksandra Fleminga - odkrył penicylinę, bo przez okno do jego laboratorium wleciał zarodnik pleśni i zakaził kultury bakteryjne.

Albo Roentgen. Pracował z lampą katodową otoczoną czarnymi kartonami, gdy zauważył błysk po przeciwnej stronie laboratorium. To świecił papier pokryty warstwą platynocyjan-ku baru, mimo że nie padało na niego światło lampy. Zaciekawiony fizyk wsunął rękę między lampę a ekran i zobaczył zarys kości własnej dłoni.

Przypomnijmy sobie Galvaniego. Badając układ nerwowy żaby, odkrył prąd elektryczny. Albo Messier. Nie szukał galaktyk, ale je znalazł. Poszukiwał komet. Naniósł galaktyki na mapy nieba tylko po to, by podczas dalszych obserwacji już się nimi więcej nie zajmować.

Nie znaczy to jednak, że doktor Chin nie zasługuje na mi-liondolarowe finansowanie z Grantu Niebnitza. Nie musimy rozumieć, jak coś działa, byśmy potrafili to robić. Na przykład prowadzić

samochód. Zainicjować jakąś modę. Zakochać się.

O czym to ja mówiłam? Aha, o tym, jak powstają odkrycia naukowe. Prowadzący do nich ciąg wydarzeń - podobnie jak ciąg wydarzeń prowadzących do powstania manii - jest zwykle tak zawiły i chaotyczny, że trudno go prześledzić. Ja jednak wiem dokładnie, jak zaczął się jeden z nich i kto go rozpoczął.

Było to drugiego października, w poniedziałek. O dziewiątej rano. W laboratorium statystycznym HiTeku zmagalam się z pudłem wycinków prasowych na temat krótkich fryzur. Zapomniałam się przedstawić: nazywam się Sandra Foster, pracuję w HiTeku, w dziale Badań i Rozwoju. Cały weekend przeglądałam pożółkłe gazety z lat dwudziestych, "The Saturday Evening Post" i "The Delineator", pracowicie usiłując dobrać do początków szaleństwa krótkich włosów, usiłując ustalić, co spowodowało, że wszystkie Amerykanki nagle obcięły swe "wspaniałe sploty", nie bacząc na nacisk społeczny, wygłaszane wszędzie morały i trwającą cztery tysiące lat tradycję włosów długich.

Zgromadziłam mnóstwo nowego materiału: artykułów, ogłoszeń, odsyłaczy. Poklasyfikowałam je według dat i kategorii. Flip zwinęła mi zszywacz, Desiderata nie mogła znaleźć drugiego, więc włożyłam wszystko w stos do pudła i teraz taszczyłam je do swego gabinetu.

Było ciężkie. Wykonali je ci sami ludzie, którzy produkują papierowe torby dla supermarketów, więc gdy cisnęłam je na ziemię przed laboratorium, by otworzyć drzwi, rozerwało się z jednej strony. Częściowo je niosłam, częściowo ciągnęłam do stołu. Już kładłam na nim cały materiał, ale pudło nagle pękło.

Przez rozerwany bok ruszyła lawina wycinków. Nie zdążyłam wtłoczyć jej z powrotem do środka. Schyliłam się, gdy drzwi otworzyły się na oścież i weszła naburmuszona Flip. Usta miała pomalowane na czarno, na sobie czarny gorset i krótką czarną spódniczkę ze skóry. Dźwigała karton podobny do mojego.

- Dostarczanie paczek nie należy do moich obowiązków - powiedziała. - Pani sama powinna to sobie zabrać z sekretariatu.

- Nie wiedziałam, że mam przesyłkę - odparłam. Jedną ręką trzymałam swoje pudło, drugą sięgałam po leżącą na środku stołu taśmę klejącą. - Proszę to gdzieś postawić.

Wywróciła oczyma.

- Powinni wysłać zawiadomienie, że nadeszła do pani paczka.

Jasne, pomyślałam zła, a do twoich obowiązków należy doręczanie zawiadomień. To wyjaśnia, dlaczego go nie dostałam.

- Czy mogłabyś mi podać taśmę? - poprosiłam.

- Do obowiązków asystentów międzywydziałowych nie należy spełnianie osobistych usług ani podawanie pracownikom kawy - oświadczyła Flip.

- Przysunięcie taśmy nie jest osobistą usługą. Flip westchnęła.

- Ja jestem od dostarczania poczty międzywydziałowej.

Odgarnęła włosy. Tydzień temu ogoliła sobie głowę, ale zostawiła długie pasmo z przodu, najprawdopodobniej po to by odrzucać je, gdy czuła się wykorzystywana.

Flip to moja kara za próbę zwolnienia jej poprzedniczki, Desideraty. Tamta była bezmyślna, tępa i zupełnie pozbawiona inicjatywy. Mylnie dostarczała pocztę, błędnie zapisywała przekazywane mi wiadomości, trwoniła cały czas na oglądanie rozdwojonych końców swych włosów. Pracowała ze mną dwa miesiące. Wreszcie gdy pomyliła telefony, przez co straciłam rządowy grant, poszłam do Dyrekcji, zażądałam jej zwolnienia i przyjęcia kogoś innego. Kogokolwiek. Wychodziłam z założenia, że gorszej osoby już być nie może. Jakże się myliłam!

Dyrekcja przesunęła Desideratę do Działu Zaopatrzenia (w HiTeku nikogo się nie zwalnia z wyjątkiem uczonych, ale nawet my nie dostajemy różowej karteczki oznaczającej zwolnienie; nasze projekty badawcze zostają po prostu anulowane z powodu braku funduszy) i zatrudniła Flip, dziewczynę z kółkiem w nosie oraz tatuażem przedstawiającym sowę białą. Miała zwyczaj wzdychać i przewracać oczyma, gdy się ją o cokolwiek poprosiło. Nie występuję o jej zwolnienie. Boję się. Nigdy nie wiadomo, kogo przyjmą na jej miejsce.

Flip głośno westchnęła.

- Ta paczka jest naprawdę ciężka.

- Więc ją postaw - poradziłam, wyciągając rękę po taśmę.

Była niemal w moim zasięgu. Powoli przesuwałam dłoń, przytrzymując równocześnie bok pudła i głębiej pochylając się nad stołem. Palcami już prawie dotykałam taśmy...

- To jest kruche - oświadczyła Flip, podchodząc do mnie i upuszczając paczkę.

Wyciągnęłam obie ręce, by pochwycić pakunek, ale rąbnął o stół. W moim pudle odpadł bok i papiery wysypały się na podłogę.

- Następnym razem niech sobie pani sama to przyniesie. - Flip pomaszerowała do drzwi, depcząc po wycinkach.

Potrząsnęłam paczką, by przekonać się, czy nic się nie stłukło. Nic podejrzanego nie usłyszałam. Spojrzałam na wierzch przesyłki. Nie napisano nigdzie: "Ostrożnie szkło!", wydrukowano natomiast: "Materiał nietrwały!" I zaadresowano do doktor Alicji Turnbull.

- To nie do mnie - stwierdziłam, ale Flip była już za drzwiami. Przeszłam przez papiery i krzyknęłam: - To nie moja paczka! Jest adresowana do doktor Turnbull z Biologicznego.

Westchnęła.

- Musisz to zanieść do doktor Turnbull - tłumaczyłam. Przewróciła oczyma.

- Najpierw muszę dostarczyć resztę poczty międzywydziałowej - odparła, odrzucając pukiel z czoła.

Począpała korytarzem, upuszczając po drodze dwie przesyłki.

- Jak wszystko rozniesiesz, żebyś mi tu wróciła i zabrała paczkę! - zawołałam za nią. - To materiał wrażliwy - dodałam. Uświadomiłam sobie jednak, że nieuctwo jest w modzie, a "materiał wrażliwy" to słowa trzysylabowe. - Może zgnić - wyjaśniłam.

Ogolona głowa nawet się nie odwróciła. Otworzyły się natomiast drzwi w połowie korytarza i wychyliła się z nich Gina.

- Co ona tym razem zrobiła? - spytała.

- Podanie taśmy zalicza się teraz do osobistych posług - poinformowałam ją.

Gina podeszła bliżej.

- Dotarło to do ciebie? - Wręczyła mi niebieską karteczkę. Ogłoszenie o zebraniu. Sobota. Stołówka. Wszyscy pracownicy HiTeku, wydziały Badań i Rozwoju również. - Flip miała to wszystkim dostarczyć.

- Co ma być na tym zebraniu?

- Dyrekcja organizuje kolejne seminarium - powiedziała. - To oznacza ćwiczenie wrażliwości, taka nowa nazwa, a dla nas więcej papierkowej roboty. Chyba wezmę zwolnienie lekarskie. Za dwa tygodnie są urodziny Brittany, muszę przygotować wystrój na przyjęcie. Jak się teraz dekoruje domy na przyjęcia urodzinowe? Cyrk? Dziki Zachód?

- Power Rangers - odparłam. - Czy zanoszą się na reorganizację wydziałów?

Na ostatnim seminarium Dyrekcja postanowiła powołać stanowisko, które obecnie zajmowała Flip, jak część ŁGARZ-a (Łączność Grupowa Aktywnej Reformy Zarządzania). Może tym razem

zlikwidują asystentów międzywydziałowych i skończy się na tym, że sama sobie będę robiła kserokopie, roznosiła pocztę i pobierała przesyłki. I tak zresztą wszystko to już robię osobiście.

- Nie znoszę Power Rangersów - oświadczyła Gina. - Wyjaśnij mi, jak mogli osiągnąć taką popularność.

Cofnęła się do swego laboratorium, a ja powróciłam do studiów nad krótkimi fryzurami. Łatwo zrozumieć, czemu stały się popularne. Nie trzeba było więcej upinać koków grzebieniami i spinkami; po umyciu włosów nie czekało się tydzień, aż wyschną. Podczas drugiej wojny światowej pielęgniarce ścinały włosy w obawie przed zawszeniem, a później zaakceptowały lekkość i swobodę, jaką uzyskały dzięki nowemu uczesaniu. Miało ono również wiele oczywistych zalet przy uprawianiu innych szaleństw tamtych czasów - jazdy na rowerze i tenisa.

Ale dlaczego krótkie fryzury nie weszły w modę w 1918 roku? Dlaczego upłynęły aż cztery lata, gdy nagle bez żadnych widocznych powodów stały się przebojem? Zakłady fryzjerskie były zatłoczone, a firmy produkujące spinki bankrutowały z dnia na dzień. W 1921 roku ostrzyżenie na pazia było na tyle niezwykle, że uczesane tak kobiety trafiały na okładki pism, niektóre nawet zwalniano z pracy. W 1925 roku fryzura była już bardzo popularna - zdjęcia absolwentek college'ów ukazują dziewczęta z krótkimi włosami, podobnie ilustracje w czasopiśmie. Kapelusze przybrały kształt dzwonów, zbyt obcisły dla długich włosów. Co się wydarzyło? Co wywołało tę modę?

Do końca dnia porządkowałam porzucane wycinki prasowe. Wydawałoby się, że stronic magazynów z lat dwudziestych powinny być pożółkłe i szorstkie. Nic podobnego. Śliskie jak węgorze, pełzły po kafelkach, mieszały się, rozkładały wachlarzem, pozbywały spinaczy.

Segregowałam wszystko na podłodze. Na jednym stole laboratoryjnym pełno było wycinków o sprężynujących kijach pogo - Flip miała wykonać kserokopie, ale nie zrobiła tego. Na drugim stole leżały papiery z moimi danymi na temat jitter-bugu. Ale i tak oba stoły nie wystarczały, by pomieścić rozmaite kupki, na jakie to wszystko układałam - całe artykuły poświęcone krótkiej fryzurze; uwagi na temat flappersów -awangardowych dziewczyn lat dwudziestych; uwagi sarkastyczne, uwagi obojętne, uwagi pełne dezaprobaty, uwagi żartobliwe, uwagi pełne zgromy i oburzenia; ilustrowane ogłoszenia; oznaki akceptacji fryzur przez panie w średnim wieku, przez dzieci, przez osoby starsze; nowe modele poklasyfikowane według dat, rejonów kraju (obszary miejskie, obszary wiejskie); uwagi pogardliwe; uwagi wyrażające pełną aprobatę; pierwsze oznaki schyłku tej mody; wreszcie obwieszczenie, że mania przeminęła.

O czwartej pięćdziesiąt pięć całą podłogę laboratorium pokrywały pliki wycinków, a Flip się jeszcze nie pojawiła. Stąpając ostrożnie między poukładanymi papierami, podeszłam do stołu, by obejrzeć paczkę. Oddział Biologii znajdował się wprawdzie w drugim końcu budynku, ale to nie miało znaczenia. Na przesyłce napisano przecież "Materiał nietrwały!" i choć w latach dziewięćdziesiątych brak odpowiedzialności stał się bardzo modny, nie zdążył jednak ogarnąć wszystkich warstw społecznych. Wzięłam pudło i poniosłam je do doktor Turnbull.

Ważyło tonę. Gdy przeszłam z nim dwa piętra i cztery korytarze, zrozumiałam, dlaczego nieodpowiedzialność tak się rozpowszechniła. Miałam przynajmniej okazję zwiedzić skrzydło budynku, do którego nigdy przedtem nie zajrzałam. Nie wiedziałam nawet dokładnie, gdzie mieści się Biologia, ale chyba podążałam w dobrym kierunku. W powietrzu czuło się wilgoć i dobiegał lekki zoologiczny hałas. Szłam za tymi dźwiękami jeszcze piętro w dół, potem długim korytarzem. Gabinet doktor Turnbull znajdował się oczywiście na samym końcu.

Drzwi były zamknięte. Pukając, poprawiałam sobie pudło. Oczekałam. Cisza. Przesunęłam paczkę, przyparłam ją biodrem do ściany i próbowałam nacisnąć klamkę. Drzwi się nie otworzyły.

Nie uśmiechało mi się wleczenie tego ciężaru z powrotem do mojego laboratorium, a potem

szukanie jakiejś lodówki. Spojrzałam w głąb korytarza. Wszystkie pokoje były pozamykane, najprawdopodobniej na klucz, ale pod jednymi drzwiami, pośrodku korytarza na lewo, jaśniało pasmo światła.

Poprawiłam sobie pakunek, który stawał się coraz cięższy, i poniosłam go w tamtym kierunku. Zapukałam. Nikt się nie odezwał, ale gdy nacisnęłam klamkę, drzwi ustąpiły. W środku zobaczyłam dzunglę: kamery wideo, sprzęt komputerowy, otwarte pudła, płatanina przewodów.

- Dzień dobry, czy ktoś tu jest?! - zawołałam.

Usłyszałam pochrząkiwanie. Miałam nadzieję, że to nie mieszkaniec tutejszej menażerii. Spojrzałam na tabliczkę na drzwiach.

- Doktor O'Reilly?

- Tak, słucham? - Męski głos dobiegł spod metalowego pudła przypominającego piec.

Podeszłam i zobaczyłam dwie obciążone sztruksem nogi wystające na zewnątrz, wśród porozrzucanych narzędzi.

- Przyniosłam paczkę dla doktor Turnbull - powiedziałam do nóg. - Nie ma jej w gabinecie. Czy mógłbyś to przechować?

- Postaw gdzieś - powiedział niecierpliwie.

Rozejrzałam się, szukając wolnego miejsca, nie zastawionego sprzętem elektronicznym, nie pokrytego siatką na kojce dla drobiu.

- Tylko nie na sprzęcie - powiedziały nogi ostrzegawczo. - Na podłodze. Ostrożnie.

Odsunęłam na bok kabel oraz dwa modemy i postawiłam pudło.

- To ma nalepkę "Materiał nietrwały!" - poinformowałam, kucnąwszy obok nóg. - Musisz wstawić do lodówki.

- Dobra - odparł.

Wyłoniło się piegowate ramię w pomiętym białym rękawie i zaczęło poklepywać podłogę wokół pudła.

Leżała tam taśma klejąca, poza zasięgiem ręki.

- Szukasz taśmy? - spytałam, wkładając mu rolkę w dłoń. Palce się zacisnęły.

- Nie chcesz taśmy? - Rozejrzałam się, sprawdzając, o co tu jeszcze mogłoby chodzić. - Kombinerki? Śrubokręt krzyżowy?

Nogi i ramiona zniknęły pod piecem, wynurzyła się natomiast głowa - piegowata twarz, okulary grube jak dno butelki do coca-coli.

- Przepraszam. Myślałem, że to ta dziewczyna od poczty.

- Flip. To ona pomyłkowo dostarczyła przesyłkę do mojego gabinetu.

- Tego się można po niej spodziewać. - Wysunął się spod pieca i wstał. - Bardzo przepraszam - otrząpywał się z kurzu - na ogół nie jestem nieuprzejmy w stosunku do osób roznoszących pocztę. Ale ta Flip...

- Rozumiem - kiwnęłam głową ze współczuciem. Przejechał dłonią po jasnych włosach.

- Kiedy ostatnio przyniosła tu paczkę, postawiła ją na monitorze. Pudełko spadło i roztrzaskało kamerę wideo.

- To podobne do Flip - odparłam, ale w zasadzie go nie słuchałam. Przyglądałam mu się z uwagą.

Ktoś taki jak ja, kto spędził mnóstwo czasu na analizowaniu rozmaitych mód i manii, porafi je natychmiast wytropić. Obrońca przyrody, jogger, giełdciarz, terrorysta miejski. Doktor O'Reilly nie należał do żadnej z tych grup. Był mniej więcej w moim wieku, mniej więcej mojego wzrostu. Miał na sobie fartuch laboratoryjny i sztruksowe spodnie, prane tyle razy, że straciły prążki na kolanach.

Prócz tego się zbiegły i nie sięgały teraz kostek. Na dole nogawek widniała wyblakła linia - ślad po odłożeniu.

Ogólnie - zwłaszcza gdy się uwzględniło te grube okulary - powinien sprawiać wrażenie zwariowanego naukowca. Ale nie sprawiał. Przyczyniały się do tego piegi oraz para płóciennych tenisówek, niegdyś białych, teraz nieokreślonego koloru, dziurawych na palcach, z postrzępionymi szwami. A zwariowani naukowcy noszą czarne buty i białe skarpetki. Ten facet nie zakładał nawet skuwek na długopisy, choć powinien. Na górnej kieszeni fartucha zobaczyłam dwie plamy niebieskiego tuszu i kleks po markerze. Dolna kieszeń miała naderwany szew. Było w nim jeszcze coś, czego nie potrafiłam uchwycić, a co uniemożliwiało mi zaliczenie go do jakiegokolwiek grupy.

Zerkałam kątem oka, usiłując zrozumieć co to takiego. On patrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Zniosłam pudło do gabinetu doktor Turnbull, ale ona poszła już do domu.
- Miała dziś spotkanie w sprawie grantu. Jest bardzo dobra w zdobywaniu grantów.
- W tych czasach to najważniejsza kwalifikacja uczonego - stwierdziłam.
- Tak - odparł kwaśno. - Chciałbym ją mieć.
- Jestem Sandra Foster, z Socjologii. Wytarł dłoń o spodnie i uściśnął mi rękę.
- Bennett O'Reilly.

To też było dziwne. Facet w moim wieku powinien mieć na imię Matt lub Mike, lub choćby - nie daj Boże - Troy. Ale Bennett?

- Jesteś biologiem? - spytałam.

- Teoria chaosu.

- Czy to nie oksymoron? Uśmiechnął się.

- W moim wykonaniu - owszem, tak to wygląda. Dlatego mój projekt przestano finansować i musiałem przenieść się do HiTeku.

Może właśnie dlatego było w nim coś dziwnego, a sztruksy i płócienne tenisówki to obecnie strój badaczy chaosu. Ale nie, przecież doktor Applegate, z Chemii, też zajmował się chaosem, a ubierał się jak wszyscy inni z działu Badań i Rozwoju: flanelowa koszula, czapka baseballowa, dzinsy, adidas.

I prawie wszyscy w HiTeku pracowali nie w swojej specjalności. W nauce, jak w innych dziedzinach, panują mody i szaleństwa. Teoria strun, eugenika, mesmeryzm. Teoria chaosu była na fali przez kilka lat, choć równocześnie dużo hałasu robiono wokół zimnej fuzji i doświadczeń w Utah. Może zresztą mody te były powiązane. Obie dziedziny jednak zostały wyparte przez inżynierię genetyczną. Jeśli doktor O'Reilly chce uzyskać pieniądze z grantu, musi porzucić chaos i postawić na lepszego konia.

Pochylił się nad pudłem.

- Nie mam lodówki. Muszę umieścić to na zewnątrz na ganku. - Podniósł paczkę, mruczając coś pod nosem. - Rety, ale

ciężkie. Flip dostarczyła to do ciebie, żeby nie nieść tu daleko na dół. - Pomógł sobie sztruksowym kolaniem. - Dzięki w imieniu doktor Turnbull i wszystkich ofiar Flip. - Ruszył pośród płataniny przyrządów.

Należało się zbierać, a jeśli już mówimy o grantach, to przed pójściem do domu powinnam poselekcjonować jeszcze ponad połowę materiałów na temat krótkich fryzur. Nadal jednak próbowałam zrozumieć, co takiego niezwykłego jest w tym człowieku. Poszłam za nim przez labirynt urzędów.

- Czy to wszystko robota Flip? - zapytałam, przeciskając się między dwoma stosami pudeł.
- Nie. Przygotowuję nowe badania - odparł, deptając po zwoju przewodów.

- Mianowicie? - Odsunęłam zwisającą plastikową sieć.

- Dyfuzja informacji. - Otworzył drzwi i wkroczył na ganek. - Tu jest dostatecznie zimno. -

Postawił pudło.

- Z pewnością.

Skuliłam ramiona przed październikowym wiatrem. Ganek wychodził na duży zamknięty wybieg okolony wysokim murem, przykryty z góry drucianą siatką. Po drugiej stronie znajdowała się brama.

- Tu prowadzimy doświadczenia z dużymi zwierzętami - wyjaśnił O'Reilly. - Myślałem, że do lipca dostarczą mi małpy, mogłyby wtedy przebywać na zewnątrz, ale przesyłanie papierów trwało dłużej, niż początkowo przypuszczałem.

- Małpy?

- Badania dotyczą przepływu informacji w stadzie makaków. Jednego osobnika uczymy jakiejś nowej umiejętności, a potem obserwujemy i dokumentujemy rozprzestrzenianie się tej wiedzy wśród reszty gromady. Chodzi mi o wyznaczenie proporcji między praktycznymi a niepraktycznymi umiejętnościami. Jedną z małp uczę niepraktycznych sztuczek o niskim progu przyswajalności i wielu stopniach zaawansowania...

- Jak na przykład hula-hoop - wtrąciłam.

Postawił pudło na zewnątrz, tuż za drzwiami.

- Hula-hoop?

- Hula-hoop lub miniaturowy golf, albo twist. Wszystkie mają niski próg przyswajalności. Dlatego błyskawiczne szachy czy szermierka nigdy nie staną się manią.

Poprawił okulary na nosie.

- Badam różne manie. Co je wywołuje, skąd się biorą - wyjaśniłam.

- A skąd się biorą?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli nie wrócę do pracy, nigdy się nie dowiem. - Wyciągnęłam rękę. - Miło mi było cię poznać. Brodziłam wśród urzędów. O'Reilly szedł za mną.

- Nigdy nie pomyślałam o nauczaniu ich kręcenia hula--hoop.

Miałam ochotę powiedzieć, że tutaj byłoby na to za mało miejsca, ale zbliżała się szóstka, a ja przed pójściem do domu musiałam przynajmniej zebrać swoje stosy papierów z podłogi i powkładać je do teczek.

Pożegnałam się z doktorem O'Reillem i wróciłam na Socjologię. W korytarzu stała Flip, dłonie oparła na biodrach obciążonych skórzaną spódniczką.

- Wróciłam, a pani nie było. - Powiedziała to takim tonem, jakbym pozostawiła ją tonącą w bagnie.

- Zeszłam do Biologii - odparłam.

- Musiałam tu iść aż z Działu Kadr. - Odrzuciła kosmyk. - Powiedziała pani, żebym wróciła.

- Nie mogłam się doczekać i sama zaniósłam paczkę.

Miałam nadzieję usłyszeć jakieś usprawiedliwienie; może powie, że roznoszenie poczty to przecież jej obowiązek. O święta naiwności! To by oznaczało przyznanie, że jest za cokolwiek odpowiedzialna.

- Rozejrzałam się po pani gabinecie - powiedziała z odcieniem moralnej wyższości. - Czekaając na panią pozbierałam z podłogi te porozrzucane śmieci i wyrzuciłam je do kosza.

Magazyn osobliwości (1840 - 41)

Szał związany z publikowaną w odcinkach powieścią Dickensa, w której mała dziewczynka i jej nieszczęsny dziadek zmuszeni są opuścić swój sklep i udać się na wędrowkę po Anglii. Powieść cieszyła się tak ogromnym zainteresowaniem w Ameryce, że ludzie tłoczyli się na nabrzeżach portowych, czekając na statki z Anglii, i niecierpliwie wołali do pasażerów na pokładzie: "Czy mała Nell umarła?" Umarła, a jej śmierć pogrążyła czytelników w bolesnej rozpacz. Starych i młodych, kobiety i mężczyzn, ludzi wrażliwych i o sercach z kamienia. Kowboje i górnicy na Zachodzie otwarcie łkali nad ostatnimi stronicami, a pewien parlamentarzysta z Irlandii zalał się łzami i wyrzucił powieść przez okno pociągu.

Źródła Tamizy nie przypominają źródeł. Wyglądają jak niezbyt wilgotne pastwisko. Nie ma tam żadnej roślinności wodnej. Gdyby nie stara studnia wypełniona kamieniami, nie można by nawet zlokalizować tego punktu. Krowy, zupełnie nie zainteresowane kamieniami, łążą leniwie wokół źródła, skubiąc jaskry i trybulę, nieświadome, że coś ważnego rozpoczyna się tuż pod ich kopytami.

W nauce wszystko jest jeszcze mniej wyraziste. Jabłko spada; czajnik pyrka. Aleksander Fleming przed wyjazdem na weekend spogląda po raz ostatni na laboratorium i nie dostrzega nic specjalnego w tym, że przez uchylone okno wlatują sadze z pobliskiej stacji Paddington. Zbiera notatki, mówi asystentowi, by niczego nie ruszał. Zamyka drzwi. Nawet nie zauważa, że przykrywka jednej z płytek Petriego zsunęła się na bok. Myśli o wakacjach, o sprawunkach, które musi załatwić, o powrocie do domu.

Ze mną było podobnie. Flip zmięła wszystkie moje wycinki, po czym wrzuciła je do kosza. Wiedziałam, że dziś wieczór nie zdołam wszystkiego uporządkować na nowo. W rezultacie nie tylko nie zauważyłam pierwszego szczęśliwego przypadku prowadzącego do naukowego odkrycia, ale właśnie przeoczyłam drugi. I trzeci.

Postawiłam kosz na stole, na artykułach o jitterbugu, okleiłam go z góry taśmą i przylepiłam napis: "Nie ruszać. To dotyczy ciebie, Flip". Potem poszłam do samochodu. W drodze na parking przypominałam sobie, co wiem na temat jej umiejętności czytania. Zawróciłam, by zabrać kosz ze swego gabinetu.

Gdy otwierałam drzwi, zadzwonił telefon.

- Cześć - zabrzmiał głos Billy'ego Raya. - Zgadnij, gdzie jestem.

- W Wyoming? - Billy Ray był farmerem w Laramie. Umawiałam się z nim, gdy przeprowadzałam badania na temat tańca kowbojskiego.

- W Montanie - powiedział. - W połowie drogi między Lod-ge Grass i Billings. - Dzwonił zatem z telefonu komórkowego. - Jadę, by zobaczyć targheesy. To teraz ostatni krzyk mody.

Chyba chodziło o krowy. Podczas moich studiów nad tańcem kowbojskim hitem były longhorny aberdekańskie. Billy Ray to miły facet, chodząca encyklopedia w dziedzinie aktualnych manii na wsiach Zachodu. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- W sobotę będę w Denver - dotarło do mnie przez jąkanie telefonu, co oznaczało, że Billy Ray wychodzi z zasięgu sieci. - Seminarium na temat informatyzacji i komputeryzacji rancz.

Zastanawiałam się, jaki akronim można tu utworzyć. Komputeryzacja Rancz o Wielotorowej Aktywności.

- Więc tak sobie myślę, czybyśmy nie wyskoczyli razem na kolację. W Boulder jest nowa knajpa z kuchnią w stylu prerii. A preria to ostatni krzyk restauracyjnej mody.

- Wybacz, ale mam zaległości - odparłam, spoglądając na kosz na stole. - W ten weekend muszę trochę popracować.

- Wprowadź wszystko do komputera i niech robi za ciebie. Ja mam w swoim pececie całe ranczo.

- Wiem. - Chciałabym, żeby to było takie proste.

- Powinnaś sobie sprawić skaner tekstu. - Rady Billy'ego Raya przedzierały się przez coraz silniejsze buczenie. - Wtedy nie musiałbyś nawet nic wklepywać.

Ciekawe, czy skaner tekstu porafi przeczytać kulki papieru.

Brzęczenie przeszło w krakanie.

Powiedział coś w rodzaju "cóż, może następnym razem" i zniknął w komórkowym niebycie.

Odłożyłam swój niekomórkowy telefon i podniosłam kosz. Pod nim, częściowo pogrzebane przez notatki na temat jitter-bugu, leżały książki z biblioteki, które powinnam była oddać dwa dni temu. Ułożyłam je na wierzchu kosza - taśma klejąca wytrzymała - zabrałam to wszystko do samochodu i pojechałam do biblioteki.

W pracy studiuję rozmaite trendy, niektóre dość odrażające, więc uważam, że moim obowiązkiem po pracy jest stymulowanie trendów, których rozwój uważam za pożądany. Na przykład włączanie kierunkowskazów przy zmianie pasów ruchu lub konsumpcja serników wiedeńskich. I czytanie.

Biblioteki są ponadto wspólnym miejscem obserwacji trendów w dziedzinie bestsellerów, kierowania bibliotekami oraz strojów bibliotekarek.

- Lorraine, na co są w tym tygodniu zapisy? - zapytałam bibliotekarki. Miała na sobie bluzę w czarno-białe ciapki z napisem "Fantascyca", w uszach czarno-białe kolczyki w kształcie krowy.

- Prowadzeni przez los - odparła. - Cały czas. Lista zapisów ma kilometr. Pani jest na... - sprawdziła w komputerze - piątym miejscu. Była pani na szóstym, ale pani Roxbury zrezygnowała.

- O, doprawdy? - spytałam zainteresowana.

Moda na książki nie wygasa zwykle przed ukazaniem się kontynuacji, kiedy to czytelnicy dochodzą do wniosku, że mają już dosyć. Dowodem jest Opowieść Oliuera i Powolny walc w Cedar Bend. I dlatego Przemineło z wiatrem utrzymała się prawie sześć lat, w wyniku czego tysiące nieszczęsnych chłopców musiało żyć z imieniem Rhett albo nawet gorzej - Ashley. Gdyby Margaret Mitchell napisała Powolny walc w Tara Bend, wszystko wygasłoby znacznie wcześniej. No właśnie, muszę sprawdzić, czy zainteresowanie Przemineło z wiatrem spadło po ukazaniu się Scarlett.

- Niech pani nie robi sobie nadziei w związku z Losem - powiedziała Lorraine. - Pani Roxbury wycofała się, bo nie chciała dłużej czekać i kupiła sobie książkę. - Pokręciła głową, krowie kolczyki kołysały się przez chwilę. - Co ludzie w tym widzą?

A co w 1890 roku ludzie widzieli w Małym lordzie, tej przestodzonej opowieści o chłopcu o długich lokach, który odziedziczył zamek w Anglii? Nie wiadomo, ale powieść Frances Hodgson Burnett była bestsellerem. Wielki sukces odniosły również oparta na niej sztuka i film z Mary Pickford (miała długie loki). Zapoczątkowało to modę na aksamitne ubranka i stało się udręką całego pokolenia chłopców, którym matki zakręcały loki, zmuszały do noszenia koronkowych kołnierzyków i nadawały imię Cedric, choć synowie z pewnością woleliby nawet Ashley.

- Co jest jeszcze na zapisy?

- Nowy John Grisham i Stephen King, Anioły z nieba, Dotknięcie anielskiego skrzydła, Niebiańskie spotkanie trzeciego stopnia, Anioł obok ciebie, Anioły, anioły wszędzie, Jak zmusić twego anioła stróża, by za ciebie pracował oraz Anioły w sali konferencyjnej.

To wszystko się nie liczyło. Grisham i King były po prostu bestsellerami, a moda na anioły trwała już od roku.

- Zapisać panią na coś? - spytała Lorraine. - Anioły w sali konferencyjnej są naprawdę świetne.

- Nie, dziękuję - odparłam. - Może jest coś nowego? Zmarszczyła brwi.

- Chyba tak... - spojrzała na ekran. - Nowelizacja Małych kobietek. Nie, to nie to.

Podziękowałam jej i poszłam do półek. Wzięłam Berenice obcina włosy F. Scotta Fitzgeralda i parę kryminałów, bo zawierają zawsze proste zagadki: "Jak morderca dostał się do zamkniętego pokoju?", a nie na przykład "Co powoduje trendy?" albo "Co ja takiego zrobiłam, że jestem skazana na Flip?" Potem poszłam do działu literatury klasycznej.

W ostatnich latach najstraszniejszym trendem w zarządzaniu bibliotekami jest tak zwane liczenie się z potrzebami czytelnika. Oznacza to po kilkanaście egzemplarzy Mostów w Madison County oraz książek Danielle Steel, w związku z tym brakuje miejsca na półkach. Bibliotekarze radzą sobie w ten sposób, że pozbywają się książek, których ostatnio nikt nie wypożyczał.

- Dlaczego wyrzucacie Dickensa? - zapytałam Lorraine w ubiegłym roku podczas wyprzedaży książek bibliotecznych. Pokazałam jej egzemplarz Domu na pustkowiu. - Jak możecie usuwać Dickensa?

- Nikt tego nie wypożycza. Jeśli przez rok nikt nie bierze danej książki, zdejmujemy ją z półki - wyjaśniła. Miała wtedy na sobie bluzę z napisem "Misiaczek na zawsze" i kolczyki w kształcie pluszowych misiów. - Najwyraźniej nikt tego nie czyta.

- I nikt nigdy nie przeczyta, gdyż nie będzie jej można wypożyczyć - odparłam. - Dom na pustkowiu to wspaniała książka.

- Ma pani okazję ją kupić.

Mieliśmy więc do czynienia z trendem takim samym jak wszystkie inne; jako socjolog powinnam obserwować to z zainteresowaniem i dotrzeć do źródeł. Nie zrobiłam tego. Zaczęłam natomiast wypożyczać książki. Wszystkie: ulubione, których nigdy nie brałam, gdyż miałam je w domu, całą klasykę, stare tomy w płóciennym oprawie, które ktoś może chciałby kiedyś przeczytać, gdy minie obecna moda na sentymentalny chłam.

Teraz wzięłam Zamienione pudło na cześć dzisiejszych wydarzeń oraz Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu na cześć doktora O'Reilly'ego, któremu nogi wystawały spod metalowej skrzyni. Szłam dalej przy półkach na B i szukałam Bennetta. Opowieści o dwóch siostrach nie było - prawdopodobnie wylądowały na wyprzedaży - ale tuż przy Becketcie stała Droga człowieka Butlera, więc może Opowieści o dwóch siostrach zostały błędnie umieszczone.

Ruszyłam wzdłuż półek, wypatrując książki grubej, oprawnej w płótno i nie zaczytanej. Borges; Wichrowe wzgórza brałam już w tym roku; Rupert Brooke; Robert Browning Dzieła zebrane. Nie był to Arnold Bennett, ale oba te tłuste tomy miały introligatorskie grzbiety, a w środku staromodną kieszonkę i kartę wypożyczeń. Wzięłam obydwie, a także Borgesa.

- Przypomniałam sobie, na co jeszcze są zapisy - powiedziała Lorraine. - Nowość, Przewodnik po świecie dobrych wróżek.

- To dla dzieci?

- Nie. To o obecności dobrych wróżek w naszym codziennym życiu.

Podawała mi książkę z podręcznej półki. Na okładce dobra wróżka wychylała się zza komputera. Egzemplarz spełniał kryteria modnej książki: miał zaledwie osiemdziesiąt stron. Mosty w Madison County miały sto dziewięćdziesiąt dwie strony, Mewa Jonathana Liuingstona - dziewięćdziesiąt trzy, a Do widzenia, panie Chips, wielki przebój 1934 roku - tylko osiemdziesiąt cztery.

Książka o wróżkach zawierała bzdury. Tytuły rozdziałów brzmiały: "Jak skontaktować się ze swą wewnętrzną wróżką", "Jak wróżki pomagają uzyskać sukces w świecie wielkich korporacji", "Nie zwracajcie uwagi na niedowiarków".

- Proszę wpisać mnie na listę - poprosiłam. Podałam jej Browninga.

- Tego nie wypożyczano już prawie od roku - zauważyła.

- Naprawdę? No to teraz ja wypożyczam. Wzięłam Borgesa, Browninga, Bauma i poszłam na obiad do "Matki Ziemi".

Ciżmy (1350- 1480)

Miękkie buty ze skóry lub tkaniny, o wyciągniętych noskach. Pochodziły z Polski, stąd ich francuska nazwa poulaines; w Anglii nazywano je crackowes od Krakowa. Możliwe również, że sprowadzili je krzyżowcy z Bliskiego Wschodu. Stały się niezwykle modne na wszystkich europejskich dworach. Zwężone noski przybierały bardzo wyszukane formy, wypychano je mchem, formowano na kształt lwich pazurów lub orlich dziobów. Stale wydłużane, przeszkadzały podczas chodzenia i uniemożliwiały klęczenie. Aby podtrzymać końce butów, do kolan przyczepiano złote lub srebrne łańcuszki. Zastosowane jako część zbroi, były bardzo niebezpieczne: podczas bitwy pod Sempach w 1386 roku austriaccy rycerze z powodu swych długich żelaznych butów zostali praktycznie unieruchomieni i musieli odcinać czubki mieczem, by nie pojmano ich przygwożdżonych do ziemi. Wyparty je wiązane w kostce buty o ściętych noskach, które szybko stały się przesadnie szerokie.

W "Matce Ziemi" karmią niezłe, a mrożoną herbatę podają tak dobrą, że zamawiam ją przez okrągły rok. Ponadto jest to znakomite miejsce do studiowania trendów. Nie tylko potrawy są na czasie (obecnie wegetariańskie z biouprawy), lecz również kelnerzy. Przed restauracją stoi stelaż z alternatywnymi gazetami.

Wzięłam kilka z nich i weszłam do środka. W drzwiach i w przedsionku tłoczyli się ludzie, chcący dostać się do wnętrza. Na pewno tutejsza mrożona herbata zrobiła się modna. Podeszłam do kelnerki obciętej jak więźniarka, w szortach do joggingu i sportowych sandałach.

To jeszcze jedna z mód - kelnerki ubierają się tak, by jak najmniej przypominać kelnerki. Prawdopodobnie po to, by nie można ich było znaleźć, gdy chce się dostać rachunek.

- Nazwa pani grupy i liczba osób? - spytała. Trzymała tabliczkę z co najmniej dwudziestoma nazwiskami.

- Jedna, Foster - odparłam. - Siadę w sali dla palących lub dla niepalących, gdzie szybciej. Była zgorziona.

- Nie mamy sali dla palących. Czy nie wie pani, co czeka panią z powodu palenia?

Zwykle szybsze znalezienie miejsca w restauracji, pomyślałam, ale dziewczyna gotowa była już wykreślić mnie z listy, więc dodałam:

- Osobiście nie palę, ale po prostu mogę siedzieć z palaczami.

- Przebywanie w towarzystwie osób palących jest tak samo szkodliwe - stwierdziła i postawiła X przy moim nazwisku, co prawdopodobnie oznaczało, że prędzej kaktus mi na dłoni wyrośnie, niż dostanę tu stolik. - Zawołam panią - rzekła, przewracając oczyma. Miałam nadzieję, że to nie jest teraz ostatni krzyk mody.

Usiadłam na ławce przy wejściu i zaczęłam czytać gazety pełne artykułów o prawach zwierząt i ogłoszeń firm usuwających tatuaże. Spojrzałam na strony ogłoszeń osobistych. Nie są teraz największym hitem. Były na fali w późnych latach osiemdziesiątych, a potem, jak wiele manii, zamiast zupełnie zniknąć, znalazły sobie w społeczeństwie małą, lecz stabilną niszę.

W ten sposób kończy wiele mód. Na przykład CB radio, tak popularne przez kilka miesięcy, że "Nadaję, nadaję" stało się

powszechną odżywką i każdy miał ksywę w rodzaju "Gorąca mamuśka". Potem CB radia używali tylko kierowcy ciężarówek i motocykliści. Rowery, gra Monopol, krzyżówki - to wszystko gdzieś sobie żyje. Ogłoszenia osobiste zadomowiły się w gazetach alternatywnych.

W ramach trendów istnieją podtrendy; również ogłoszenia osobiste miały swe własne nurty. Przez pewien czas na fali były rozmaite odmiany seksu. Teraz powodzenie ma wypoczynek na

świeżym powietrzu.

- Foster, grupa jednoosobowa - powiedziała kelnerka z pełną dezaprobaty miną i poprowadziła mnie do stolika tuż przy kuchni. - Już dwa lata temu zakazaliśmy palenia - oznajmiła i rzuciła menu na blat.

Spojrzałam na wybór dań, by przekonać się, czy nadal serwują rogaliki francuskie z suszonymi pomidorami i kiełkami, po czym wróciłam do ogłoszeń. Jogging wyszedł z mody, liczyło się chodzenie po górach i spływy kajakowe. Oraz anioły. Jedno z ogłoszeń nosiło nagłówek NIEBIAŃSKI POSŁANIEC, inne brzmiało: "Czy twoje anioły podpowiedziały ci, byś do mnie zadzwonił? Moje kazały zamieścić to ogłoszenie". Wydało mi się to nieprawdopodobne.

Powodzenie miała również praca duchowa, spirytualistyka i ukośniki. Poszukuję S/R/B; Orientalny/indiański/rozwój osobowości; szukam partnera do zabawy na całe życie. Wszyscy się nadajemy, no nie?

Podszedł naburmuszony kelner, również w szortach do joggingu i sandałach sportowych. Na pewno widział ten X. Odezwałam się pierwsza, by nie dopuścić do wykładu na temat szkodliwości nikotyny.

- Poproszę francuskie rogaliki z kiełkami i mrożoną herbatę.

- Nie serwujemy już tego.

- Kiełków?

- Herbaty. - Otworzył jadłospis i wskazał prawą stronę. - Tu mamy napoje.

Rzeczywiście. Cała kartka: espresso, cappuccino, cafe lat-te, cafe mocha, cafe cacao. Herbaty brak.

- Lubiłam waszą mrożoną herbatę.

- Nikt już tego nie pije.

Bo usunęliście ją z menu, pomyślałam. Ciekawe, czy stosują tutaj tę samą zasadę co w bibliotece. Powinnam była tu częściej zaglądać, a kiedy już przychodziłam - zamawiać więcej, by uchronić herbatę przed skasowaniem. Miałam również poczucie winy, gdyż najwyraźniej przepuściłam moment narodzin trendu czy też początki nowego etapu.

Moda na espresso trwała od paru lat, głównie na Wschodnim Wybrzeżu i w Seattle, gdzie się zaczęła. W ubiegłych latach wiele szaleństw przyszło z Seattle: kapele rockowe, styl grunge, cafe latte. Przedtem wszelkie nowinki brały się z Los Angeles, jeszcze wcześniej z Nowego Jorku. Ostatnio Boulder wykazuje oznaki kolejnego ośrodka mody, ale dotarcie espresso do Boulder jest raczej skutkiem praw rynku, a nie naukowym przykładem na funkcjonowanie mody. Chciałabym jednak zobaczyć, jak rodzi się mania i poszukać jej źródeł.

- Poproszę cafe latte - powiedziałam.

- Pojedyncza czy podwójna?

- Podwójna.

- W szklance czy w filizance?

- W szklance.

- Posypana cynamonem czy czekoladą?

- Czekoladą.

- Półśłodka czy gorzka?

Nie miałam racji, mówiąc doktorowi O'Reilly'emu, że wszystkie mody mają niski próg przyswajalności.

Po kilku dalszych ustaleniach, gdy musiałam określić, czy cukier ma być w kostkach czy nierafinowany, mleko odtłuszczone czy dwuprocentowe, kelner poszedł, a ja wróciłam do ogłoszeń.

Jak zwykle uczciwość nie była w modzie; wszyscy mężczyźni "wysocy, przystojni, finansowo niezależni"; kobiety "szykowne, smukłe, wrażliwe". Wszyscy K/M "atrakcyjni, wyrafinowani, troskliwi". Każdy miał "niesamowite poczucie humoru", w co wątpiłam. Szukali wrażliwych, inteligentnych, ekologicznych, romantycznych, zdecydowanych NP.

NP. Co to takiego NP? Norweski pięcioboista? Narodowy patriota? Naturalny pieszczoł? A tu mamy TNP. Tabuizowane nowe pieszczoty? Zajrzałam do słowniczka skrótów. Oczywiście. Tylko niepalący.

Wysportowane, przystojne, czułe osoby, które zamieszczają te anonsy, myślą chyba ogłoszenia osobiste z katalogiem odzieży. Poproszę produkt numer D2481 w kolorze jaskrawoczerwonym. Rozmiar mały. A ci wymieniają zwykle kolor, kształt, i żeby nie było żadnych kotów ani psów! Jednak zapotrzebowanie na niepalących znacznie się zwiększyło od czasu, gdy to ostatnio zliczałam. Wyjęłam z torebki czerwony długopis i zaczęłam zakreślać.

Kiedy podano mi kanapkę i skomplikowaną kawę, strona była czerwona. Zjadłam kanapkę, popijałam kawę i dalej zakreślałam.

Moda na niepalenie zaczęła się w późnych latach siedemdziesiątych i rozwijała się torem typowym dla manii awersyjnych, ale czyżby właśnie stawała się kapryśna? "Rasa, religia, poglądy polityczne, preferencje seksualne dowolne. Niepalący" - brzmiało jedno z ogłoszeń. NIEPALĄCY dużymi literami.

"Ma lubić przygody, śmiały, niepalący, podejmujący wyzwania". "Ja: osiągnąłem sukces, lecz doskwiera mi samotność. Ty: czuła, troskliwa, niepaląca, bezdietna". I moje ulubione: "Rozpaczliwie poszukuję kogoś, kto kroczy w rytm nietypowych marszów, szydzi z konwencji, nie dba o to, co na fali. Palacze niech się nie zgłaszają".

Ktoś mi stał za plecami. Najprawdopodobniej kelner, by wygłosić pogadankę na temat nikotyny.

- Nie wiedziałam, że pani bywa tutaj - powiedziała Flip, przewracając oczyma.

- Ja również nie wiedziałam, że ty tutaj bywasz - odparłam.

A skoro już to wiem, moja noga w tym miejscu więcej nie postanie, pomyślałam. Zwłaszcza że już nie podają mrożonej herbaty.

- Ogłoszenia osobiste, co? - Wyciągnęła szyję, by popatrzeć, co zaznaczyłam. - Niech je sobie czyta ten, kto jest w beznadziejnej sytuacji.

Ja jestem, pomyślałam. Zastanawiałam się gorączkowo, czy Flip wchodziła do gabinetu, by opróżnić kosze. I czy na pewno zamknęłam samochód?

- Nie potrzebuję sztucznej pomocy. Mam Brine'a. - Wskazała chłopaka o ogolonej głowie, w gładkich oraz ćwiekach w nosie, brwiach i dolnej wardze. Nie patrzyłam jednak na niego, lecz na wyciągniętą rękę Flip, przyozdobioną trzema szerokimi szarymi bransoletami nad dłoń, na przedramieniu i tuż poniżej łokcia. Taśma klejąca.

Zrozumiałam teraz dzisiejszą uwagę o "osobistych posługach". Jeśli to ma być ostatni szal, ja się poddam.

- Muszę iść - powiedziałam, zbierając gazety i wypatrując nerwowo kelnera. Nie mogłam go dostrzec, gdyż był ubrany tak jak wszyscy obecni. Zostawiłam dwudziestkę na stoliku i prawie pobiegłam do wyjścia.

- Ona mnie w ogóle nie docenia - słyszałam Flip żalącą się Brine'owi. - Mogłaby mi przynajmniej podziękować za posprzątanie gabinetu.

Samochód był zamknięty na klucz. Jadąc do domu, z pewną wesołością rozmyślałam o szarych bransoletach. Przecież Flip kiedyś będzie musiała je zdejmować. Myślałam również o Brinie i

Billym Rayu, który nosił stetson, zwężane džinsy i posługiwał się pagerem. Oraz o tym, jakim osiągnięciem jest bez-stylowość doktora O'Reilly'ego.

Obecnie prawie wszystko ma swój styl: kurtki lotnicze, spodnie do jazdy na rowerze, afrykańskie bluzki, mundury, za obszerne džinsy, za ciasne koszule bez kołnierzyka, buty turystyczne, sandały ortopedyczne. Teraz, gdy nosi się sprane flanelowe grunge'owe koszule i ocieplaną bieliznę, trudno wymyślić coś, co nie jest w jakimś stylu. A jednak Bennettowi to się udało.

Włosy miał za długie, spodnie - za krótkie, ale chodziło o coś więcej. W jednej z kapel rockowych gra perkusista, który na scenę ubiera się w legginsy cyklisty i zaplata warkoczyki. Wygląda przy tym jak ostatni krzyk mody. I nie chodziło o okulary. Weźmy na przykład Eltona Johna czy Buddy Holly'ego.

Dręczyło mnie to przez cały wieczór. Może powinnam go spytać, czy mogę podjąć nad nim studia. Może przebywając koło niego, gdy będzie uczył mały hula-hoop, zorientowałabym się, jak potrafi zachować wolność od mody. Badając niemodę, otrzymam prawdopodobnie pewne wskazówki na temat jej przeciwieństwa. Albo powinnam pojechać do domu, uprasować wycinki prasowe i próbować zrozumieć, co nagle skłoniło dwa miliony kobiet do chwycenia za nożyczki i obcięcie swych wspaniałych pukli.

Niczego nie zrelizowałam. W domu przeczytałam Browninga. Szczurołap z Hamelin, wiersz - czy to nie dziwne? - traktujący o manii. Zaczęłam Pippa przechodzi, długi poemat o włoskiej dziewczynie z Asolo. Pracowała w fabryce i miała tylko jeden dzień wolny w roku (musiał to być z pewnością włoski oddział HiTeku), który spędzała na wędrówkach wśród domów. Śpiewała pod oknami "Ślimak w igłach sosny; W trzepocie skowronek", inspirując wszystkich.

Chciałabym, żeby pojawiła się pod moim oknem i zesłała mi natchnienie. Ale takie rzeczy się nie zdarzają. Inspiracja musiała nadejść tak, jak to zwykle w nauce bywa - należało wygładzić papierowe kulki i wprowadzić dane do komputera. Próby i błędy. I znowu próby.

Mylłam się. Inspiracja już nadeszła, ale ja jeszcze o tym po prostu nie wiedziałam.

Koła dobrej jakości (1980 - 85)

Moda w przedsiębiorstwach naśladowana system stosowany z powodzeniem w japońskich korporacjach. Raz w miesiącu, zwykle po pracy, zbierali się przedstawiciele różnych wydziałów firmy. Wymieniali doświadczenia oraz propozycje, jak usprawnić zarządzanie. Zarzucono te spotkania, gdy przekonano się, że wysuwane na nich sugestie zupełnie nie są brane pod uwagę. W ich miejsce przyszyły QIS, MBO, JIT i inne modne hasła.

W środę mieliśmy spotkanie całej załogi. Omal się nie spóźniłam. Poszłam do Działu Zaopatrzenia, by wyciągnąć od Desideraty pudełko spinaczy. Ona jednak albo nie wiedziała, co to jest, albo gdzie tego szukać. Gdy przybyłam wreszcie do stołówki, wszystkie miejsca były zajęte.

Gina pomachała do mnie z drugiego końca sali i wskazała puste krzesło obok siebie. Przepisnęłam się tam, gdy Dyrekcja mówiła:

- My w HiTeku nigdy nie ustajemy w dążeniu do doskonałości.

- O co chodzi? - spytałam szeptem Ginę.

- Dyrekcja chce udowodnić, że ponad wszelką wątpliwość ma zbyt mało pracy - wymamrotała cicho. - Wynaleźli więc nowy akronim i właśnie teraz go opracowują.

- ...podstawą naszego ekscytującego nowego programu zarządzania jest pomysłowość. - Przedstawiciel Dyrekcji grubym markerem wypisał wielkie P i O na dużej białej karcie. - Pomysłowość to kamień węgielny dobrej firmy.

Rozejrzałam się, szukając doktora O'Reilly'ego. Pod ścianą, niedbale oparta, siedziała nadęta Flip. Ręce miała opasane taśmą klejącą.

- Pomysłowość wymaga umiejętności. A kto jest źródłem wszelkich umiejętności w HiTeku? Wy, państwo naukowcy! - powiedziała Dyrekcja. Napisała duże N.

Udało mi się wreszcie dostrzec doktora O'Reilly'ego. Stał przy bufecie, obok sztuców, trzymając ręce w kieszeniach. Dziś był nieco lepiej ubrany, ale nie o wiele lepiej. Brązowy blezer z anilany nie pasował odcieniem do brązowych sztruksów, a koszula w biało-brązową kratę nie pasowała ani do swetra, ani do spodni.

- Pomysłowość naukowa nie jest właściwie wykorzystana, jeśli nie zostanie ukierunkowana na reformy. - Przedstawiciel Dyrekcji wpisał U i R. - Pomysłowość Naukowa Ukierunkowana Reformatorsko - wyrecytował triumfalnie, wskazując kolejne litery. - W skrócie PONUR.

- Celne określenie - mruknęła Gina.

- Podstawą PONUR-u są Sugestie Załogi. - Dyrekcja napisała markerem SZ. - Proszę, żeby państwo podzielili się na zespoły robocze i przedstawili listę pięciu najważniejszych spraw. - Na tablicy pojawiło się 5.

Doktor O'Reilly nadal stał przy sztucach. Myślałam, czy-by go nie zaprosić do naszej grupy, ale Gina już pochwyliła Sarę z Chemii i Elaine z Działu Kadr, która miała na sobie opaskę tenisową i spodnie do jazdy na rowerze.

- Pięć problemów - powtórzyła Dyrekcja, a Elaine natychmiast wyjęła notatnik i ponumerowała strony od jednej do pięciu - mogących się przyczynić do polepszenia środowiska pracy w HiTeku.

- Zwolnić Flip - zaproponowałam cicho.

- Czy wiecie, co mi wczoraj zmaistrowała? - powiedziała Sara. - Wszystkie moje karty doświadczeń umieściła pod L, bo niby "laboratorium".

- Mam zapisać? - spytała Elaine.

- Nie - odparła Gina - ale wy wszystkie zapiszcie lub zapamiętajcie. Przyjęcie urodzinowe Brittany, osiemnastego o drugiej. Jesteście zaproszone. Prezenty, torty, ale żadnych Power

Rangersów. Postawiłam sprawę twardo. Powiedziałam Brittany, że może mieć dowolne przyjęcie, aby nie w stylu Power Rangers.

Doktor O'Reilly usiadł wreszcie przy stole pośrodku jadalni i zdjął blezer. Nic się nie polepszyło - ujawnił się jedynie krawat, który nie miał w sobie ani krztyny stylu.

- Czy kiedykolwiek widziałyście Power Rangersów? - spytała Gina.

- Nie mogę przyjść - odparła Sara. - Biorę udział w biegu na dziesięć kilometrów z Paulem Ottermeyerem.

- Myślałam, że chodzisz z Tedem - zdziwiła się Gina.

- Ted ma problemy z życiem uczuciowym - wyjaśniła Sara - i dopóki nie nauczy się ich rozwiązywać, nie ma sensu, byśmy wchodzili w bardziej trwały związek.

- Zatem zdecydowałaś się na biegi długodystansowe? - pytała Gina.

- Powinnaś spróbować marszów po schodach - poradziła Elaine z Działu Kadr. - To rozwija muskulaturę wszechstronniej niż biegi.

Oparłam brodę na dłoni i kontemplowałam krawat doktora O'Reilly'ego. Krawaty są jak pozostałe części męskiej garderoby. Teraz niemal wszystko jest na czasie. Ale to dopiero niedawna tendencja. Krawaty w paski były modne w 1860 roku, o barwie lawendy - w 1890. Na muszki panował szal w latach dwudziestych, na ręcznie malowane tancerki - w latach czterdziestych, na jaskrawe stokrotki - w sześćdziesiątych; wte-

dy wszystko, co nie było akurat na fali, traktowano jako zacofane. Natomiast obecnie wszelkie poprzednie style są dopuszczalne, a ponadto: krawat-sznureczek, bandany i zawsze aktualne bezkrawacie. Krawat Bennetta nie należał do żadnej z tych kategorii - był po prostu okropny.

- Na co patrzysz? - spytała Gina.

- Na doktora O'Reilly'ego - odparłam. Zastanawiałam się, czy Bennett jest aż w takim wieku, że mógł sobie kupić ten krawat, gdy jego fason był w modzie.

- Tego świra z Biologii? - Elaine wyciągnęła szyję.

- Fatalny krawat - stwierdziła Gina.

- I te okulary - dodała Sara. - Są tak grube, że nie można nawet określić, jakie ma oczy.

- Szare - powiedziałam, ale Elaine i Sara wróciły już do tematu marszów po schodach.

- Najlepsze schody są na kampusie, w budynku nauk technicznych - mówiła Elaine. - Sześćdziesiąt osiem stopni, ale są na ogół zatłoczone. Więc zwykle trenuję na tych w "Koniczynce".

- Ted mieszka w "Irysie" - poinformowała nas Sara. - Musi wyodrębnić u siebie ducha męskiego wojownika, gdyż nigdy nie będzie potrafił zaakceptować żeńskiej części swej osobowości.

- Dobrze, moi państwo - znów odezwała się Dyrekcja. - Czy sformułowali już państwo swoje problemy? Flip, proszę, zbierz notatki.

Elaine miała przerażoną minę. Gina zabrała od niej listę i szybko napisała:

1. Optymalizacja potencjału
2. Zasilanie sfery realizacyjnej
3. Wdrażanie perspektywiczne
4. Strategizacja priorytetów
5. Wzmocnienie podstawowych struktur

- Jak to wszystko wymyśliłaś? - pytałam zachwycona.

- Zawsze wypisuję te pięć punktów. - Wręczyła listę człapiącej obok Flip.

- Nim przejdziemy do dalszych spraw - mówiła Dyrekcja - proszę wszystkich o powstanie.

- Przerwa na toaletę - mruknęła Gina.

- Przeprowadzimy ćwiczenia wrażliwości - rzekła Dyrekcja. - Niech każdy znajdzie sobie

partnera.

Odwróciłam się. Sara i Elaine już się nawzajem wybrały, a Gina zniknęła. Zastanawiałam się, czy zdążę na czas precyzyjnie się do doktora O'Reilly'ego, gdy zobaczyłam zmierzającą ku mnie kobietę w czerwonym kostiumie. Miała sztywno obcięte włosy.

- Jestem doktor Alicja Turnbull - przedstawiła się.

- A, to pani. Czy paczka do pani dotarła?

- Czy każdy ma partnera? - zadudniła Dyrekcja. - Teraz niech państwo spojrzą na siebie i podniosą obie ręce zwrócone dłońmi na zewnątrz.

Zrobiłyśmy to.

- Jesteście wszyscy aresztowani - zażartowałam. Doktor Turnbull uniosła brew.

- Dobrze, koledzy - powiedziała Dyrekcja. - Teraz niech każdy zetknie się dłońmi z partnerem.

Bzdura zawsze była dominującym trendem w Ameryce, ale dopiero ostatnio opanowała miejsca pracy. Korzeniami tkwi w latach dwudziestych, gdy zaczęli działalność eksperci do spraw efektywności. Frank i Lillian Gilbreth, założyciele klanu "Tuzinami taniej", którzy na pewno nie spędzali zbyt wiele czasu w fabrykach - pomyślcie tylko, mieli dwanaścioro dzieci, słownie: dwanaścioro - spopularyzowali pomysł, by badać poszczególne czynności robotników na stanowiskach pracy, stosować psychologię i zatrudniać ekspertów spoza zakładu. Od tamtego czasu biznes amerykański chylił się ku upadkowi.

- Teraz popatrzcie partnerowi głęboko w oczy - poleciła Dyrekcja - i wymieńcie mu trzy rzeczy, które w nim lubicie. Uwaga. Jeden.

- Co im strzeliło do głowy? - pytałam, patrząc doktor Turnbull głęboko w oczy.

- Badania wykazały, że ćwiczenia wrażliwości znacznie polepszają stosunki wewnątrzgrupowe w miejscu pracy - odparła chłodno.

- Dobrze. Niech pani zacznie pierwsza - zaproponowałam.

- Na tej paczce wyraźnie było napisane "Materiał nietrwały". - Przycisnęła ręce do moich dłoni.

- Powinna mi ją pani niezwłocznie dostarczyć.

- Nie zastałam pani.

- Więc powinna mnie pani odszukać.

- Dwa - odliczała Dyrekcja.

- Paczka zawierała cenne kultury. Mogły ulec zepsuciu. Zdaje się, że nie dostrzegęła w tym wszystkim istoty sprawy.

- To Flip powinna ją dostarczyć.

- Dlaczego więc przesyłka trafiła do pani gabinetu?

- Trzy - powiedziała Dyrekcja.

- Byłabym pani niezwykle zobowiązana, gdyby następnym razem przesłała mi pani wiadomość e-mailem - oświadczyła Turnbull. - No co, nie wymieni pani trzech rzeczy, które się pani we mnie podobają? Teraz pani kolej.

Podoba mi się, że pracujesz w Biologicznym i że jest to na drugim końcu budynku, pomyślałam.

- Podoba mi się pani kostium - rzekłam - choć poduszki w ramionach są już strasznie niemodne. Czerwony kolor również. Jest zbyt agresywny. Teraz obowiązują kobiecość.

- Czy nie czujecie się wewnętrznie lepiej? - pytała Dyrekcja. - Czy nie odczuwacie, że bardzo się zbliżyliście do swego kolegi?

Prawdę mówiąc, za bardzo. Pośpiesznie wróciłam do swego stolika.

- Gdzie sobie poszłaś? - zwróciłam się do Giny.

- Do toalety - wyjaśniła. - Pierwsza zasada przetrwania na zebraniach: podczas ćwiczeń

wrażliwości zawsze wychodź do toalety.

- Przejdźmy do dalszych spraw - kontynuowała Dyrekcja, a ja już przygotowałam się do wyjścia do toalety, gdyby miała teraz nastąpić kolejna seria ćwiczeń wrażliwości, ale Dyrekcja zaczęła mówić o papierkowej pracy związanej z naszym programem, a mianowicie o formularzach zapotrzebowania na materiały biurowe.

- Napłynęło nieco skarg na Zaopatrzenie - ciągnęła Dyrekcja - wdrazamy więc nową politykę, mającą zwiększyć skuteczność tego działu. Zamiast dawnych formularzy wydziałowych wypełnicie państwo teraz nowe druki międzywydziałowe. Przeprowadzamy również restrukturyzację procedur przyznawania funduszy. Jest to jedna z rewolucyjnych cech projektu PONUR: nowy efektywny sposób finansowania. Komitet Przeglądu Alokacji Funduszy rozpatrzy wszystkie wnioski o finansowanie badań łącznie z tymi podaniami, które już wcześniej załatwiono pozytywnie. Wnioski powinny wpłynąć do poniedziałku, dwudziestego trzeciego. Propozycje należy składać na nowych uproszczonych formularzach zgłoszeń alokacji funduszy.

Sądząc po stosie papierów, który Flip trzymała w swych oblepionych taśmą ramionach, były one dłuższe niż poprzednie druki, a tamte liczyły trzydzieści dwie strony.

- Asystentka międzywydziałowa rozniesie formularze, a ja tymczasem chciałbym posłuchać państwa opinii. Co jeszcze moglibyśmy zrobić, by uczynić HiTek lepszym miejscem pracy?

Zrezygnować z zebrzań załogi, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego. Może w zasadach przetrwania na zebraniach nie mam takiej wprawy jak Gina, ale wiem przynajmniej tyle, że nie należy podnosić ręki. Jedyńm skutkiem będzie to, że wybiorą cię do jakiejś komisji.

Wszyscy inni też najwyraźniej o tym wiedzieli.

- Propozycje załogi są podstawą funkcjonowania HiTeku - oświadczyła Dyrekcja.

Nadal nikt się nie zgłaszał.

- Może jednak'ktoś? - zachęcał przedstawiciel Dyrekcji, patrząc PONURo. Nagle pojaśniał. - O, mamy tu wreszcie osobę, która nie boi się wystąpić publicznie.

Wszyscy zwrócili głowy w tamtym kierunku. To była Flip.

- Asystent międzywydziałowy ma zbyt wiele obowiązków -oznajmiła, odrzucając kosmyk.

- Proszę, takie właśnie rzeczowe podejście do problemów jest sednem PONUR-u - stwierdziła Dyrekcja. - Jakie rozwiązanie pani proponuje?

- Zmiana nazwy tej funkcji i zatrudnienie pomocnika. Spojrzałam na doktora O'Reilly'ego: twarz ukrył w dłoniach.

- Dobrze. Czy są jeszcze jakieś pomysły?

Czterdzieści rąk wystrzeliło w górę. Spojrzałam na ten las i przypomniał mi się Szczurołap z Hamelin oraz jego szczury. I krótko obcięte włosy. Tendencje we fryzjerstwie są na ogół typowym przykładem pochodzenia za szczurołapem. Bo Derek, Dorothy Hamill, Jackie Kennedy wylansowały własne style uczesania i bez wątpienia każda z nich była prekursorką. Madame de Pompadour wprowadziła wielkie pudrowane peruki z żagłowcami i scenkami słynnych bitew, a Veronica Lake jest odpowiedzialna za to, że miliony amerykańskich kobiet nie widziały na jedno oko.

Logiczne więc, że strzyżenie na pazia też ktoś musiał wprowadzić. Ale kto? Isadora Duncan obcięła włosy na samym początku dwudziestego wieku, a znacznie wcześniej kilka sufrażystek nosiło krótkie fryzury (i męskie ubrania), jednak nie znalazły wielu naśladowczyń.

Sufrażystki znacznie wyprzedziły swą epokę, i to w dość niesamowitym stylu. Isadora natomiast, pływająca boso po scenie w skąpej szyfonowej tuniczce, była zbyt dziwaczna.

Osobą, która przychodzi tu na myśl, jest tancerka Irene Castle. Wraz z mężem Vernonem (kolejny nieszczęsny chłopiec) wprowadzili kilka nowości tanecznych: one-step, walc ze zmianą

zwlekającą, tango, indycy krok, i oczywiście promenadę Castle.

Irenę była ładna i niemal wszystko, co na siebie włożyła, stawało się modne. Białe satynowe buciki i holenderskie kapelusiki. W 1913 roku, u szczytu swego powodzenia, ostrzygła się, kiedy przebywała w szpitalu po operacji wyrostka robaczkowego. Gdy wyzdrowiała, nadal zachowała krótkie włosy. Nosiła do tego szeroką opaskę, która wyraźnie zapowiadała fryzurę lat dwudziestych.

Irenę Castle, znana prekursorka mody, znalazła z pewnością naśladowczynię. Ale jeśli ona wszystko zapoczątkowała, dlaczego chwyciło to dopiero po tak długim czasie? Gdy w 1979 roku Bo Derek ukazała się w filmie ostrzyżona na zapałkę, już po tygodniu wszędzie zaczęły pojawiać się kobiety tak samo ostrzyżone. Jeśli Irenę była źródłem tamtej mody, dlaczego krótkie włosy nie stały się przebojem w 1913 roku? Dlaczego minęło dziewięć lat i wojna światowa, nim się powszechnie przyjęły?

Może chodzi tu o kino. Jednak nie. Mary Pickford ścięła loki dopiero w 1928. Czyżby Irenę i Vernon nakręcili jakiś niemy film około 1921 roku?

Dyrekcja nadal wysłuchiwała głosu załogi.

- Uważam, że powinniśmy mieć w budynku samoobsługowy ekspres do kawy - zaproponował doktor Applegate.

- Powinniśmy mieć salę gimnastyczną - stwierdziła Elaine.

- I więcej klatek schodowych.

Mogło to potrwać cały dzień. A ja chciałam sprawdzić, jakie filmy weszły na ekran w 1922 roku. Wstałam tak, żeby nie przeszkadzać, pobrałam papiery od Flip, która poprzednio ominęła nasz stolik, i dałam nura do tyłu, wertując po drodze formularz, by sprawdzić, ile ma stron.

Cuda nad cudami - naprawdę był krótszy niż poprzednio. Tylko dwadzieścia dwie strony. A czcionka mniejsza tylko odrobinę. Wpadłam na kogoś.

Doktor O'Reilly, który najwyraźniej robił to co ja.

- Przepraszam - powiedział. - Rozmyślałem o tych powtórnych podaniach o fundusze.

Podniósł obie ręce - w prawej trzymał formularz - dłońmi zwróconymi na zewnątrz.

- Wymień swemu partnerowi trzy rzeczy, które ci się w Dyrekcji nie podobają.

- A można więcej? - spytałam. - Doktorze, to oznacza, że na swe makaki jeszcze poczekasz.

- Mów mi Bennett. Flip jest tu jedyną utytułowaną osobą. Miałem je dostać w tym tygodniu.

Teraz najwcześniej po dwudziestym. A ty? Czy to wpłynie na twoje badanie hula-hoop?

- Krótkich fryzur - poprawiłam. - Wpłynie tylko w ten sposób, że zajęta wypełnianiem głupich papierów nie będę miała czasu na pracę. Chciałabym, żeby Dyrekcja znalazła sobie jakieś inne zajęcie niż wypuszczanie nowych formularzy.

- Ciii - z irytacją syknął ktoś przy drzwiach. Przeszliśmy dalej korytarzem, by nas nie słyszano.

- Papiery to kamień węgielny Dyrekcji - szepnął Bennett. - Wydaje im się, że wypełnianie formularzy prowadzi bezpośrednio do odkrycia naukowego. Niestety, nauka nie funkcjonuje w ten sposób. Przykładem Newton i Archimedes.

- Właśnie, dyrekcja nigdy by nie zaaprobowała funduszy na sad ani na wannę.

- Ani na rzekę. Dlatego właśnie straciłem fundusze na teorię chaosu i musiałem przyjść do pracy PONUREj - powiedział Bennett.

- Czym się zajmowałeś?

- Loue, rzeka we Francji. Wypływa z grotty, więc jest to mały zamknięty system o stosunkowo niewielkiej liczbie zmiennych. Układy, które przedtem badano, były olbrzymie. Pogoda, ciało ludzkie, rzeki. Miały tysiące, nawet miliony zmiennych, co uniemożliwiało predykcję, więc doszliśmy do wniosku...

Z bliska jego krawat wydawał się jeszcze bardziej nijaki. Niby miał deseń, ale trudno było określić co to takiego. Nie drobniutki wzorek (modny w 1988 roku) ani nie groszek (1970). Nie można było również powiedzieć, że jest gładki.

- ...i mierzyliśmy temperaturę powietrza, wody, rozmiary groty, skład wody, roślinność na brzegach... - przerwał. - Ojej, chyba jesteś zajęta i nie masz czasu na słuchanie tego wszystkiego.

- Nie, to ciekawe - odparłam. - Muszę wrócić do siebie, ale odprowadzę cię aż do schodów.

- Dobrze, więc mój pomysł polegał na tym, że dokładnie mierząc każdy czynnik w systemie chaotycznym, potrafię wyizolować przyczynę chaosu.

- Flip - powiedziałam. - Przyczyna chaosu. Zaśmiał się.

- Inne przyczyny chaosu. Wiem, że mówienie o przyczynach chaosu wygląda jak sprzeczność sama w sobie, gdyż uważa się, że w układach chaotycznych załamuje się zwykła zasada przyczynowości. Są nieliniowe, co oznacza, że istnieje w nich mnóstwo wzajemnie powiązanych czynników i nie można ich przewidzieć.

Jak rozmaite manie, pomyślałam.

- Jednak rządzą tym pewne prawa - ciągnął Bennett. - Matematycznie określiliśmy niektóre z nich: entropia, niestabilność wewnętrzna i iteracyjność, to znaczy...

- Efekt motyla - wtrąciłam.

- Właśnie. Mała zmienna oddziałuje na system, z kolei to oddziaływanie oddziałuje, aż cały system ulega zmianie nieproporcjonalnej do wielkości tej zmiennej.

Potaknęłam.

- Motyl trzepoczący skrzydłami w Los Angeles potrafi wywołać tajfun w Hongkongu. Albo zebranie załogi w HiTeku.

- Wiesz coś na temat chaosu? - spytał pogodnie.

- Jedynie z własnego doświadczenia - odparłam.

- Tak, on tutaj rządzi. No więc moje zadanie polegało na oszacowaniu entropii po wielu iteracjach i sprawdzeniu, czy tak właśnie powstaje chaos, czy też gra tu rolę jakiś inny czynnik.

- Znalazłeś go?

Bennett miał zamyśloną minę.

- Teoretycy chaosu uważają, że z zasady nieoznaczoności Heisenberga wynika, iż chaos jest z natury nieprzewidywalny. Verhoest sądzi, że predykcja jest możliwa, i postuluje istnienie pewnej siły napędzającej chaos, czynnika X, wpływającego na jego zachowanie.

- Ćmy - powiedziałam.

- Co takiego?

- Albo szarańcza. Nie motyl.

- Aaa... słusznie. Ale on się mylił. Według mojej teorii jedynie iteracje są odpowiedzialne za wszystko, co ma miejsce w systemie chaotycznym, jeśli tylko wszystkie czynniki są znane i odpowiednio pomierzone. Nigdy jednak nie miałem szansy udowodnienia tego. Zdążyliśmy przeprowadzić jedynie dwa etapy eksperymentu, nim obcięto nam fundusze. Nie wykazaliśmy zwiększonej przewidywalności, czyli albo się myliłem, albo nie uwzględniłem wszystkich zmiennych.

Przystanął, położył dłoń na klawiszach. Staliśmy przy drzwiach jego gabinetu, a więc odprowadziłam go aż do Biologicznego.

- Chyba już wrócę do swojej pracy - powiedziałam, żałując, że nie mam więcej czasu na analizę krawata. - Muszę się przygotować na spotkanie z nową pomocnicą Flip. I wypełnić podania o przyznanie funduszy. - Popatrzyłam smętnie na papiery. - Są przynajmniej krótkie.

Spojrzał na mnie przez swe grube okulary.

- Tylko dwadzieścia dwie strony. - Machnęłam kartkami lekceważąco.

- Formularze o przyznanie funduszy nie zostały jeszcze wydrukowane - rzekł Bennett. - Mamy je dostać jutro. A to są -wskazał plik, który trzymałam w dłoni - nowe uproszczone formularze dla Działu Zaopatrzenia. Zamówienie na spinacze.

2. Strumyk

Jeśli chodzi o społeczne rytuały, ubiór, rozrywki
oraz związane z tym wszystkim wydatki,
ludzkość zawsze znajdowała się pod dyktando
bogaczy goniących za przyjemnościami.

Hugh Shetfield Suwerenność społeczeństwa, 1909

Golf miniaturowy (1 927 - 31)

Moda związana z wypoczynkiem. Niewielkie pola golfowe z osiemnastoma dość gęsto rozmieszczonymi dołkami. Teren urozmaicały młyny, wodospady i małe piaskowe pułapki. Łatwo wyjaśnić popularność tej taniej rozrywki: miała niski próg przyswajalności, wiele stopni zaawansowania i w latach wielkiego kryzysu pozwalała graczom żyć w przekonaniu, że są członkami ekskluzywnego klubu. Na terenie Stanów powstało ponad czterdzieści tysięcy pól miniaturowego golfa, a w szczytowym okresie zyskał taką popularność, że zagrażał nawet kinu. Studia filmowe zabroniły swym aktorom pokazywać się podczas gry w minigolf a. Umarł z powodu przedawkowania.

Źródła Kolorado również nie przypominają początku rzeki. Znajdują się w lodowcu w Green River Mountains i wyglądają jak przysypany śniegiem, zarzucony kamieniami kawałek tundry.

Jednak nawet podczas najcieplejszej zimy coś się tam topi -tu kropelka, tam strużka; na obszarpanych brzegach lodowca tworzy się warstwa wody ściekająca na zmarzniętą ziemię. Spada i zamarza, zbiera się powoli, niedostrzegalnie.

Z badaniami naukowymi jest podobnie. Nieczęsto zdarzają się olśnienia takie, jakiego doznał Archimedes, gdy wcho-

dził do wanny i nagle przyszło mu do głowy, jak zmierzyć ciężar właściwy metalu. Przeważnie wszystko polega na próbach i błędach, ponownych próbach, zbieraniu danych, eliminacji zmiennych, obserwowaniu wyników, ustalaniu, co się nie zgadza.

Popatrzmy na Arno Penziasa i Roberta Wilsona. Chcieli zmierzyć bezwzględne natężenie promieniowania radiowego kosmosu, najpierw jednak musieli pozbyć się szumu tła w detektorze.

Przenieśli detektor na wieś, by wyeliminować szum miejski, sygnały stacji radarowych i zakłócenia atmosferyczne. To pomogło, nadal jednak mieli szum tła.

Zastanawiali się, co go wywołuje. Ptaki? Weszli na dach i obejrzelij lejkowatą antenę. Istotnie, gnieździły się tam gołębie, pozostawiając odchody, które mogły powodować zakłócenia.

Przepędzili gołębie, oczyścili antenę, uszczelnili wszystkie otwory i pęknięcia (najprawdopodobniej taśmą klejącą), ale szum nie zniknął.

Trudno. Co jeszcze mogło być przyczyną? Strumienie elektronów z prób atomowych? Wówczas szum powinien się zmniejszać, gdyż próby zostały zakazane w 1963 roku. Przeprowadzili dziesiątki pomiarów, ale natężenie szumu się nie zmniejszało.

Otrzymywali tę samą wartość, bez względu na to, na jaką część nieba kierowali antenę, co już zupełnie się nie dawało wyjaśnić.

Uparcie ponawiali testy, sprawdzali, przyklejali i odklejali taśmę, skrobali gołębie odchody i dopiero po pięciu latach rozpaczliwych prób zdali sobie sprawę, że to wcale nie był szum tła, lecz mikrofała, echo Wielkiego Wybuchu.

W piątek Flip przyniosła mi nowe formularze podania o przyznanie funduszy - sześćdziesiąt osiem stron, źle zszytych. Trzy strony wypadły, gdy Flip człapała przez drzwi, a dwie kolejne, gdy wręczała mi papiery.

- Dziękuję, Flip - powiedziałam z uśmiechem.

Poprzedniego wieczora dotarłam do dwóch trzecich poematu Pippa przechodzi. Pippa namawia dwóch strasznie rozpustnych kochanków, by się nawzajem pozabijali, przekonuje zdradzonego studenta, by przedłożył miłość nad zemstę, oraz sprowadza skończonych nicponi na ścieżkę cnoty. A wszystko to osiąga śpiewając "Pora roku - wiosna; Wiosną wczesny dzionek". Pomyśleć, czego mogłaby dokonać, dysponując kartą biblioteczną.

“Możesz zmienić świat - brzmi przesłanie Browninga. - Zachowując się dziarsko i sygnalizując skręt w lewo, jedna, jedyna osoba potrafi pozytywnie oddziaływać na społeczeństwo”.

Szczurołap z Hamelin dowodzi, że poeta wiedział również, jak działają trendy.

Nigdy nie dostrzegłam pozytywnych skutków takich działań, ale Pippa również nie. Gdy następnego dnia wróciła do pracy w tkalni jedwabiu, nie zdawała sobie sprawy, ile dobrego uczyniła. Wyobrażam ją sobie na zebraniu załogi, zwołanym przez dyrekcję, by przedstawić nowy system zarządzania PLAGA. Tuż po ćwiczeniach wrażliwości jej kolega szepcze:

- No, Pippa, jak spędziłaś wolny dzień?

A Pippa tylko wzrusza ramionami i odpowiada:

- Nic szczególnego nie robiłam. Spacerowałam sobie.

Więc być może, mam większy wpływ na rozwój czytelnictwa i włączanie kierunkowskazów, niż mi się wydaje. A zachowując się miło i uprzejmie, powstrzymuję zalewające nas chamstwo.

No tak, ale Browning nigdy nie spotkał Flip. Warto jednak próbować. Pocięła mnie świadomość, że przynajmniej nie mogłam niczego pogorszyć.

Więc choć Flip nie podniosła kartek z podłogi, a nawet nastąpiła na jedną z nich, uśmiechnęłam się do niej.

- Jak się dziś czujesz? - spytałam.

- Ooo, cudownie - odparta sarkastycznie. - Wprost nadzwyczajnie. - Siadła na stole na wycinkach o krótkich fryzurach. - Nie uwierz pani, co oni mi każą robić.

Trochę popracować? - pomyślałam bezlitośnie, ale zaraz przypomniałam sobie, że postanowiłam iść w ślady Pippy.

- Jacy “oni”? - spytałam, schylając się po rozrzucone kartki.

- Ta cała Dyrekcja - odparta, przewracając oczyma. Miała na sobie jadowicie żółte rajstopy, nierówno ufarbowany podkoszulek i osobliwą kamizelkę, krótką, dziwnie zebraną na karku i pod pachami. - Czy wie pani, w jaki sposób mam dostać nowy tytuł i pomocnika?

- O, doprawdy? - uśmiechałam się nadal. - Dostaniesz nowy tytuł?

- Taaa. Jestem łącznikiem komunikacji międzywydziałowej - odpowiedziała. - Ale żeby dali mi pomoc, mam zasiąść w komisji do spraw przyjęć. Po godzinach pracy.

Dół kamizelki wykończony był rzędem zatrząsków. Tego stylu jeszcze nigdy nie widziałam. Flip nosi to prawdopodobnie dołem do góry, pomyślałam.

- Przecież chodziło o to, że jestem przepracowana i dlatego potrzebuję asystenta, no nie? Czy pani mnie słucha?

Noszenie ubrań w inny sposób, niż wyobrażał sobie projektant, to zawsze aktualny styl: nie związane sznurowadła, czapki baseballowe odwrócone daszkiem do tyłu, krawaty jako paski, koszulki jako sukienki. Nie można tego fasonu sprzedawać, bo nic on nie kosztuje. I nie ma w tym nic nowego. Licealistki w 1955 roku wkładały swetry zapięciem do tyłu. W latach dwudziestych ich matki, w krótkich spódniczkach, nie zapinały sprzączek wysokich butów. Gdy tańczyły charlestona, ruszając ramionami jak kurczak skrzydłami, metalowe sprzączki podskakiwały i pobrzękiwały “flap, flap”, stąd się wzięła nazwa “flapper”. Ale charleston pojawił się dopiero w 1923 roku, a wyraz “flapper” używany był już w 1920. - No więc chce pani tego słuchać czy nie?

Nic dziwnego, że Pippa śpiewała pod oknami ludzi. Gdyby musiała znosić ich towarzystwo, nie byłaby aż tak wesoła. Usiłowałam przybrać zainteresowaną minę.

- Kto jest jeszcze w tej komisji?

- Nie wiem. Ale mówiłam pani, nie mam czasu się tym zajmować.

- Czyżby nie zależało ci na dostaniu odpowiedniego asystenta?

- Jeśli miałabym zostawać po godzinach, to nie - odparta, z irytacją wyciągając spod siebie wycinki prasowe. - Ale w pani gabinecie bałagan! Nigdy tu pani nie sprząta?
- "Ślimak w igłach sosny; W trzepocie skowronek" - zadeklamowałam.
- Co takiego? Browning się mylił.
- Bardzo bym chciała porozmawiać - powiedziałam - ale muszę wypełnić te formularze. Flip nawet się nie ruszyła. Bez wyraźnego celu przeglądała moje wycinki.
- Zrób mi kserokopie tych wszystkich artykułów. Natychmiast. Nim pójdziesz na zebranie komisji.

Ani drgnęła. Wzięłam ołówek, podpisałam do uproszczonego formularza kartki, które wypadły, i skupiłam się na jego wypełnianiu.

Nigdy się specjalnie nie martwiłam o fundusze. To prawda, że w nauce i przemyśle panują mody, ale zachłanność jest zawsze na fali. W HiTeku chcieliby wiedzieć, co wywołuje rozmaite manie, by mogli wymyślić jakąś nową. A badania statystyczne są tanie. Potrzebowałam jedynie komputera z większą pamięcią. Nie oznaczało to jednak, że mogłam zlekceważyć formularze. Nawet gdybyś opracował absolutnie skuteczną metodę wytwarzania złota z ołowiu, jeśli nie wypełnisz formularzy i nie oddasz ich w terminie, Dykcja unicestwi cię w mgnieniu oka.

Cel projektu, metody eksperymentalne, przewidywane rezultaty, ranking analizy macierzowej. Ranking analizy macierzowej?

Odwróciłam stronę w poszukiwaniu instrukcji i kartka wypadła. Nie zamieszczono żadnej instrukcji ani tu, ani na końcu formularza.

- Czy dołączone były instrukcje? - spytałam Flip.
- Skąd mogę wiedzieć? - Wstała. - A to co takiego? Podetknęła mi jeden wycinek pod nos. Reklamę, na której uczesana na pazia blondynka stała obok hupmobilu.
- Chodzi ci o samochód?
- Neeee - odparła, długo wypuszczając powietrze. - Te jej włosy.
- Paż - powiedziałam, pochylając się nad kartką, by zobaczyć, czy to fryzura w stylu Eton, czy chłopczycy. Była pokarbowana w równe fale po obu stronach głowy. - Fale Marcela - wyjaśniłam. - To taka trwała zrobiona specjalnym elektrycznym aparatem. Jego używanie było niemal tak samo przyjemne jak borowanie zębów.

Jednak Flip już straciła zainteresowanie.

- Jeśli każą komuś zostawać po pracy albo robić coś ekstra, to powinni płacić nadgodziny. Na przykład za zszywanie tych wszystkich formularzy i roznoszenie. Nawet aż tam daleko, do Biologicznego.

- Dostarczyłaś je doktorowi O'Reilly'emu? - Pamiętałam, że ma zwyczaj utykać przesyłki po bliżej położonych pokojach.

- Oczywiście. Nawet mi nie podziękował. Co za śwuk!

- Śwuk?

Nie sposób nadażyć za trendami językowymi. Nawet nie staram się tego robić z pozycji naukowej, jednak znam slang, ponieważ używa się go do opisywania mody. Ale tego wyrażenia nie słyszałam nigdy.

- Nie wie pani, co to śwuk? - spytała takim tonem, że wolałabym, by Pippa we Włoszech rozdawała ludziom klapsy. - Zacojanya. Bez polotu. Cyber-fucio. Śwuk. - Przebierała obwinie-tymi taśmą ramionami, usiłując znaleźć odpowiednie słowo. - Kompletnie staromodny, bez stylu - powielala i z przesadną Stacją wyszła z pokoju cała w taśmie klejącej i w założonej dołem do góry kamizelce. Wycinków nie zabrała.

Kawiarnie (1450 -1554)

Moda z Bliskiego Wschodu. Zaczęła się w Adenie, rozprzestrzeniła na Mekkę, Persję i imperium osmańskie. Mężczyźni siedzieli na dywanach po turecku i, słuchając poetyckich recytacji, z malutkich filiżanek sączyli gęstą, czarną, gorzką kawę. W pewnym okresie kawiarnie były bardziej popularne od meczetów i zostały zakazane przez przywódców religijnych, którzy głosili, że odwiedzają je ludzie "o niskich wymaganiach i niewielkich umiejętnościach". Moda na nie rozszerzyła się na Londyn (1652), Paryż (1669), Boston (1675) i Seattle (1985).

W sobotę rano zadzwoniono do mnie z biblioteki z informacją, że przesunęłam się na czoło listy osób zapisanych na Prowadzeni przez los. Pojechałam więc do Boulder po książkę i prezent dla Brittany.

- Jeśli pani chce, może pani wziąć również Anioły, anioły wszędzie - powiedziała Lorraine. Dziś miała na sobie bluzę z dalmatyńczykiem, a w uszach czerwone kolczyki w kształcie hydrantów. - Dokupiliśmy wreszcie dwa dodatkowe egzemplarze. Akurat teraz, gdy nikt już tego nie bierze.

Kiedy Lorraine przejeżdżała piórem świetlnym po Prowadzonych przez los, przekartkowałam Anioły.

"Twój anioł stróż towarzyszy ci wszędzie - pisano. - Jest zawsze obok ciebie".

Rysunek przedstawiał anioła z dużymi skrzydłami wychylającego się zza pleców kobiety stojącej w kolejce do kasy w sklepie spożywczym.

"Możesz je ignorować, możesz nawet udawać, że nie istnieją, lecz to ich nie przegoni".

Dopóki moda na to nie przeminie, pomyślałam.

Wypożyczyłam Prowadzonych przez los i książkę na temat teorii chaosu z diagramami Mandelbrota, by mieć pretekst do wyprawy na Biologię i obejrzenia, w co ubrany jest doktor O'Reilly. Potem pojechałam do centrum handlowego na Pearl Street.

Lorraine miała rację. W księgarni wyprzedawano Anioł w moim mieszkaniu i Gotowanie z cherubinem, a cenę na Anielski kalendarz obniżono o połowę. Przed wejściem urządzono dużą ekspozycję Spotkania z wrózkami czwartego stopnia.

Poszłam na górę do działu dziecięcego, by obejrzyć kolejne książki o wrózkach: Kwietne wróżki (to już było w modzie wcześniej, około roku 1910); Wróżki, wróżki wszędzie; Wróżki, wróżki wszędzie, tom drugi; Kraina wesołych wrózek. Również Król Lew, książki o Batmanie, Power Rangersach i na temat Barbie.

Znalazłam wreszcie Ropuchy i diamenty w twardej okładce. Uwielbiałam to jako dziecko. Występuje tam wróżka, ale nie ze skrzydłami lila i kapeluszem w kształcie niebieskiego kwiatu dzwoneczka. W książce dziewczynka udziela pomocy odrażającej starej kobiecie, która okazuje się dobrą wróżką w przebraniu. Wartości głębsze kontra pozory. Lubię ten rodzaj przypowieści.

Kupiłam książkę i wyszłam na ulicę. Był piękny dzień babiego lata, niebo błękitne, powietrze rzeńskie. Centrum handlowe przy Pearl Street jest w sobotę wspaniałym miejscem do analizy trendów, gdyż po pierwsze, przewijają się tam tłumy ludzi, a po drugie, Boulder jest strasznie tip-top. Ludzie z innych części stanu nazywają to miasto Ludowa Republika Boulder. Na ulicach można tu spotkać stoiska rozmaitych wyznawców New Age'u, stragany z falafłami i ulicznych grajków.

Muzyka uliczna też ma swoje manie. Gitary się przeżyły, znowu popularne są bongosy. Po raz pierwszy były modne w 1958 roku, w szczycie powodzenia big-bitu; mają bardzo niski próg przyswajalności. "Uczes ze strąkiem" w stylu Flip jest na fali, podobnie "dawanie do rozumienia uczesem". I taśma klejąca. Widziałam dwoje ludzi z paskami wokół rękawów, a jeden mężczyzna w dredlokach i w kapeluszu miał taśmę na szyi - coś podobnego nosili Francuzi podczas mody a la

victime po rewolucji.

Tak się przypadkowo składa, że wówczas panowała moda na krótkie fryzury, odnowiona potem dopiero w latach dwudziestych dwudziestego wieku. Arystokraci ścinali włosy, by łatwiej wszystko szło na gilotynie, a w okresie cesarstwa krewni i przyjaciele nosili krótkie włosy jako wyraz hołdu dla ofiar. Wiązali również wokół szyi wąskie czerwone kokardy. Wątpię jednak, czy człowiek w dredlockach to samo miał na myśli. A może jednak?

Skończyły się plecaki, wkroczyły małe, dyndające na cienkim pasku portfele. Także kozaczki na kozuszkę, džinsy z dziurą na kolanie i flanelowe koszule w kratkę. Ani śladu sztruksów. Jazda na deskorolkach po chodniku, bez odrobiny szacunku dla ludzkiego życia, była niezwykle modna, podobnie powolny spacer we czwórkę, bez zwracania uwagi na otoczenie. Słoneczniki wypadły, popularne były fiołki. Także wygląd w stylu Sinead O'Connor i obwijanie włosów. Wszędzie widziało się długie cienkie pasma włosów ciasno przeplecione barwną nicią.

Kryształy i aromaterapia przeżyły się, zastąpione najwyraźniej przez rozrywki folklorystyczne. Agencje New Age'u oferowały irokeskie sauny, terapię w rosyjskiej bani i peruwiańską przygodę wizjonerską - za dwie osoby 249 dolarów, z posiłkami włącznie. Zauważyłam dwie etiopskie restauracje, filipińskie delikatesy i wózek sprzedający grzanki Indian Nawaho.

Ponadto kilka kawiarni, które wyrosły jak grzyby po deszczu: "Wyskok", "Espresso ekspres", "Cafe Lottie", "Filizanka u Joego", "Cafe Java".

Po chwili miałam dosyć omijania klaunów i deskorolkarzy, więc zaszłam do "Matki Ziemi", która teraz nazywała się "Cafe Krakatau" (na wschód od Jawy). Wewnątrz było równie tłoczno jak w alejkach centrum. Kelnerka z pasmem włosów na łysej czaszce zapisywała nazwiska.

- Czy chce pan usiąść przy wspólnym stole? - pytała chłopaka przede mną, wskazując długi stół, przy którym siedziało dwoje osób po przeciwnych końcach blatu.

Ten styl trafił do nas z Londynu, gdzie obcy ludzie muszą siedzieć razem przy stole, by wymieniać najnowsze plotki na temat księcia Karola i Kamili. U nas się to niespecjalnie przyjęło. Obcy wolą tu mówić o Rush Limbaughu lub własnych im-plantach włosów.

Kilka razy siedziałam przy wspólnym stole, gdy tylko ten obyczaj do nas zawitał. Sądziłam, że uzyskam w ten sposób świetną okazję do kontaktu z trendami w poglądach i w języku. Próbką mi jednak wystarczyła. Fakt, że ludzie czegoś doświadcniają, nie oznacza jeszcze, że potrafią to sformułować. Wszyscy gospodarze talk-show (które jak rak rozrosły się w niekontrolowany sposób i którym wkrótce grozi wymarcie z powodu braku pożywienia) już dawno powinni to sobie uświadomić.

- Jeśli nie wybiorę wspólnego stołu, jak długo będę musiał czekać? - spytał chłopak. Kelnerka westchnęła.

- Nie wiem. Może czterdzieści minut.

Miałam nadzieję, że nie staje się to aktualnym trendem.

- Ile? - spytała z kolei mnie.

- Dwie - odparłam, by nie posadzili mnie przy wspólnym stole. - Foster.

- Chodzi o pani imię.

- A dlaczego?

Przewróciła oczyma.

- Żebym mogła panią zawołać.

- Sandra - powiedziałam.

- Jak to się pisze?

No nie, tylko mi nie mówcie, że teraz styl a la Flip stał się trendem, pomyślałam.

Przeliterowałam, wzięłam alternatywne gazety i usadowiłam się w rogu. Nie miało sensu przeglądanie ogłoszeń osobistych, dopóki nie znalazłam się przy stole, ale artykuły były równie ciekawe. Wymyślono nową metodę usuwania tatuaży laserem; w Berkeley zabroniono palenia także na zewnątrz budynków; obowiązkowym kolorem na wiosnę był postmodernistyczny róż; małżeństwa znowu są popularne.

“Życie razem na kocią łapę jest przebrzmiałe - cytowano jedną ze znamienitych aktorek. - Wracają diamentowe pierścionki, wesela, wierność”.

- Susie! - zawołała kelnerka. Nikt nie odpowiedział.

- Susie, grupa dwuosobowa - powtórzyła, odrzucając swój mysi ogonek. - Susie.

Doszłam do wniosku, że albo chodzi o mnie, albo ktoś zrezygnował i wyszedł.

- Tutaj - powiedziałam.

Kelner ostrzyżony na trzech pajaców poprowadził mnie do stolika przy oknie, gdzie siedziało się z kolanami wkliniwanymi ciasno pod blat.

- Chcę od razu złożyć zamówienie - powiedziałam, nim zdążył odejść.

- Myślałem, że z panią jest jeszcze jedna osoba.

- Zaraz dojdzie. Poproszę podwójną cafe latte z chudym mlekiem, w szklance, posypane półgorzką czekoladą - wymieniłam inteligentnie.

Kelner westchnął i czekał na ciąg dalszy.

- Do tego brązowy cukier - dodałam.

Przewrócił oczyma.

- Sumatra, Yergacheffe czy Sulawesi? - zapytał. Spojrzałam w menu po pomoc, ale był tam jedynie cytat z Kahlila Gibrana.

- Sumatra - odparłam, gdyż wiedziałam, gdzie to leży. Znowu westchnął.

- W stylu kalifornijskim czy Seattle?

- Seattle.

- Z...?

- Z łyżeczką? - zgadywałam pełna nadziei. Przewrócił oczyma.

- Z jakim sokiem?

Klonowym? Wydawało się to mało prawdopodobne.

- Malinowym - oznajmiłam.

To najwyraźniej była jedna z możliwości. Poczłapał gdzieś, a ja otworzyłam gazetę na stronie ogłoszeń osobistych. Nie miało sensu zakreślać teraz “niepalących” - pojawiali się w każdym ogłoszeniu. W dwóch figurowali nawet w nagłówku. A jedna osoba, bardzo inteligentna, niezwykle przystojna i wysportowana, wymieniła ich aż dwukrotnie.

Słowo “przyjaciół” przebrzmiało, pienił się “kontakt duchowy”. Dwa razy wspomniano wróżki. Zauważyłam nowy skrót: GK. “MJSR szuka KBSNP. Musi być GK. Południe od Ba-seline, zachód od Dwudziestej Ósmej”. Zakreśliłam to i spojrzałam do słowniczka: GK - geograficznie kompatybilny. Nie było więcej zapotrzebowania na GK, ale w jednym ogłoszeniu wymieniono: “preferowany rejon ulica handlowa w Boulder”, a w innym: “Valmont lub Pearl, tylko dom 2500”.

Właśnie, rozmiar siedem, i niech poczta dostarczy mi to pod drzwi. Pomyślałam ciepło o Billym Rayu, któremu chciało się jechać aż z Laramie, by zaprosić mnie na kolację.

- Przestanę tu przychodzić - powiedziała Flip, sadowiąc się naprzeciw mnie. Miała na sobie sukienkę jak dla lalki, różowe podkolanówki aż do ud i parę pensjonarskich półbucików, wszystko włożone mniej więcej w dobrą stronę. - Kolejka jest na czterdzieści minut. A ty powinnaś w niej stanąć, pomyślałam.

- Mają tu wspólny stół - stwierdziłam.

- Nikt tam nie siada. Tylko śwuki i drętwole - powiedziała. - Raz żeśmy usiedli z Brinem przy wspólnym stole. - Pochyliła się, by podciągnąć podkolanówki.

Taśmy klejącej nie zauważyłam. Flip skinęła na kelnera.

- Z chudym mlekiem w szklance Jazula i mało piany - zamówiła nonszalancko. Spojrzała na mnie. - Brine zamówił lat-te z Sumatrą. - Wzięła moją torbę z księgarni. - Co to takiego?

- Prezent urodzinowy dla córeczki doktor Damati. Wyjęła zawartość i obracała ją w dłoniach.

- To książka - poinformowałam.

- Nie mieli na wideo? - Włożyła książkę z powrotem do torby. - Ja bym jej kupiła Barbie. - Odrzuciła pasmo włosów. Teraz zobaczyłam, że miała taśmę klejącą na czole. Pośrodku, w wyciętym otworze, widać było coś, co przypominało małe "n" wytatuowane między brwiami.

- Co masz wytatuowane?

- To nie tatuaż - odparła, odgarniając włosy, bym mogła się przyjrzeć. Rzeczywiście, było to małe "n". - Teraz nikt nie robi sobie tatuaży.

Już chciałam jej przypomnieć o sobie białej, ale zauważyłam, że zaklejona jest taśmą - małe kółeczko tam, gdzie przedtem była sowa.

- Tatuaże są sztuczne. Wpuszczają ci pod skórę chemikalia i kancerogeny - powiedziała. - A to jest piętno.

- Piętno? - spytałam. Po co właściwie rozpoczęłam tę rozmowę?

- Piętno jest naturalne. Nie wstrzykujesz sobie niczego. Ujawniasz tylko to, co już było w ciele. Wie pani, ogień to jeden z czterech żywiołów.

Sara z Chemicznego byłaby zachwycona.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - stwierdziłam. - Co oznacza to "n"?

Spojrzała zdezorientowana.

- Co oznacza? Nic nie oznacza. To jest "n". Rozumie pani, ja naturalna. To osobiste wyznanie.

Zaniechałam pytania, dlaczego jej osobiste wyznanie jest tak skromne albo czy nie wydaje jej się, że ktoś mógłby uznać to za skrót od "niekompetentna".

- To jest "n" - oświadczyła. - Osoba, która nie potrzebuje nikogo, zwłaszcza śwuka, co siada przy wspólnym stole i zamawia Sumatrę. - Westchnęła głęboko.

Kelner przyniósł nam kawę w szerokich filiżankach, co mogło być trendem, ale prawdopodobnie było po prostu praktyczne. Nalewanie gorącego napoju do wąskiej szklanki mogło się tragicznie skończyć.

Flip znowu westchnęła i z przygnębioną miną zlizwała pianę z łyżki o długiej ręczce.

- Czy czuła pani kiedyś świąd?

Ponieważ nie miałam pojęcia, co w tym wypadku znaczy świąd, również oblizywałam własną łyżkę, mając nadzieję, że pytanie było retoryczne.

Istotnie.

- No, tak jak dziś. Jest weekend, a ja tkwię tu z panią. - Westchnęła i przewróciła oczyma. - Faceci są do bani.

Zrozumiałam z tego, że miała na myśli Brine'a - chłopaka w glanach, ponakłuwanego ćwiekami.

- Życie jest do bani. Pytam siebie, co ja w tej pracy robię. Niewiele, pomyślałam.

- Wszystko jest do bani. Donikąd człowiek nie zmierza, niczego człowiek nie osiąga. A ja mam dwadzieścia dwa lata! - Zjadła całą łyżkę pianki. - No bo dlaczego ja nigdy nie mogę spotkać faceta, co nie jest śwukiem?

Może to z powodu tego tatuażu na czole, pomyślałam, ale zaraz uświadomiłam sobie, że ze mną

też nie jest lepiej.

- To tak jak w tekście Groupthink. - Spojrzała na mnie wyczekująco, ale potem wypuściła z płuc tyle powietrza, że myślałam, iż zupełnie oklapnie. - Nie wie pani co to Groupthink? To najważniejsza kapela w Seattle. W ich piosence tak leci: "Rozkręcam się na starcie, pluję, nic nie robię, tylko czuję świąd". Tu jest obskurnie - popatrzyła na mnie wściekle, jakby to była moja wina. - Muszę się stąd zbierać.

Schwyciła swój rachunek i poczłapała przez tłum do naszego kelnera.

Po chwili podszedł do mojego stolika i podał mi ten rachunek.

- Pani znajoma powiedziała, że pani płaci - oświadczył. -I że mi pani ma dać dwadzieścia procent napiwku.

Błękit Alicji (1902 - 04)

Modny kolor wylansowany przez córkę Teddy'ego Roosevelta, ładną, zwawą nastolatkę, której ojciec kiedyś powiedział: "Mogę być albo prezydentem Stanów Zjednoczonych, albo kierować Alicją. Chyba jednak nie potrafię robić obu tych rzeczy naraz". Alicja Roosevelt stała się jedną z pierwszych gwiazd mediów. Każdy jej ruch, każda wypowiedź, każdy strój były kopiowane przez skwapliwe rzesze. Gdy zaprojektowano dla niej sukienkę w kolorze pasującym do jej szaroniebieskich oczu, dziennikarze nazwali ten odcień błękitem Alicji. Barwa natychmiast zyskała popularność. W komedii muzycznej Irena śpiewano piosenkę pod tytułem "Suknia w kolorze błękit Alicji", sklepy sprzedawały szaroniebieskie tkaniny, kapelusze, wstążki do włosów, a setkom dziewczynek nadano imię Alicja i ubierano je nie w tradycyjny róż, lecz w błękit.

Gdy Flip sobie poszła, wróciłam do ogłoszeń. Sprawiały wrażenie smutnych i rozpaczliwych.

"K/R/B, bardzo samotna, szuka kogoś, kto naprawdę potrafi zrozumieć".

Spacerowałam po centrum handlowym, spoglądając na podkoszulki z wróżkami, poduszki z wróżkami, mydełka i wodę toaletową o nazwie "Czarodziejka" w butelce w kształcie

kwiatu. W sklepie papierniczym mieli karty z życzeniami, kalendarze i papier do pakowania - wszystko we wróżkowe wzory. Widziałam czajnik we wróżki i porcelanę łączącą w sobie kilka trendów: kubek do cafe latte ozdobiony wróżką przebraną za fiołek.

Słońce znikło, dzień poszarzał, ochłodziło się. Zanosilo się nawet na śnieg. Zaszłam do "Ostatniego Krzyku Mody", by się ogrzać i zobaczyć, jak dokładnie wygląda postmodernistyczny róż.

Moda na kolory związana jest na ogół z postępem technicznym. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, po przełomie w przemyśle farbiarskim, pojawiły się kolory fiołko-woróżowy i turkusowy, w latach sześćdziesiątych naszego stulecia - barwy świecące, później opalizujący brąz i szmaragd na karoseriach samochodów.

Nowych barw nie wymyśla się często, ale ten fakt nie peszy projektantów mody. Po prostu nadają nowe nazwy starym kolorom. Na przykład "szokujący róż" Elsy Schiaparelli w latach dwudziestych, czy "chanelowski beż", będący przedtem nijakim beżem. Można też nazwać kolor czyimś imieniem, bez względu na to, czy dana osoba to nosiła. Na przykład wiktoriański błękit, zieleń, czerwień i zawsze popularna - a przy tym mająca nazwę o wiele bardziej konsekwentną - wiktoriańska czerń.

Ekspedientka w "Ostatnim Krzyku Mody" rozmawiała ze swym chłopakiem przez telefon i starannie oglądała końce swych włosów.

- Czy mają państwo coś w różu postmodernistycznym? - spytałam.

- Taaa - odparła dziewczyna agresywnie i wróciła do telefonu. - Muszę tu obsłużyć jedną kobietę - powiedziała, z trzaskiem odłożyła słuchawkę i powlokła się ku wieszakom, szurając nogami.

To musi być teraz w modzie, pomyślałam, idąc za nią. Jest moda na Flip.

Przeszła obok stoiska z bluzami w anioły, przecenionymi o siedemdziesiąt pięć procent, i wskazała rząd stelaży.

- To jest róż po-mo. - Przewróciła oczyma. - Nie postmodernistyczny.

- Najmodniejszy kolor tej jesieni - powiedziałam.

- Nieważne - odparła i powlokła się z powrotem do telefonu.

Ja tymczasem oglądałam "najbardziej szalowy kolor od lat sześćdziesiątych".

Nic nowego. Po raz pierwszy, około 1928 roku, nazywał się różany popiół, a powtórnie, w 1954 roku, gołębioróżowy.

W obu wypadkach był to ponury, szarawy róż, odbierający barwę włosom i skórze. Nie wpłynęło to jednak na jego niesamowitą popularność. Bez wątpienia obecnie znowu się przyjmie w nowym wcieleniu po-mo.

Nazwa nieco gorsza od różanego popiołu, ale nazwy nie muszą być ponętne, by coś zrobiło furorę. Weźmy na przykład "wszawy", kolor roku 1776. A szalem na dworze Ludwika XVI był - nie żartuję - "pchli". I nie po prostu "pchli". Stał się tak popularny, że zyskał wiele apetycznych odcieni: młodopchli, staropchli, pchli brzuszek, pchle nóżki, mlecznopchli.

Kupiłam metr wstążki w odcieniu po-mo różu, by mieć to w laboratorium. Ekspedientka musiała więc odłożyć słuchawkę.

- To służy do owijania włosów - poinformowała mnie, spojrzęła z dezaprobatą na moją krótką fryzurę i źle mi wydała resztę.

- Podoba się pani róż po-mo? - spytałam. Westchnęła.

- To obowiązujący kolor na jesień.

Naturalnie. W tym leżała tajemnica wszystkich mód: instynkt stadny. Każdy chciał wyglądać tak jak wszyscy. Dlatego kupowali sobie białe kozuszki, spodnie rybaczeki, bikini. Ktoś jednak pierwszy musiał włożyć buty na platformach czy obciąć włosy, a to oznaczało przeciwstawienie się instynktowi stadnemu.

Swoje za mało reszty wraz z tasiemką włożyłam do torebki (trzymałam ją, bardzo teraz niemodnie, na ramieniu) i wyszłam na ulicę. Śnieg popadywał; uliczni grajkowie odziani w sandały air-bag i ekwadorskie koszule drżeli z zimna. Włożyłam rękawiczki z jednym palcem - coś zupełnie śwukowego - i poszłam w kierunku biblioteki. Oglądałam po drodze wystawy szykownych sklepów oraz kioski z bajglami i ogarniało mnie coraz większe przygnębienie. Nie miałam pojęcia, skąd biorą się mody, nawet ten lansowany obecnie postmodernistyczny róż. Projektant nie może zmusić ludzi do kupowania i noszenia rzeczy w danym kolorze, do układania na ten temat dowcipów, a gazet - do zamieszczania wstępniaków "Na co zanoszą się w modzie?"

Projektanci mody potrafią sprawić, by coś stało się popularne w jednym sezonie, zwłaszcza że w sklepach niczego innego nie można znaleźć, ale nie są w stanie zrobić z tego szału. W 1971 roku usiłowali wprowadzić spódnice midi i zupełnie im się nie udało. Przez lata przewidywali powrót kapeluszy; daremnie. Żeby coś stało się prawdziwą manią, reklama nie wystarcza. Trzeba czegoś jeszcze, ale nie miałam pojęcia co to takiego.

Im więcej zdobywałam danych, tym bardziej byłam przekonana, że nie w nich tkwi odpowiedź. Zwiększone poczucie niezależności, obawa przed zawstąpieniem, ułatwiona jazda na rowerze to tylko późniejsze wyjaśnienia zjawiska, którego nikt nie rozumiał. Zwłaszcza ja.

Zastanawiałam się nawet, czy zajmuję się właściwą dziedziną. Nie miałam satysfakcji z pracy, wszystko, co robię, wydawało mi się bez sensu, czułam jakiś... świąd.

To przez Flip, pomyślałam. Przez to, że wspomniała Bri-ne'a i Groupthink. Ona ma w sobie coś z antyanioła stróża. Wszędzie za mną chodzi, przeszkadza, zamiast pomagać, i wprowadza mnie w zły nastrój. Ale nie pozwolę, by popsowała mi weekend. Wystarczy, że psuje mi resztę tygodnia.

Kupiłam kawałek sernika po wiedeńsku i poszłam do biblioteki, by wypożyczyć Szkarłatne godło odwagi, Zieloną dolinę, Kolor purpury. Kiedy w to szare popołudnie przemarznięta wracałam do domu, kiepski nastrój jednak mi nie mijał. Nie mogłam się zabrać do pracy.

Zaczęłam czytać książkę o teorii chaosu, lecz przygnębiło mnie to jeszcze bardziej. Układy chaotyczne mają tyle zmiennych, że niepodobna przewidzieć zachowania się systemu, nawet gdyby działał według logicznych, prostych zasad. A nie działa tak.

Każda zmienna oddziałuje z każdą inną, zderzając się i splatając w nieoczekiwany sposób,

uruchamiając pętle iteracyjne wchodzące wielokrotnie do układu, przecinające i wiążące nawzajem zmienne na tyle różnych sposobów, że nic dziwnego, iż motyl może w takim układzie wywołać katastrofę. Albo nie wywołać nic.

Zrozumiałam, dlaczego doktor O'Reilly chciał badać układ o niewielkiej liczbie zmiennych. Ale co oznaczało "niewielkiej"? W książce pisano, że wszystko jest zmienną: entropia, grawitacja, oddziaływanie kwantowe pojedynczego elektronu lub nawet oddziaływanie gwiazdy w odległej części kosmosu.

Jeśli więc doktor O'Reilly miał rację i na jego system nie wpływały zewnętrzne czynniki X, nie można było uwzględnić w obliczeniach wszystkich zmiennych ani nawet ustalić, czym one są.

To wszystko przypominało mi rozwój manii. Zastanawiałam się, jakich zmiennych nie wzięłam pod uwagę, więc gdy zadzwonił Billy Ray, uchwyciłam się go jak tonący brzytwy.

- Tak się cieszę, że zadzwoniłeś - wyznałam szczerze. - Praca poszła mi szybciej, niż przypuszczałam, więc jednak mam wolne. Gdzie jesteś?

- W drodze do Bozeman. Gdy powiedziałaś mi, że jesteś zajęta, zrezygnowałam z tego seminarium i postanowiłam pojechać po targheesy, których długo szukałem. - Przerwał, a ja usłyszałam ostrzegawcze buczenie jego telefonu komórkowego. - Wrócę w poniedziałek. Może byśmy w przyszłym tygodniu wyskoczyli na kolację?

Mam ochotę na kolację akurat dziś wieczór, pomyślałam zrzędliwie.

- Znakomicie. Zadzwon, jak wrócisz - rzuciłam do słuchawki. Buczenie się wzmogło.

- Szkoda, że się tak mij... - odparł i wyszedł z zasięgu.

Stałam przy oknie, spojrzałam na pluchę i poszłam do łóżka z Prowadzonymi przez los. Przeczytałam od deski do deski, co nie stanowiło specjalnego wyczynu, gdyż książka liczyła zaledwie dziewięćdziesiąt cztery strony. Napisana była tak nędznie, że po prostu musiała stać się przebojem.

Jej główna teza głosiła, że wszystko jest zarządzane i organizowane przez anioły stróże, a bohaterka nałogowo wygłaszała kwestie w rodzaju:

"Wszystko ma swój powód, Derek! Zerwałeś nasze zaręczyny i spałeś z Edwiną, i przyczyniłeś się do jej śmierci, a ja szukałam pocieszenia u Paola, pojechałam z nim do Nepalu, by poznać znaczenie cierpienia i rozpacz, bez których prawdziwa miłość nie jest możliwa. To wszystko - katastrofa pociągu, samobójstwo Lilith, narkomania Halyarda, załamanie na giełdzie - zdarzyło się po to, byśmy mogli być razem. Och, Derek, wszystko ma jakąś przyczynę!"

Z wyjątkiem obcinania włosów. O trzeciej obudziłam się, w głowie tańczyła mi Irene Castle i skakały kije golfowe. To samo przytrafiło się Henri Poincaremu. Przez wiele, wiele dni rozmyślał nad jakąś matematyczną funkcją, a pewnego wieczora wypił za dużo kawy (która z pewnością działała w taki sam sposób jak zła literatura) i nie mógł zasnąć. Pomysły matematyczne zaczęły tłoczyć mu się do głowy.

A Friedrich Kekule? Zadumał się w autobusie i dostrzegł podskakujące dziko łańcuchy atomów węgla. Nagle jeden z tych łańcuchów zwinął się jak wąż gryzący własny ogon, tworząc pierścień. W ten sposób Kekule wynalazł pierścień benzenowy, rewolucjonizując chemię organiczną.

Irene Castle porzuciła kije golfowe i zatańczyła walca ze zmianą zwlekającą. Zapaliłam światło, otworzyłam Browninga.

Okazało się, że poeta znał Flip. Napisał wiersz "Monolog w hiszpańskim klasztorze". To właśnie o niej. "Grrr, ty świnió" - tak napisał, zapewne po tym, jak zgmiotła w kulki wszystkie jego wiersze. Ponadto: "Oto w mym sercu odraza". Postanowiłam zacytować to Flip następnym razem,

gdy zostawi mnie z rachunkiem.

Miniszorty (1971)

Moda odzieżowa. Nosił je każdy, ale wyglądały dobrze tylko na bardzo młodych i zgrabnych. Szorty zastąpiły minispódniczki z lat sześćdziesiątych i były reakcją na lansowane wtedy spódnice midi. Szyto je z satyny lub aksamitu, noszono często na szelkach do wysokich butów. Kobiety ubierały się tak do pracy. Pozwolono je nawet włożyć uczestniczkom konkursu Miss Ameryki.

Przez cały weekend prasowałam wycinki i usiłowałam zrozumieć uproszczony formularz podania o przyznanie funduszy. Co oznaczało "Parametry pokrycia zasięgu"? A "Ranking priorytyzacji efektywnościowej"? A co rozumieli przez "wymienić ramowe ograniczenia praw autorskich"? W porównaniu z tym szukanie źródła krótkich fryzur (a choćby nawet Nilu) wydawało się pestką.

Nikt też nie wiedział, co znaczy "klasyfikacja EDI". W poniedziałek wszyscy zachodzili do laboratorium statystycznego i się o to dopytywali.

Sara zajrzała przed południem. Wetknęła głowę przez drzwi.

- Czy wiesz, jak wypełnić te głupie papiery?

- Nie - odparłam.

- Co to według ciebie jest "współczynnik narastania wydatków"? - Oparła się o framugę. - Czy nie czujesz czasami, że powinnaś wszystko rzucić i zacząć od nowa?

Owszem, pomyślałam, spoglądając na monitor komputera. Przez cały rano czytałam wycinki, wyciągałam z nich istotne według mnie informacje, zapisywałam je na dysk oraz układałam program do obróbki i interpretacji statystycznej. Billy Ray określiłby to jako "pakowanie do komputera i naciskanie guzika".

Nacisnęłam właśnie guzik i oto co za niespodzianka: nie było żadnej niespodzianki. Istniała korelacja między liczbą czynnych zawodowo kobiet a liczbą oburzonych artykułów na temat krótkich włosów, a jeszcze silniejszy związek między liczbą fryzur na pazia a sprzedażą papierosów; żadnego natomiast powiązania między długością włosów a długością spódnic, co mogłam przewidzieć. Rąbek spódnicy obniżył się do połowy łydki w 1926 roku, włosy natomiast stawały się coraz krótsze, aż do załamania w 1929 roku, przy czym obcięcie na chłopczycę pojawiło się w 1925 roku, a jeszcze krótsze strzyżenie w stylu Eton w 1926.

Najsilniejsza korelacja wystąpiła w przypadku kapeluszy w kształcie dzwonu, co podpira teorię "wozu przed koniem" i ponad wszelką wątpliwość udowadnia, że statystyka to nie wszystko.

- Ostatnio popadam w depresję z powodu tej sprawy - mówiła Sara. - Zawsze uważałam, że chodzi po prostu o wyższy niż u mnie próg wchodzenia we wzajemne relacje, ale sądziłam też, że to może część struktury odmowy, nieodłączna od stosunków współzależności.

Mówi o Tedzie, który po prostu nie chce się żenić, wyjaśniłam sobie w duchu.

- A w ten weekend tak sobie dumam: o co chodzi? Ja postępuję ścieżką intymności, a on jest na odgałęzieniu?

- Świąd - powiedziałam.

- Co takiego?

- To co czujesz. Jakbyś rozkręcała się na starcie. Czy przypadkiem nie natknęłaś się na Flip podczas tego weekendu?

- Widziałam ją dziś z rana - odparła. - Przyniosła mi pocztę doktora Applegate'a.

Antyanioł wędruje przez świat, siejąc mrok i zniszczenie.

- No cóż, pójdę do Dyrekcji. Może tam mi ktoś powie, co to takiego "współczynnik narastania wydatków". - I wyszła.

Wróciłam do swych danych na temat krótkich fryzur. Przyjrzałam się rozmieszczeniu terytorialnemu w 1923, potem w 1922 roku. Ujawniły się skupiska w Nowym Jorku i Hollywood, co nie wywoływało zdziwienia, oraz w St. Paul w Minnesocie i Marydale w Ohio, co już było zaskakujące. Na wycucie wybrałam Montgomery w Alabamie. Skupisko zbyt małe, statystycznie nieistotne, ale to wystarczało, by wyjaśnić skupisko w St. Paul. W Montgomery F. Scott Fitzgerald poznał Zeldę, a St. Paul było jego rodzinnym miastem. Mieszkańcy z pewnością usiłowali dotrzymać kroku bohaterce opowiadania Bereni-ce obcina włosy. Nie wyjaśniało to jednak przypadku Marydale w Ohio. Zrobiłam rozmieszczenie terytorialne dla 1921 roku. W Marydale skupisko istniało również wtedy.

- Ma pani. - Flip podsunęła mi moją pocztę pod nos.

Widocznie nikt jej nie powiedział, że teraz nosi się róż po--mo, gdyż miała na sobie wściekle jaskrawoniebieską spódniczkę i legginsy oraz cały zestaw taśm klejących.

- Cieszę się, że tu zaszłaś - powiedziałam, zgarniając stos wycinków prasowych. - Jesteś mi winna dwa dwadzieścia za cafe latte. Skopiuj mi to wszystko. A, poczekaj. - Podałam jej ogłoszenia osobiste, które przejrzałam w sobotę, i dwa artykuły o aniołach. - Zrób po jednej kopii.

- Nie wierzę w anioły - oświadczyła. Jak zwykle w pierwszej linii.

- Kiedyś wierzyłam, ale od czasu historii z Brinem już nie wierzę. No bo jeśli naprawdę miałabym anioła stróża, toby

mnie pocieszył, jak miałam dołek, i by mi załatwił zwolnienie z komisji i tak dalej

- A we wróżki wierzysz?

- Chodzi pani o dobre wróżki? - spytała. - Oczywiście, jeszcze jak.

Oczywiście.

Wróciłam do krótkich fryzur. Marydale w Ohio. Dlaczego było to tak gorące miejsce, jeśli chodzi o krótkie fryzury? Gorące, powtórzyłam sobie. Może z powodu niezwykłych upałów w Ohio latem 1921? Długie włosy lepiły się do szyi i kobiety powiedziały sobie: "Dość, więcej tego nie zniesiemy".

Pobrałam dane na temat pogody w stanie Ohio między czerwcem a wrześniem i zaczęłam szukać Marydale.

- Masz wolną chwilę?! - zawołał ktoś od drzwi. Elaine z Działu Kadr. Na czole miała opaskę, na twarzy kwaśną minę. - Czy wiesz, co może znaczyć "współczynniki formatu ograniczeń kooperanckich"?

- Nie mam pojęcia. Pytałaś w Dyrekcji?

- Byłam u nich dwa razy, ale nie mogłam się dostać. Kłębią się tam straszne tłumy. - Westchnęła głęboko. - Jestem totalnie zestresowana. Poszłabyś poćwiczyć?

- Wchodzenie po schodach? Potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Wchodzenie po schodach nie rozwija masy mięśniowej. Lepsza jest wspinaczka po ścianie. W sali gimnastycznej na Dwudziestej Ósmej Ulicy. Mają tam haki i całe wyposażenie.

- Nie, dziękuję. Ściany mam tu na miejscu - odparłam.

Rozejrzała się krytycznie i wyszła. A ja wróciłam do krótkich fryzur. W 1921 roku temperatury w Marydale kształtowały się nieco poniżej średniej. Nie było to rodzinne miasto ani Irene Castle, ani Isadory Duncan.

Zostawiłam na razie tę miejscowość i porobiłam wykresy Pareto oraz zapuściłam programy na regresję. Otrzymałam słabą korelację między chodzeniem do kościoła a krótkimi fryzu-

rami, ale silny związek między krótkimi fryzurami a sprzedażą hupmobilów. Jednak program nie wykazał takiej korelacji między sprzedażą packardów czy fordą modelu T. Natomiast bardzo silna

korelacja ujawniła się między krótkimi fryzurami a liczbą kobiet zatrudnionych jako pielęgniarki. Pobrałam spis amerykańskich szpitali w 1921 roku. W promieniu stu kilometrów od Mary dale nie było ani jednego.

Weszła Gina. Z jej miny można było wyczytać niepokój.

- Nie wiem, jak wypełnić formularz - powiedziałam, nim zdążyła o cokolwiek zapytać. - Nikt tego nie wie.

- Naprawdę? - odparła wymijająco - Nawet na to nie spojrzałam. Cały czas siedzę w tej głupiej komisji rozpatrującej kandydatów na asystentów dla Flip. Co według ciebie jest najważniejszą kwalifikacją takiej osoby?

- Być przeciwnieństwem Flip - stwierdziłam, a gdy Gina się nie roześmiała, dodałam: - Fachowość, pogodne usposobienie, chęć do pracy.

- No właśnie - poparła mnie. - Jeśli zatem zgłasza się ktoś o tych zaletach, natychmiast go zatrudnisz, prawda? I jeśli ta osoba ma jeszcze dodatkowe przymioty, tak jak ta pani, nie odrzucasz jej z powodu jakiejś małej ułomności i nie tracisz czasu na przesłuchiwanie kilkudziesięciu innych kandydatów. Zwłaszcza jeśli masz tyle roboty, na przykład wypełnianie tych dziwacznych formularzy i przygotowanie przyjęcia urodzinowego. Wiesz, co Brittany wybrała, gdy oświadczyłam jej, że nie ma mowy o Power Rangersach? Barneya! A ona przecież jest kompetentna, ma pogodne usposobienie i ochotę do pracy. Mam rację?

Nie wiedziałam, czy Gina mówi o Brittany czy o kandydatce na asystentkę.

- Barney to coś okropnego - powiedziałam.

- Właśnie - odparła Gina, jakbym dostarczyła argumentów na jej tezę. - Ja głosuję za jej zatrudnieniem. - I energicznie wyszła.

Wróciłam do komputera. Kapelusze w kształcie dzwonu, hupmobile, Marydale w stanie Ohio. Raczej żadna z tych rzeczy nie wywołała mody na krótkie fryzury. A więc co nagle spowodowało tę manię?

Weszła Flip ze stertą wycinków i ogłoszeń osobistych, które jej dałam przed chwilą.

- Co ja miałam z tym zrobić? - zapytała.

Mesmeryzm (1778 - 84)

Moda w nauce, do której przyczyniły się odkrycie magnetyzmu, spekulacje na temat jego zastosowań medycznych, a także chciwość. W Paryżu ludzie z towarzystwa tłoczyli się do doktora Mesmera, by poddać się kuracji "magnetyzmem zwierzęcym". Stosowano kąpiele w "magnetyzowanej wodzie" oraz żelazne pręty, a pomocnicy doktora Mesmera, ubrani w lawendowe fartuchy, masowali pacjentów, patrząc im głęboko w oczy. Pacjenci krzyczeli, szlochali i popadali w trans, a przy wyjściu płacili. Uważano, że hipnoza i magnetyzm zwierzęcy leczą wszystko, od tumorów po suchoty. Szaleństwo przebrzmiało, gdy badania naukowe prowadzone przez Beniamina Franklina wykazały, że to nieprawda.

We wtorek Dyrekcja zwołała kolejne zebranie.

- Chcą wyjaśnić ten uproszczony formularz - powiedziałam do Giny, schodząc do bufetu.

- Mam nadzieję. - Wyglądała na zgnębioną jeszcze bardziej niż wczoraj. - Dla odmiany miło by było zobaczyć kogoś na pozycjach obronnych.

Miałam zamiar zapytać, co ma na myśli, ale właśnie zauważyłam w drugim końcu sali doktora O'Reilly'ego rozmawiającego z doktor Turnbull. Miała na sobie kostium w odcieniu po-mo różu (bez poduszek na ramionach), on natomiast - wzorzystą koszulę z nonironu z lat siedemdziesiątych. Nim to wszystko zarejestrowałam, Gina zasiadła przy naszym stole z Sarą, Elaine i kilkoma innymi osobami.

Podeszłam do nich, przygotowana na rozmowę o problemach życia osobistego i marszów wysiłkowych, ale dyskusja dotyczyła nowej asystentki Flip.

- Nie sądziłam, że można przyjąć kogoś gorszego od Flip - powiedziała Elaine. - Jak mogłaś, Gino!

- Ona jest bardzo kompetentna - broniła się Gina. - Zna Windowsy, pakiet programów statystycznych i wie, jak naprawić zepsutą kopiarke.

- To wszystko nie ma znaczenia - rzekła kobieta z Fizyki, choć według mnie miało to znaczenie.

- Ja z nią nie zamierzam współpracować - odezwał się człowiek z Rozwoju Produkcji. - I nie mów mi, że nie wiedziałas, że należy do takich. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby się przekonać.

Nietolerancja to jeden z najstarszych i najobrzydliwszych trendów i tylko dlatego jest stale popularna, że obiekt się zmienia: hugenoci, Koreańczycy, homoseksualiści, muzułmanie, Tut-si, Żydzi, kwakrzy, wilki, Serbowie, gospodynie domowe z Salem. Przychodzi kolej na każdą niemal grupę, byle tylko była nieliczna i czymś się od otoczenia różniła. Schemat jest zawsze podobny - dezaprobata, izolacja, demonizacja, prześladowania. Dlatego warto by znaleźć przyczynę uruchamiającą te tendencje. Ja w tym wypadku wolałabym je unieruchomić na zawsze.

- Podobne osoby nie powinny dostawać pracy w tak dużej firmie jak HiTek - stwierdziła Sara, którą w zasadzie lubię, mimo jej psychologicznego bełkotu na temat Teda.

A doktor Applegate, który nie powinien tego mówić, dodał zdegustowany:

- Jeśli ją zwolnicie, może was podać do sądu za dyskryminację. To jest najgorsze w tej całej akcji afirmatywnej.

Zastanawiałam się, do jakiej dziwacznej grupki należy ta nieszczęsna nowa asystentka Flip. Pochodzi z Ameryki Południowej, jest lesbijką, członkinią NRA?

- Jej noga nie postanie w moim laboratorium - oświadczyła kobieta w turbanie. - Nie mam zamiaru ryzykować zdrowia.

- Ale ona nie będzie paliła w pracy - zapewniała Gina. - Potrafi pisać na maszynie z prędkością stu uderzeń na minutę.

- Co ty wygadujesz! - rzekła Elaine. - Nie czytałaś raportu FDA o szkodliwości biernego

palenia?

Z drugiej jednak strony są chwile, kiedy miałam reformować rasę ludzką, miałabym ochotę całkowicie ją opuścić i zostać na przykład makakiem doktora O'Reilly'ego. One mają z pewnością więcej rozumu.

Już miałam to powiedzieć Elaine, gdy O'Reilly schwycił mnie za rękę.

- Usiądź ze mną. - I odciągnął mnie. - Będiesz moim partnerem, gdyby Dyrekcja przeprowadzała nowe ćwiczenia wrażliwości. - Spojrzał na mnie niepewnie. - Chyba że wolisz siedzieć z tamtymi znajomymi.

- Nie - odparłam. Właśnie skupiali się wokół Giny. - W tej chwili nie.

- Dobrze. Podczas ostatnich ćwiczeń wrażliwości popadłem na Flip. - Usiedliśmy. - No więc, jak postępują badania nad trendami?

- W ogóle nie postępują. Wybrałam krótkie fryzury, gdyż chodziło mi o manię powstałą bez wyraźnej przyczyny. Większość mód spowodowana jest przełomem technicznym. Nylon, łózka wodne, świecące adidas...

- ...Prywatne schrony przeciwiatomowe. Kiwnęłam głową.

- Albo są wynikiem reklamy, jak zgaduj-zgadula, pluszowe misie...

- ...I prywatne schrony przeciwiatomowe.

- Właśnie. Fryzura nic nie kosztowała, jedynie tyle co wizyta u fryzjera. A jeśli ktoś i na to nie miał pieniędzy, musiał tylko ciachnąć nożyczkami, a to narzędzie jest dostępne od dawna. - Już zaczynałam wzdychać, ale uświadomiłam sobie, że upodobnię się w ten sposób do Flip.

- W czym więc trudność? - spytał Bennett.

- W tym, że szal krótkich fryzur nie miał wyraźnej przyczyny. Przez chwilę wydawało mi się, że może chodzić o Irenę Ca-stle, ale okazało się, że naśladowała ona modę holenderską, a jeszcze rok wcześniej podobny styl uczesania popularny był w Paryżu. Inne zjawiska nie wykazują korelacji w badanym przeze mnie okresie. Czy słyszałeś kiedykolwiek o mieście Marydale w Ohio?

- Dzień dobry państwu - powiedział przedstawiciel Dyrekcji z podium. Miał na sobie koszulkę polo, na nogach sportowe buty, na twarzy pogodny uśmiech. - Witamy wszystkich z prawdziwą radością.

- O co tym razem chodzi? - szepnęłam do Bennetta.

- Typuję, że o nowy akronim - odparł cicho. - Generalna Łącznościowa Unifikacja Pracowników. - Napisał pierwsze litery w swym notatniku. GŁUP.

- Porządek dzienny przewiduje dziś kilka spraw - zakomunikowała Dyrekcja. - Po pierwsze, niektórzy z państwa mieli drobne trudności z wypełnieniem uproszczonego formularza alokacji funduszy. Otrzymają państwo okólnik, który wyjaśni wszystkie wątpliwości. Łącznik komunikacji międzywydziałowej sporządza właśnie kopie.

Bennett oparł głowę na stole.

- Po drugie, chciałbym zakomunikować, że w HiTeku przyjmujemy od tego tygodnia zasadę strojów nieformalnych. To nowy pomysł, wprowadzany przez przodujące korporacje. Luźne ubranie stymuluje swobodniejszą atmosferę w pracy i silniejsze współdziałanie między kolegami. Oczekuję więc, że od jutra będą państwo przychodzić do pracy swobodnie ubrani.

Zrezygnowałam ze słuchania i zaczęłam uważnie przyglądać się Bennettowi. Wyglądał strasznie. Koszula z poliestru miała wzór w małe stokrotki w różnych odcieniach brązu, jednak żaden z nich nie pasował do brązowych sztruksów. Na wierzch doktor O'Reilly włożył rozpinany sweter w mysim kolorze.

Nieważne tu było samo ubranie. Serial The Brady Bunch wprowadził modę na lata siedemdziesiąte. Flip miała wczoraj na sobie satynowe spodnie w stylu disco; buty na platformach i złote łańcuchy widziało się wszędzie w sklepach w Boulder. Bennett jednak nie wyglądał retro. Wyglądał jak śwuk. Miałam wrażenie, że gdyby nawet włożył kurtkę lotniczą i adidas, nadal by tak wyglądał. Jakby był z samej swej natury antytrendowy.

Ale to również nie to. Wiele szaleństw powstało z negacji obowiązującej linii. W latach sześćdziesiątych długie włosy były protestem wobec strzyżenia na jeża z lat pięćdziesiątych; krótkie, płaskie, nie uwydatniające kształtów sukienki z lat dwudziestych to reakcja na przesadne wiktoriańskie turniury i gorsety.

Bennett nie był buntownikiem, raczej obojętnym na wszelką modę. Jednak właściwszym określeniem byłoby: odporny.

Jeśli więc był odporny na szaleństwa mody, czy oznaczało to, że wywołuje je jakiś wirus? Spojrzałam na Ginę, obok której siedzieli przy stole Elaine i doktor Applegate i z poważnymi minami szeptali o rozedmie płuc oraz ostrzeżeniu ministra zdrowia. Czy Bennett był rzeczywiście odporny na modę czy tylko kompletnie staromodny, jak to określiła Flip?

Otworzyłam notatnik, napisałam: "Zatrudnili asystentkę Flip" i podsunęłam to O'Reilly'emu.

Odpisał mi: "Wiem. Spotkałem ją dzisiaj. Ma na imię Shirl".

"Czy wiesz, że ona pali?" - napisałam i obserwowałam jego minę, gdy to czytał. Ani się nie zdziwił, ani nie okazał odrazy.

"Flip mi o tym mówiła - odpisał. - Powiedziała, że Shirl za-truje środowisko pracy. Przyganiał kocioł garnkowi".

Uśmiechnęłam się.

"Co oznacza «n» wytatuowane na czole Flip?" - napisał. "To nie jest tatuaż, ale piętno" - sprostowałam. "Niekompetentna, nieznośna?"

- Nowatorstwo - mówiła Dyrekcja, a my z Bennettem spojrzeliśmy na siebie zawstyżeni. - Tak oto dochodzimy do trzeciego punktu naszego zebrania. Kto z państwa wie, co to jest Grant Niebnitza?

Ja wiedziałam. I choć nikt nie podniósł ręki, mogłam się założyć, że wszyscy wiedzieli. To największy grant naukowy, większy nawet niż Grant MacArthura. W zasadzie nie nakłada on żadnych dodatkowych ograniczeń. Naukowiec dostaje pieniądze i może je wydać na dowolne badania. Albo opalać się na Bahamach.

Jest to również najbardziej tajemniczy ze wszystkich gran-tów. Nikt nie wie, kto go przyznaje, za co i kiedy. W ubiegłym roku przyznano go Lawrence'owi Chinowi, zajmującemu się sztuczną inteligencją; cztery osoby otrzymały go rok wcześniej, a jeszcze poprzednio przez trzy lata nie został przyznany nikomu. Ludzie z komitetu Niebnitza (nikt nie wie, kto to taki) zlatywali od czasu do czasu jak te anioły z nieba na jakiegoś zaskoczzonego naukowca i sprawiali, że już nigdy nie musiał wypełniać uproszczonego formularza alokacji funduszy.

Nie stawia się żadnych żądań, nie wymaga papierów, nie faworyzuje żadnej dziedziny badawczej. Wybrańcy sprzed dwóch lat to: laureat Nagrody Nobla, asystent na uczelni, chemik z francuskiego instytutu naukowego, wynalazca amator. Jeden natomiast fakt znany jest z całą pewnością - wysokość grantu. Dyrekcja pisała to właśnie na dużej karcie: 1 000 000 dolarów.

- Zdobywca Grantu Niebnitza otrzymuje milion dolarów, które może wydać na dowolne wybrane przez siebie badania. -Dyrekcja zerwała z tablicy kartę. - Grant Niebnitza przyznawany jest za wrażliwość naukową. - Napisał "nauka". - Za myślenie dywergentne. - Napisał "myślenie". - I za stosowne predyspozycje do dokonania istotnego odkrycia. - Dodał "odkrycie", po czym postukał wskaźnikiem poszczególne słowa. - Nauka. Myślenie. Odkrycie.

- Co to wszystko ma wspólnego z nami? - spytał cicho Ben-nett.
- Dwa lata temu Grant Niebnitza dostał pewien instytut w Paryżu - powiedziała Dyrekcja.
- Wcale nie, otrzymał go naukowiec, który tam pracuje -szepnęłam.
- A tam stosuje się przestarzałe techniki zarządzania -stwierdziła Dyrekcja.
- O nie! - mruknęłam. - Dyrekcja oczekuje, że zdobędziemy Grant Niebnitza!
- Ale przecież nikt nawet nie wie, jak się go przyznaje -powiedział cicho Bennett.

Dyrekcja spojrziała na nas lodowato.

- Komitet Grantu Niebnitza szuka wybitnych twórczych projektów, mogących się przyczynić do istotnego odkrycia naukowego, a o to chodzi w PONURze. Teraz proszę państwa o dobranie się w grupach i zapisanie pięciu rzeczy, które mogą państwo zrobić, by uzyskać Grant Niebnitza.

- Modlić się - zaproponował Bennett. Wzięłam kartkę i zapisałam:

1. Optymalizacja potencjału
2. Zasilanie sfery realizacyjnej
3. Wdrażanie perspektywiczne
4. Strategizacja priorytetów
5. Wzmocnienie podstawowych struktur

- Co to takiego? - spytał Bennett, czytając spis. - To nie ma sensu.
- Podobnie jak oczekiwanie, byśmy dostali Grant Niebnitza - stwierdziłam i podałam kartkę.
- Teraz weźmy się do pracy. Musimy myśleć dywergentnie.

Dokonajmy istotnego odkrycia - ogłosiła Dyrekcja i wymaszerowała ze wskaźnikiem pod pachą.

Wszyscy pozostali na miejscach, osłupiali. Wyjątek stanowiły tylko Alicja Turnbull, która robiła w swym kalendarzu pośpieszne notatki, oraz Flip, która weszła do sali i zaczęła rozdawać papiery.

- Przewidywane rezultaty: istotne osiągnięcie naukowe -powiedziałam, kręcąc głową. - Krótkie fryzury z pewnością do tego nie należą.

- Czy oni nie wiedzą, że nauka nie rozwija się w ten sposób? Nie możesz sobie nakazać odkrycia naukowego. Ono pojawia się, gdy spoglądasz na coś, nad czym przez lata pracowałeś, i nagle dostrzegasz związek, którego nigdy wcześniej nie zauważyłeś. Albo gdy patrzysz na coś zupełnie innego. Czasami pojawia się przez czysty przypadek. Nie dokonasz odkrycia po prostu dlatego, że masz chęć. Czy oni tego nie wiedzą?

- Zauważ, że ci ludzie awansowali Flip. Co to takiego "stosowne predyspozycje do dokonania istotnego odkrycia"?

- Dla Fleminga była to obserwacja, że pleśń zabija bakterie - powiedział Ben.

- A skąd Dyrekcja wie, że Grant Niebnitza przyznawany jest za twórcze projekty z perspektywą? Skąd wiedzą, że istnieje jakikolwiek komitet? Niebnitz może być po prostu starym bogatym facetem, dającym pieniądze na projekty, które nie wykazują żadnego potencjału.

- Wówczas my jesteśmy pewniakami - stwierdził Bennett.

- Z tego, co wiemy, wynika, że Niebnitz może przyznać grant osobie, której nazwisko zaczyna się na C albo generuje je z sufitu.

Flip niedbale człapała obok. Wręczyła kartki Bennettowi.

- Czy to instrukcja, jak wypełniać uproszczony formularz? - spytał.

- Nieee. - Przewróciła oczyma. -To petycja, żeby bufet był rejonem całkowicie wolnym od

dymu.

Powoli odmaszerowała.

- Wiem teraz, co oznacza to "n" - oświadczyłam. - "Niezdolna".

Kiwnął głową.

- "Nie do wytrzymania".

Czapki z szopa (maj - grudzień 1955)

Szał, który ogarnął dzieci. Zainspirowany telewizyjnym serialem Walta Disneya Davy Crockett, o bohaterze pogranicza z Kentucky, który walczył pod Alamo i jako trzylatek "ziabił misia". Czapkom towarzyszyły inne przedmioty: łuki i strzały, noże i strzelby na kapiszony, lassa, koszule z frędzlami, rogi na proch, pojemniki na śniadanie, układanki, książeczki do kolorowania, piżamy, spodnie i siedemnaście nagranych wersji Ballady o Davym Croketcie. Każde dziecko w Ameryce знаło wszystkie zwrotki na pamięć. Zabrakło skór szopów i zaczęto rozpruwać przebrzmiały hit - futra z szopów z lat dwudziestych. Niektórzy chłopcy obcinali sobie nawet włosy na kształt szopiej czapy. Moda załamała się tuż przed Gwiazdką 1955 roku - w sklepach pozostały setki nie sprzedanych czapek.

Następnego dnia, gdy wywracałam laboratorium do góry nogami w poszukiwaniu wycinków prasowych, które dałam Flip do skopiowania, doszłam do wniosku, że nowa asystentka musiała być przydzielona do Biologii. Dlatego Bennett ją tam spotkał. W południe odwiedziła mnie Gina.

- Nie dbam o to, co mówią. Zatrudniając ją postąpiłam słusznie - powiedziała. Wyglądała na osobę zaszczutą. - Shirl prawidłowo wydrukowała i poukładała dwadzieścia egzemplarzy mojego artykułu. Nic mnie nie obchodzi, że wdycham wtór-no-wtórny dym.

- Wtórno-wtórny dym?

- Flip nazywa tak powietrze wydychane przez palaczy. Ale ja się tym nie przejmuję. Warto.

- Shirl została przydzielona do was? Gina skinęła głową.

- Dziś rano dostarczyła mi listy. Moje listy. Musisz postarać się, by przydzielono ją również do ciebie.

- Postaram się - oparłam.

Łatwiej jednak było to powiedzieć, niż zrobić. Mając asystentkę, Flip (wraz z moimi wycinkami) zniknęła z powierzchni ziemi. Dwukrotnie przeszukałam cały budynek; bufet, gdzie na każdym stole znajdował się duży napis PALENIE WZBRONIONE; Dział Zaopatrzenia, gdzie Desiderata usiłowała zrozumieć, co to jest cartridge do drukarki. W końcu zastałam Flip w moim laboratorium. Siedziała przy moim komputerze i coś pisała.

Usunęła napis z ekranu, nim zdołałam zobaczyć, co to takiego, i podskoczyła. Powiedziałabym, że miała skruszoną minę, o ile w ogóle zdolna byłaby do skruchy.

- Pani go nie używała - stwierdziła. - Pani tu nawet nie było.

- Czy zrobiłaś mi odbitki tych artykułów, które dałam ci w poniedziałek?

Patrzyła, jakby nie rozumiejąc.

- Na wierzchu były ogłoszenia osobiste. Odrzuciła z czoła pasmo włosów.

- Czy mówiąc o mnie, użyłaby pani słowa "elegancka"?

Jej długie cienkie pasmo włosów owijał teraz wściekle niebieski kordonek. Taśma klejąca na czole, z wyciętym otworem, obramowywała "n".

- Nie - oparłam.

- Nie można wymagać, żeby człowiek był wszystkim - powiedziała bez związku. - Nieważne. Nie wiem, dlaczego pani

tak się zaczytuje ogłoszeniami. Ma pani przecież tego swojego kowboja.

- Co?

- Billy Boy Jakiś tam - powiedziała i machnęła dłonią w kierunku telefonu. - Dzwonił i powiedział, że jest w mieście na jakimś seminarium i ma się pani z nim spotkać na kolacji. Dziś wieczór. W "Stokrotce Nebraska" czy w czymś takim. O siódmej.

Spojrzałam na notes przy telefonie. Kartka była czysta.

- Zapisałaś wiadomość? Westchnęła.

- Nie mogę robić wszystkiego. Przecież dlatego dali mi asystentkę. Więc nie pracowałabym tak ciężko, ale tamta jest palaczką i połowa ludzi nie chce jej u siebie w laboratorium. Więc muszę kopiować sama te wszystkie papiery i zasuwać do Biologicznego. Według mnie, palaczy powinno się zmusić, żeby rzucili palenie.

- Do kogo ją przydzieliłaś?

- Do Biologii, do Opracowywania Nowych Produktów, na Chemię i Fizykę, do Kadr i do Księgowości. Do wszystkich ludzi, co na mnie wrzeszczą i robią mi różne inne świństwa. Albo zamknąć do obozu czy coś w tym guście, żeby nie narażali pozostałych na wdychanie dymu.

- Dlaczego nie przydzieliłaś jej do mnie? Nie przeszkadza mi jej palenie.

Flip oparła dłonie na biodrach, na niebieskiej skórzanej spódnicy.

- To wywołuje raka, wie pani - powiedziała. - A poza tym nigdy bym jej nie przydzieliła do pani. Pani jedyna tu jest dla mnie choć trochę miła.

Anielskie ciasto (1880 - 1890)

Nazwa sugerować miała niebiańską lekkość i biel ciasta. Deser ten pochodził albo z restauracji w St. Louis, znad rzeki Hudsona, albo z Indii. Cała tajemnica polegała na ubiciu kilkunastu białek na sztywną błyszczącą pianę. Trudno je było upiec, co zainspirowało wiele ludowych porad typu: blacha nie może być posmarowana tłuszczem albo nie można chodzić po kuchni podczas pieczenia. Zastąpione zostało oczywiście przez diabelskie ciasto, czyli ciasto czekoladowe.

Kolacja miała być w "Róży Kansas" o piątej trzydzieści.

- Więc przekazano ci wiadomość? - spytał Billy Ray. Wyszedł do mnie na parking. Ubrany był w czarne dżinsy, czarno-białą kowbojską koszulę i biały stetson. Miał teraz dłuższe włosy, niż gdy widziałam go ostatnim razem. Zatem długie włosy wracają.

- W przybliżeniu - odparłam. - W każdym razie jestem.

- Przepraszam, że musiałem się umówić na kolację tak wcześnie. Wieczorem mamy seminarium na temat "Nawadnianie w In-ternecie". Nie chciałbym tego opuścić. - Wziął mnie pod rękę. - Słyszałem, że to teraz najbardziej szalone miejsce w mieście.

Istotnie. Kolejka zapowiadała się co najmniej na pół godziny, nawet jeśli miało się wcześniej zarezerwować. Każda oczekująca kobieta ubrana była w róż po-mo.

- Dostałeś te targheesy? - spytałam Billy'ego, opierając się o tablicę PALENIE KATEGORYCZNIE WZBRONIONE.

- Tak. Są wspaniałe. Niskie koszty żywienia, wysoka tolerancja na zimno, ponad siedem kilo wełny w sezonie.

- Wełna? Myślałam, że targheesy to krowy.

- Nikt już nie hoduje krów - odparł takim tonem, jakbym była zobowiązana o tym wiedzieć. - Chodzi o cholesterol. Mięso jagnięce ma niższy wskaźnik cholesterolu, a zgrzebna wełna ma być najmodniejszą tkaniną tej zimy.

- Bobby Jay! - zawołała kelnerka w fartuszku w czerwoną kratkę i z tasiemkami we włosach.

- To my - powiedziałam.

- Nie chcemy siedzieć w pobliżu sali, która kiedyś była dla palących - oświadczył Billy Ray.

Poszliśmy za kelnerką.

Moda na słoneczniki zawitała tu najwyraźniej po to, by wyzionąć ducha. Wiły się na białym płocie z palików otaczającym nasz stół, tkwiły w ramach na ścianie, wymalowano je na drzwiach toalety, wydrukowano na serwetkach; pośrodku obrusa w słoneczniki, w słoju na konfitury stał duży sztuczny bukiet.

- Niezłe, co? - spytał Billy Ray, otwierając jadłospis w kształcie słonecznika. - Wszyscy mówią, że następnym wielkim szaleństwem stanie się preria.

- Myślałam, że zgrzebna wełna - wymamrotałam.

Zajrzałam do menu. Kuchnia z prerii może nie była ostra, ale dość ciężkostrawna: smażony kurczak, sos śmietanowy, kaczany kukurydzy, wszystko przyrządzone "jak u mamy".

- Coś do picia? - spytał kelner w zamszowych spodniach i bandanie w słoneczniki.

Spojrzałam w jadłospis. Mieli espresso, cappuccino i oczywiście cafe latte, wielki hit na prerii. Nie mieli mrożonej herbaty.

- Mrożona herbata to napój stanu Kansas - zwróciłam się do kelnera. - Powinniście to mieć.

Ten najwyraźniej pobierał nauki od Flip. Wywrócił oczyma, fachowo westchnął i odparł:

- Mrożona herbata jest outre.

Jeszcze nikt na prerii nie wypowiadał takiego słowa, pomyślałam, ale Billy Ray już zamawiał

dla nas klops wołowy, puree ziemniaczane i cappuccino.

- Opowiedz mi o tym swoim problemie, który zajmuje ci nawet weekendy. Opowiedziałam.

- Cała trudność polega na tym, że istnieje mnóstwo przyczyn - stwierdziłam, gdy opisałam mu, czym się zajmuję. - Równouprawnienie kobiet, jazda na rowerze, francuski projektant Poiret, pierwsza wojna światowa i Coco Chanel, której wybuch piecyka osmalił włosy. Niestety, nic nie jest chyba główną przyczyną.

Podano nam potrawy na brązowych ceramicznych talerzach w słoneczniki. Surówkę z kapusty udekorowano świeżą bazylią - nie przypominam sobie, żeby to zioło rosło na prerii - a na klopsie położono plasterki cytryny.

Jedliśmy, a Billy Ray opowiadał mi o zaletach hodowli owiec. Odznaczały się zdrowiem, przynosiły dochód, stado było łatwe do prowadzenia i dawało się wszędzie wypasać. Chętniej bym w to wszystko wierzyła, gdyby tego samego nie mówił mi pół roku temu na temat longhornów.

- Zamówią państwo coś na deser? - Kelner przyniósł kartę słodkości.

Wyobrażałam sobie, że na prerii zaproponują nam ciasto agrestowe lub może brzoskwiniez puszki, ale w menu byli starzy delikwenci: creme brulee, tiramisu i "nasz najnowszy deser: pudding chlebowy".

To nawet brzmiało jak lokalny deser z Kansas, coś co przychodzi spożywać, gdy zdechnie ostatnia krowa, a koniki polne zeżrą plon.

- Poproszę tiramisu - powiedziałam.

- Dla mnie również - zamówił Billy Ray. - Nigdy nie lubiłem puddingów chlebowych. To tak jakby się jadło odpadki.

- Wszyscy przepadają za naszym puddingiem chlebowym - rzekł kelner urażony. - To nasz najpopularniejszy deser.

Badanie trendów ma tę przykrą cechę, że nigdy nie możesz się wyłączyć. Siedzisz ze znajomym, jesz tiramisu i zamiast myśleć o tym, jaki to miły człowiek, twój umysł bada trendy w deserach, które zawsze wydają się zawiesziste i nadziane kaloriami wprost proporcjonalnie do społecznej obsesji na temat odchudzania.

Na przykład tiramisu: warstwa czekolady, bitej śmietany i dwa rodzaje sera. A takie ciasto z karmelizowanego cukru - hit lat czterdziestych mimo racjonowania żywności w okresie wojny.

Keks z ananasem to pieśń lat dwudziestych i mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie powróci; ciasto szyfonowe - lata pięćdziesiąte; czekoladowe fondue - lata sześćdziesiąte.

Ciekawe, czy Bennett jest również odporny na mody w żywieniu i co sądzi o puddingu chlebowym oraz serniku po wie-deńsku.

- Znowu rozmyślasz o tych krótkich fryzurach? - spytał Billy Ray. - Może rozpatrujesz zbyt wiele rzeczy naraz. Ta konferencja, w której biorę udział, zaleca zapo.

- Zapo?

- Za po. Zawężij pole. Wyeliminuj rzeczy uboczne, skoncentruj się na najważniejszych zmiennych. Te krótkie fryzury mają jedno źródło, prawda? Zawężij pole do badania najbardziej prawdopodobnych przyczyn i na tym się skup. To naprawdę pomaga. Wypróbowałem to w przypadku świerzbu owiec. Nie chciałabyś zajrzeć na tę konferencję?

- Muszę wstąpić do biblioteki - odparłam.

- Powinnaś przeczytać Pięć etapów prosto do sukcesu. Po kolacji Billy Ray poszedł zapować, a ja w bibliotece szukałam Browninga. Lorraine dziś nie było. Na jej stanowisku dyżurowała nadęta dziewczyna, przyozdobiona taśmą klejącą, z włosami poowijanymi tasiemką.

- Przetrzymana trzy tygodnie - oświadczyła.

- To niemożliwe - odparłam. - Wypożyczyłam ją w ubiegłym tygodniu i oddałam w poniedziałek.

W poniedziałek wypróbowałam na Flip wiersz o włoskiej dziewczynie i przekonałam się, że Browning nie wiedział, o czym mówi. Oddałam więc Browninga, a wzięłam Otella, kolejną opowieść o nadmiernym uleganiu wpływom.

Bibliotekarka westchnęła.

- Z komputera wynika, że jest wypożyczony. Sprawdzała pani w domu?

- Czy jest dziś Lorraine? - spytałam. Dziewczyna wywróciła oczyma.

- Niiiee.

Lepiej na nią poczekać, pomyślałam i poszłam do półki z Brownningiem.

Dzieł zebranych na niej nie było. Nie mogłam sobie przypomnieć tytułu książki poleconej mi przez Billy'ego Raya. Wyciągnęłam dwie pozycje Willi Cather, która znała się na gotowaniu w prerii, oraz Z dala od zgiełku. Pamiętałam, że to o baranach. Potem spacerowałam wśród regałów, usiłując sobie przypomnieć tytuł książki, o której mówił Billy, i poszukując natchnienia.

Biblioteki są odpowiedzialne za wiele naukowych odkryć. Darwin czytał dla rozrywki Malthusa (to wiele mówi o Darwinie), a Alfred Wegener przechadzał się po bibliotece Uniwersytetu w Marburgu, od niechcenia kręcił globusem i przeglądał artykuły naukowe, aż sformułował teorię dryfu kontynentów. Mnie jednak nic nie przychodziło do głowy, nawet tytuł książki poleconej przez Billy'ego. Przeszłam do działu książek o biznesie, spodziewając się, że tam sobie przypomnę, gdy nagle to dostrzegłam.

Coś o zawężaniu pola i eliminacji wątków pobocznych.

“To ma tylko jedną przyczynę, prawda?” - powiedział Billy Ray.

Nieprawda. W układach liniowych może tak jest, ale krótkie fryzury to przecież nie owczy świerz, to raczej jeden z układów chaotycznych, jakie badał Bennett. Kilkadziesiąt zmiennych, a wszystkie istotne. Nawzajem się zasilają, iterowały i reiterowały, krzyżowały, kolidowały, wpływały na siebie w trudny do przewidzenia sposób. Może problem nie polegał na tym, że wyodrębniłam zbyt wiele przyczyn, ale że miałam ich zbyt mało, niewystarczająco. Z półki z socjologią wzięłam Te szalone lata dwudzieste, potem Flappersy, samochodziki i przesiadywanie na masztach oraz Lata 1920-30. Studium socjologiczne. Wzięłam tyle książek na temat tamtego okresu, że ledwo je zdołałam unieść, i podeszłam do biurka.

- Ma pani książkę przetrzymaną cztery tygodnie - powiedziała dziewczyna.

Wróciłam do domu, podekscytowana myślą, że wreszcie jestem na właściwym tropie, i zabrałam się za opracowywanie nowych zmiennych.

Lata dwudzieste obfitowały w rozmaite szaleństwa: jazz, piersiówki, zwijane pończochy, zwariowane tańce, futra z szopów, mah-dżong, maratony biegaczy, maratony taneczne, maratony całowania, siedzenie na maszcie, siedzenie na drzewie, rozwiązywanie krzyżówek. A gdzieś wśród tych pomalowanych na czerwono kolan, płaszczy od deszczu i wyścigów na bujanych fotelach tkwiła przyczyna szału krótkich fryzur.

Pracowałam do późna, po czym poszłam do łóżka ze Z dala od zgiełku. Miałam rację. Książka mówiła o baranach. I maniach. W piątym rozdziale jedna z owiec spada z wysokiego brzegu, a inne idą w jej ślady, rzucając się kolejno w dół, na skały.

3. Dopływy

Proszę waszmościow, jestem w stanie
Wszystko co pływa, chodzi czy lata,
Wszelkie stworzenia żyjące na ziemi
Tajnym zaklęciem i czarami
Za sobą wywieść na koniec świata!

Robert Browning

Peruki z dioramami (l 750 - 60)

Styl uczesania na dworze Ludwika XVI wprowadzony przez ma-dame de Pompadour, lubiącą niezwykle przybrania głowy. Włosy drapowano na ramie wypełnionej watą i trawą, wszystko sklejano twardniejącą pastą. Potem pudrowano i przyozdabiano perłami i kwiatami. Styl bardzo szybko się wyrodził. Rusztowania osiągnęły metr wysokości, umieszczano na nich wyszukane obrazy i dekoracje, wodospady, amorki, sceny z powieści; bitwy morskie, gdzie ze strzelających armat unosił się dym. Jedna wdowa, oplakująca zmarłego męża, wzniosła na szczycie swej głowy jego grobowiec. Mania ta zanikła z nadejściem rewolucji francuskiej, gdy zabrakło głów pod peruki.

Rzeka to nie jest po prostu szeroki strumień. To zlewisko kilkudziesięciu, czasami nawet setek dopływów. Na przykład syberyjska Lena zbiera wody z prawie dwóch i pół miliona kilometrów kwadratowych, jej dopływami są Kirenga, Olekma, Witim i Aldan oraz tysiące mniejszych strumieni i potoków. Niektóre z nich płyną z wielkiej odległości, są bardzo pokrętne i aż trudno sobie wyobrazić, że docierają do Leny.

Do odkrycia naukowego prowadzą często zdarzenia przypadkowe i zupełnie z nauką nie związane. Na przykład odra.

Einstein zachorował na nią, gdy miał cztery lata. Rodzice, chcąc dostarczyć dziecku rozrywki, podarowali mu kompas. A równocześnie klucz do wszechświata.

Życie Fleminga to jedno pasmo przypadkowych zdarzeń. Zaczęło się od tego, że jego tatuś był ogrodnikiem w posiadłości Churchilla. Dziesięcioletni Winston wpadł pewnego razu do stawu i ojciec Fleminga go uratował, za co wdzięczna rodzina wynagrodziła go w ten sposób, że opłaciła jego synowi, Aleksandrowi, szkołę medyczną.

A na przykład tacy Penzias i Wilson. Robert Dicke z Uniwersytetu Princeton rozmawiał z P.J.E. Peeblesem o sposobie szacowania temperatury podczas Wielkiego Wybuchu. Peebles dokonał tych obliczeń, doszedł do wniosku, że było wtedy tak gorąco, iż obecnie da się wykryć promieniowanie reliktowe, zasugerował więc Peterowi G. Rollowi i Davidowi T. Wilkinsonowi, że powinni przeglądać pasmo mikrofal.

Peebles (czy śledzicie mój wywód?) miał wykład na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, podczas którego opowiedział o badaniach Roila i Wilkinsona. Ken Turner z Instytutu Carnegiego był na tym wykładzie i wspomniał o nim Bernardowi Burkemu z MIT-u, przyjacielowi Penziasa. (Czy nadal wszystko jest jasne?)

Gdy Penzias zadzwonił do Burkego w zupełnie innej sprawie (prawdopodobnie mówił o przyjęciu urodzinowym swej córki), wspomniał o tym strasznym szumie tła. I Burkę poradził mu, by zadzwonił do Wilkinsona i Roila.

W ciągu następnego tygodnia wydarzyło się kilka rzeczy.

Wprowadziłam do komputera dane na temat siedzenia na maszcie i gry mah-dżong, Dyrekcja ogłosiła, że budynek HiTe-ku jest strefą dla niepalących, córka Giny, Brittany, skończyła pięć lat, a doktor Turnbull - kto by się tego spodziewał -zawitała w moim pokoju.

Miała na sobie jedwabną bluzkę sportową w kolorze po-mo różu, także dzinsy i przyjacielski uśmiech.

Strój świadczył o tym, że wdrażała dyrekcyjne zalecenie co do ubiorów. A o czym świadczył uśmiech - nie wiedziałam.

- Doktor Foster - powiedziała, aplikując mi jego pełną dawkę - właśnie z panią chciałam porozmawiać.

- Szuka pani przesyłki? - spytałam wojowniczo. - Flip tu jeszcze dziś nie zaglądała.

Zaśmiała się pogodnie, dźwięcznie. Nie sądziłam, że była zdolna do takiego śmiechu.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała. - Nie chodzi o przesyłkę. Po prostu wpadłam, by pogadać. Musimy się lepiej poznać. Rozmawialiśmy zaledwie parę razy.

Jeden raz, sprostowałam w myślach, i wtedy na mnie wrzeszczałaś. O co teraz tak naprawdę chodzi?

- A więc - powiedziała, siadając na stole i zakładając nogę na nogę - gdzie studiowałaś?

W HiTeku "lepiej się poznać" oznaczało zwykle: "masz jakiegoś chłopaka?" lub, w przypadku Elaine, "czy uprawiasz ćwiczenia wysiłkowe?" Ale może Alicja uznawała inny model pogaduszek.

- Doktorat robiłam w Baylor - odrzekłam. Jej uśmiech pojaśniał.

- Z socjologii, tak?

- I ze statystyki - odparłam.

- Podwójna specjalizacja - zauważyła z aprobatą. - Tam też robiłaś dyplom licencjata?

Nie była przecież szpiegiem przemysłowym. Pracowałyśmy dla tego samego przemysłu. A ponadto te wszystkie informacje znajdowały się i tak w Dziale Kadr.

- Nie - odparłam. - A ty gdzie robiłaś magisterium? Koniec rozmowy.

- W Indianie - odrzekła, jakbym wtykała nos w nie swoje sprawy.

Zsunęła różowy zadek ze stołu, ale nie wychodziła. Rozglądała się po pokoju, mierzyła wzrokiem pliki papierów z danymi.

- Masz tu tyle różnych rzeczy - stwierdziła, patrząc na nie-porządną stos.

Może Dyrekcja wysłała ją na przeszpiegi, czy nasze miejsca pracy są właściwie zorganizowane.

- Zamierzam wszystko uporządkować, gdy tylko wypełnię formularze - oznajmiłam.

Spojrzała na stos notatek dotyczących siedzenia na masztach.

- Ja już swoje oddałam - rzekła. Oczywiście.

- A bałagan jest dobry. Laboratoria Susan Holyrood i Dana Twofeathersa były zabałaganione.

R. C. Mendez twierdzi, że to wyróżnik kreatywności.

Nie miałam pojęcia ani kim są wspomniane osoby, ani o co w tym wszystkim chodzi. A najwyraźniej o coś chodziło. Może Dyrekcja poleciła jej tropić wszelkie oznaki palenia. Alicja pozbyła się przyjacielskiego uśmiechu i teraz jak rekin krążyła po laboratorium.

- Bennett powiedział mi, że przeprowadzasz analizę źródeł mody. Dlaczego obrałaś sobie taki temat?

- Bo wszyscy się tym zajmują.

- Naprawdę? - spytała z ożywieniem. - A kto jeszcze?

- Żartowałam tylko - odparłam słabo i zaczęłam wyjaśniać, choć to sprawa beznadziejna. - Rozumiesz, manie, szaleństwa, coś co ludzie robią tylko dlatego, że inni to robią.

- A, rozumiem - odparła, co znaczało, że nie rozumie. Jednak minę miała raczej refleksyjną, a nie obrażoną. - Poczucie humoru też może sprzyjać kreatywności. Jaka jest według ciebie najważniejsza cecha uczonego?

- Mieć szczęście - wypaliłam. Teraz dopiero miała obrażoną minę.

- Szczęście?

- I dobrych asystentów - dodałam. - Weźmy takiego Roya Plunketta. Jego asystent zastosował srebrną uszczelkę w zbiorniku z fluoropochodnymi węglowodorów, co doprowadziło do odkrycia teflonu. Albo Becquerel. Traf chciał, że do pomocy w laboratorium zatrudnił młodą Polkę. Nazywała się Maria Skłodowska.

- To bardzo ciekawe. Powtórz, gdzie robiłaś dyplom licencjata?

- Na Uniwersytecie Stanowym w Oregonie - odparłam.

- Ile miałaś lat, gdy obroniłaś doktorat? Zatem powróciliśmy do formalnego śledztwa.

- Dwadzieścia sześć.

- A ile masz teraz?

- Trzydzieści jeden. -To była najwyraźniej prawidłowa odpowiedź, gdyż Alicja znowu wyjaśniała.

- Wychowałaś się w Oregonie?

- Nie, w Nebrasce - poinformowałam. Tym razem to nie była prawidłowa odpowiedź - uśmiech zgasł.

- Mam dużo pracy - oświadczyła i nie oglądając się, wyszła.

Nie wiem, czego chciała, ale na pewno poczucie humoru i bałagan jej nie wystarczały.

Siedziałam wpatrzona w ekran, zastanawiając się, o co jej chodziło, gdy weszła Flip. Miała na sobie pasma taśm klejących i drewniaki bez pięt.

Dobrze by było, gdyby trochę taśmy zużyła na przytrzymanie podeszwy. Przy każdym kroku buty jej spadały i idąc do mnie przez korytarz głośno powłóczyła nogami. Zarówno taśma, jak i drewniaki miały jadowitą niebieską barwę.

- Jak się nazywa ten kolor? - spytałam.

- Błękit Czerenkowa.

Oczywiście. Niebieskie promieniowanie reaktorów atomowych. Bardzo stosownie. Musiałam jednak oddać sprawiedliwość - nie po raz pierwszy modnej barwie nadano odrażającą nazwę. W czasach Ludwika XVI kolory nosiły wstrętne określenia. Ściekowy, arseniczny, ospowy, chory Hiszpan - to wszystko odnosiło się do żółtozielonego.

Flip podała mi kartkę.

- Musi to pani podpisać - oświadczyła. Była to petycja o uznanie klubu dla pracowników za pomieszczenie dla niepalących.

- A gdzie ludzie mają palić, jeśli zabroni im się palić w klubie? - spytałam.

- W ogóle nie powinni palić. To przyczyna raka - odparła z przekonaniem o swej absolutnej racji. - Uważam, że ludzie którzy palą, nie powinni dostawać pracy. - Odrzuciła kosmyk. -I powinni sobie mieszkać gdzieś tam, żeby bierne palenie nie szkodziło nam wszystkim.

- Doprawdy, Herr Goebbels? - powiedziałam, zapomniawszy, że obecnie najsilniejszym trendem jest ignorancja. Oddałam jej papier.

- Wtórno-wtórny dym jest niebezpieczny - rzekła urażona.

- Małostkowość również. - Odwróciłam się do swego komputera.

- Ile kosztuje korona? - spytała zniechęta. Zdaje się, że dziś był dzień zaskakujących pytań.

- Korona? Chodzi ci o taką królewską? - zdziwiłam się.

- Nieee. Ko-ro-na.

Flip w koronie, spod której zwisa z boku kosmyk włosów -nie, nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Nie wiedziałam, o czym Flip mówi, ale powinnam zwracać na to uwagę, gdyż było bardzo prawdopodobne, że stanie się to kolejnym wielkim szaleństwem. Może Flip jest niekompetentna, niesubordynowana i ogólnie nieznośna, ale nadaża za duchem mody.

- Korona. Złota? - Wykonałam ruchy ręką, jakbym wkładała ją na głowę. - Spiczasta?

- Spiczasta? - spytała Flip oburzona. - Lepiej, żeby nie miała szpiców. Ko-ro-na.

- Niestety, nie wiem - odparłam.

- Pani jest naukowcem. Powinna pani znać terminy naukowe - stwierdziła Flip.

Czyżby korona stała się "terminem naukowym", podobnie jak podanie taśmy klejącej stało się "posługą osobistą"?

- Ko-ro-na! - Westchnęła bardzo głęboko i stukając sabo-tami wyszła na korytarz.

Tego dnia czekało mnie wiele zdarzeń, których nie potrafiłam uporządkować. Żałowałam, że w ogóle zaczęłam włączać dane dotyczące innych manii z początku wieku. Było ich zbyt wiele i nie tworzyły logicznej całości.

Na przykład siedzenie na maszcie czy malowanie kolan na czerwono. Studenci z college'ów wypisywali na starych fordach modelu T dowcipne hasła w rodzaju: "Kawał kitu" lub "O, ty mały"; gospodynie domowe przebierały się za Chinki i grały w mah-dzonga; nowe manie wyskakiwały jakby z szuflady, wypierając poprzednie szaleństwa, które trwały najwyżej kilka miesięcy, a niekiedy zaledwie parę tygodni. Taniec black bot-tom zajął miejsce mah-dzonga, który wcześniej zastąpił szal na punkcie faraona Tutanchamona. Wszystko sprawiało wrażenie chaosu, w którym nie sposób się rozeznąć.

Krzyżówki to jedyna choć częściowo sensowna pasja, ale i jej zagadkę trudno było rozwiązać. Zaczęła się w 1924 roku, gdy wiele kobiet dawno już obcięło warkocze. Jednak krzyżówki były popularne od początku dziewiętnastego wieku, a "New York World" publikował je co tydzień od 1913 roku.

Jednak przy bliższym oglądzie "sensowna" nie wydaje się właściwym słowem. Jeden z pastorów podczas mszy puścił między wiernych krzyżówkę, która po rozwiązaniu dawała hasło z Biblii. Materiały na kobiece sukienki drukowano w czarno-białe kwadraty, do tego sprzedawano odpowiednie kapelusze i pończochy. Na Broadwayu wystawiono rewię Krzyżówki roku 1925. Niektórzy małżonkowie twierdzili, że krzyżówki doprowadziły do ich rozwodu; sekretarki nosiły kieszonkowe słowniczki przyczepione do dłoni jak bransolety; lekarze ostrzegali przed nadwerężaniem wzroku, a w Budapeszcie jakiś pisarz popełnił samobójstwo, zostawiwszy list w formie krzyżówki. Po-

licja nigdy jej nie rozwiązała, gdyż prawdopodobnie pochłonięta była kolejnym szaleństwem - charlestonem. Bennett wetknął głowę przez drzwi.

- Masz chwilkę? Chciałbym cię o coś zapytać.

Wszedł. Tym razem nie miał koszuli w dwubarwną kostkę, lecz w wyblakłą szkocką kratę. Trzymał w ręce uproszczony formularz.

- Chodzi ci o egipskiego boga słońca na dwie litery? - powiedziałam. - Ra. Uśmiechnął się.

- Nie, myślałem, że może Flip przyniosła ci okólnik Dyrekcji, który obiecali rozesłać. Z wyjaśnieniami, jak wypełnić formularz.

- I tak, i nie - odparłam. - Otrzymałam egzemplarz od Giny. Wydostałam go spomiędzy książek o latach dwudziestych.

- Doskonale - powiedział. - Zrobię kopię i potem ci odniosę.

- Możesz go sobie zatrzymać.

- Skończyłaś już wypełniać ten formularz?

- Nie. Przeczytałam okólnik. Spojrzał w kartki.

- "Strona dziewiętnasta, rubryka czterdziesta czwarta C. Aby obliczyć pierwotnie przedłużalny wzór na fundusz, należy pomnożyć analizę potrzeb wydziałowych przez współczynnik podstawy fiskalnej, chyba że projekt wymaga kalibrowanej strukturyzacji, wówczas współczynnik należy obliczyć zgodnie ze wskazówkami w części W-A instrukcji towarzyszącej". - Bennett odwrócił kartkę. - Gdzie jest instrukcja towarzysząca?

- Nikt tego nie wie - odparłam. Oddał mi okólnik.

- Chyba nie powinienem jechać aż do Francji, by badać chaos, ale studiować go właśnie tu, na miejscu - stwierdził, kręcąc głową. - Dziękuję. - Ruszył do drzwi.

- A jeśli już o tym mówimy, jak postępują studia na temat rozchodzenia się informacji? - spytałam.

- Laboratorium jest przygotowane - powiedział. - Mam dostać makaki, gdy tylko skończę wypełniać te głupie formularze, co nastąpi za... - z kieszeni wytartych sztruksów wyjął kalkulator i wystukał kilka liczb - za sześć tysięcy lat.

Wparowała Flip i wręczyła nam obojgu plik spiętych kartek.

- Co to takiego? Instrukcje towarzyszące? - spytał Bennett.

- Neeee - odrzekła, przechylając głowę. - To sprawozdanie FDA na temat szkodliwości palenia.

Maratony taneczne (1923 - 33)

Zawody na wytrzymałość. Polegały na tym, by tańczyć jak najdłużej, za co otrzymywało się pieniądze. Partnerzy na parkiecie kopali się wzajemnie i szczypali, by nie zasnąć, a gdy to nie pomagało, spali na zmianę w swych ramionach. Czasami trwało to nawet sto pięćdziesiąt dni. Maratony stały się makabrycznym widowiskiem. Ludzie obserwowali, jak pozbawieni snu zawodnicy dostają halucynacji, padają na ziemię, a nawet - jak w przypadku Homera Moorhousa - umierają. Towarzystwo Ochrony Zwierząt z New Jersey skarżyło się, że maratony są okrutne dla (ludzkich) zwierząt. Moda ta utrzymała się przez pierwsze lata wielkiego kryzysu głównie dlatego, że ludzie potrzebowali pieniędzy. W ostatecznym rozrachunku stawka za godzinę wynosiła około centa. Dla zwycięzców.

W czwartek spotkałam nową asystentkę łączności międzywydziałowej. Doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej czekać na instrukcje towarzyszące, i zabrałam się do wypełniania formularzy. Na dole strony dwudziestej ósmej wydrukowano: "Wymień wszystkie", a na górze następnej strony "do ilorazu różnicującego". Spojrzałam na numer tej strony. Czterdziesta druga.

Poszłam do Giny, by sprawdzić, czy ma brakujące kartki. Siedziała wśród toreb, papieru do pakowania i wstążek.

- Przyjdź koniecznie na urodziny Brittany - powiedziała. -Będzie sześć pięcioletnich dziewczynek i sześć mamuś, i nie wiem co gorsze.

- Przyjdę - obiecałam i zapytałam ją o brakujące strony.

- Brakuje jakichś stron? Formularz mam w domu. Kiedy mam to wypełnić? Muszę kupić talerze, kubki, dekoracje i przygotować przekąski.

Uciekłam do swego laboratorium. Przy moim komputerze siedziała siwowłosa kobieta i szybko wprowadzała jakieś liczby.

- Przepraszam - rzekła, gdy tylko weszłam do pokoju. -Flip powiedziała, że mogę skorzystać z pani komputera, ale nie chciałam pani przeszkadzać. - Wypisała komendy zapamiętujące zbiór.

- Czy pani jest nową asystentką Flip? - spytałam.

Przyjrzałam się jej z ciekawością. Była szczupła, o ogorzałej cerze, jaką zapewne Billy Ray będzie miał po trzydziestu latach objeżdżania pastwisk.

- Shirl Creets. - Podała mi rękę.

Przypominało to uścisk dłoni Billy'ego Raya. Na palcach miała żółtawobrazowe plamy. To dlatego Sarze i Elaine wystarczyło spojrzeć, by rozpoznać palaczkę.

- Flip korzysta z komputera doktor Turnbull. - Głos miała ochryply. - Powiedziała, że pani użyczy mi swojego. Tylko zapiszę zbiory i odchodzę. Nie paliłam tutaj - dodała.

- Jeśli pani chce, może pani palić. I może pani skorzystać z komputera. Muszę teraz zajść do Działu Kadr i pobrać inny egzemplarz formularza. W tym brakuje stron.

- Ja pani przyniosę. - Shirl natychmiast wstała i wzięła ode mnie papiery. - Których stron brakuje?

- Od dwudziestej dziewiątej do czterdziestej pierwszej i może jakichś na końcu. Ostatnia strona mojego egzemplarza to sześćdziesiąta ósma. Ale nie musi pani...

- Od czego są asystenci? Czy mam zrobić dodatkową odbitkę, by mogła pani wypełnić to na brudno?

- To byłoby bardzo wygodne, dziękuję - odparłam zaszokowana i zasiadłam do komputera.

Byłam miła dla Flip i do czego to doprowadziło. Musiałam wycofać swą opinię, że Browning wiedział cokolwiek na temat trendów, mimo że napisał wspaniałą opowieść o szczurołapie.

Dane, które wprowadzała Shirl, nadal widniały na ekranie. Była to tabela. "Carbanks - 48, Twofeathers - 34, Holyrood -61, Chin - 39". Ciekawe, nad czym pracowała teraz Alicja.

Shirl wróciła dokładnie za pięć minut, niosąc plik starannie ułożonych i spiętych kartek.

- Wetknęłam brakujące strony do pani oryginalnego egzemplarza, a na wszelki wypadek zrobiłam dwie dodatkowe kopie. - Położyła je delikatnie na stole i wręczyła mi jakiś inny gruby plik. - Znalazłam te wycinki przy kopiarkach. Flip nie wiedziała, do kogo należą, ale przypuszczam, że są to pani materiały.

Miała w ręce wycinki prasowe na temat maratonów tanecznych, przytwierdzone spinaczami do odbitek.

- Chyba chciała pani je powielić.

- Dziękuję - odparłam zdumiona. - Może uda się pani namówić Flip, by przydzieliła panią do mnie?

- Wątpię - odparła. - Ona panią lubi. Położyła wycinki na stole i zaczęła robić na nim porządki. Ze stosu papierów wyjęła książkę na temat teorii chaosu.

- O, diagramy Mandelbrota - zainteresowała się. - Czy pani to bada?

- Nie. Zajmuję się źródłem rozmaitych trendów. Tę książkę czytałam ze zwykłej ciekawości. Jednak oba problemy są ze sobą powiązane. Manie i szaty to przejawy chaotycznych struktur społecznych. Wchodzi tu w grę wiele zmiennych.

Bez komentarza ułożyła Nowy wsłaniały świat oraz Wszystko dobre, co się dobrze kończy na książce z teorii chaosu i wzięła do ręki Flappersy, samochodziki i przesiadywanie na masztach.

- Dlaczego jako przedmiot badań wybrała pani mody? - spytała z dezparobata.

- Nie lubi pani mód?

- Sądzę, że na społeczeństwo można wpływać w sposób bardziej bezpośredni niż wywołując modę. Mój nauczyciel fizyki mawiał: "Nie zwracaj uwagi na to, co robią inni ludzie. Rób to, co sam chcesz robić, a możesz zmienić świat".

- Nie zamierzam odkryć, jak wywoływać manie - odparłam. - Ale chyba HiTekowi na tym zależy, gdyż finansują moje badania. Wydaje mi się jednak, że mechanizm tego zjawiska jest bardzo skomplikowany i nigdy nie będą w stanie wskazać decydującej zmiennej, więc przestanę mnie finansować. - Spojrzałam na materiały dotyczące maratonów tanecznych. - Mnie natomiast interesują źródła tych mód.

- Dlaczego? - dopytywała się ciekawie.

- Ponieważ chcę to zrozumieć. Dlaczego ludzie postępują w taki sposób? Dlaczego nagle wszyscy grają w tę samą grę, noszą taką samą odzież, zaczynają w to samo wierzyć? W latach dwudziestych szykowne było palenie papierosów. Teraz wszyscy mają bzika na punkcie niepalenia. Dlaczego? To zachowanie instynktowne czy wpływ społeczeństwa? A może coś w powietrzu? Procesy czarownic z Salem wywołane zostały przez strach i chciwość, ale to odwieczne nasze cechy, a przecież nie posyłamy czarownic na stos bez przerwy. Zatem chodzi o coś innego. Nie rozumiem tylko o co. I raczej w najbliższym czasie nie zrozumiem. Do niczego chyba nie dojdę. Pani przypadkiem nie wie, co spowodowało szal krótkich fryzur?

- Praca posuwa się zbyt wolno?

- "Wolno" nie jest najtrafniejszym określeniem. - Zrobiłam ruch dłonią w kierunku wycinków o maratonach tanecznych. - Czuję się tak, jakbym brała udział w maratonie tanecznym. Przez większą część zawodów nie jest to wcale taniec, tylko przestępowanie z nogi na nogę i stały wysiłek, by trwać i nie zasnąć. A przede wszystkim pamiętać, po co się na to pisaliśmy.

- Mój nauczyciel fizyki mawiał, że nauka to jeden procent polotu i dziewięćdziesiąt dziewięć

procent potu - rzekła Shirl.

- A pięćdziesiąt procent wypełniania uproszczonych formularzy finansowych. - Wzięłam jedną z dodatkowych kopii. - Zniosę to Ginie.

- Już przekazałam kopie doktor Damati - powiedziała Shirl. - Sama muszę do niej zajrzeć. Obiecałam, że opakuję prezenty na urodziny Brittany.

- Czy naprawdę jest pani pewna, że nie zdoła pani przekonać Flip? - spytałam.

Gdy wyszła, zabrałam się do wypełniania strony dwudziestej dziewiątej, ale to wszystko nie miało teraz sensu większego niż przedtem, gdy brakowało kartek. Powoli zaczynałam czuć niejasne świerzbienie. Wzięłam jedną z dodatkowych kopii i zesłałam do Biologii, do laboratorium Bennetta.

Była tam Alicja. Stali obok siebie, wpatrując się w monitor komputera. O'Reilly natychmiast spojrzął na mnie z uśmiechem.

- Cześć, wejdz.

- Nie, to nic takiego. Nie chcę przeszkadzać. - Uśmiechnęłam się do Alicji, ale ona nie zareagowała. - Przyniosłam pełny formularz. - Podałam mu spięte kartki. - W tych egzemplarzach, które roznosiła Flip, brakowało kilkunastu stron.

- Niekompetentna. Niepoprawna i niesolidna - powiedział. Alicja patrzyła na mnie wściekle.

- Nieproszona - odparłam. - Tak się czuję na waszej konferencji. Wychodzę. Potem wpadnę porozmawiać.

- Zaczekaj - powstrzymał mnie. - To cię zainteresuje. Doktor Turnbull opowiadała mi właśnie o swoim pomysłe. - Spojrzął na Alicję. - Powiedz Sandrze, nad czym pracujesz.

- Zebrałam dane na temat poprzednich zdobywców Grantu Niebnitza. Dyscyplina naukowa, dziedzina zainteresowań badawczych, wykształcenie...

A więc stąd to wczorajsze śledztwo. Usiłowała ustalić, czy pasuję do schematu, a popatrzyła wtedy na mnie w taki sposób, że na pewno nie miałam żadnych szans.

- ...wiek, płeć, pochodzenie, poglądy polityczne. - Przesunęła kilka ekranów i rozpoznałam tabelę podobną do tej, którą opracowywała Shirl. - Zapuściłam program na regresję, by wyłonić cechy, które odgrywają istotną rolę, a potem przeprowadzę ich analizę, sporządzę sylwetkę typowej nagrodzonej osoby i zestawię kryteria, jakimi kieruje się komitet grantu.

Kryteria komitetu to oryginalne i twórcze myślenie. O ile w ogóle istnieje jakiś komitet, pomyślałam.

- Nie policzyłam jeszcze wszystkich regresji, ale już wyłaniają się pewne wzorce. - Wywołała arkusz kalkulacyjny. - Mediana przedziału czasowego między dwoma kolejnymi przydziałami grantu to 1,9, ale najmniejszy odstęp czasu między kolejnymi grantami wynosił 1,2, co oznacza, że teraz grant nie zostanie przyznany przed majem przyszłego roku.

Nie oznaczało to niczego podobnego. Już miałam o tym powiedzieć, ale doktor Turnbull ciągnęła:

- Rozdział grantu wykazuje cykliczność. Na przemian dostają go instytuty naukowe, laboratoria badawcze i prywatne korporacje. Teraz wypada kolej na korporację, co daje nam przewagę, i... - przeszła do innego arkusza - ...istnieje wyraźna tendencja w kierunku uczonych na zachód od Missisipi, to też punkt dla nas. Oraz skłonność ku naukom biologicznym. Nie wyznaczyłam jeszcze szczegółowej dziedziny, ale do jutra powinnam opracować tę część sylwetki.

Brzmiało to podejrzanie - nauka na zamówienie. Spojrzałam na Bennetta, by przekonać się, co o tym sądzi, ale patrzył z napięciem w ekran, jakby zapomniał o naszej obecności.

Naturalnie, był tym zainteresowany. Gdyby dostał Grant Niebnitza, mógłby wrócić nad rzekę Loue i zajmować się chaosem, nie przejmując się formularzami, Flip i finansowaniem badań.

Jednak nauka nie funkcjonuje w ten sposób. Nie można dać forów wybranemu odkryciu naukowemu, jakbyśmy mieli do czynienia z wyścigami koni.

Nie pierwszy to raz ludzie ulegają złudnym przekonaniom, gdy w grę wchodzi pieniądze. Przykładem jest giełdowy szal w późnych latach dwudziestych. Albo holenderska mania na punkcie tulipanów w siedemnastym wieku. W 1634 roku skoczyła wartość cebulek odmian ładniejszych, rzadszych, bardziej wyszukanych i nagle wszyscy - kupcy, książęta, chłopci, bracia i siostry, mężowie i żony - kupowali i sprzedawali jak szaleni. Ceny rosły niebotycznie, spekulanci dorabiali się z dnia na dzień fortun, ludzie zastawiali swe tamy i drewniaki, by tylko kupić cebulki, za które należało czasami zapłacić równowartość dwunastoletnich dochodów. Wtem bez żadnego powodu rynek się załamał, a przypominało to dokładnie wydarzenia z dwudziestego dziewiątego października 1929 roku, tylko w tamtym czasie w Holandii nie było drapaczy chmur, z których mogliby wyskakiwać giełdowi spekulanci.

Inne przykłady to listy-łańcuszki, piramidy finansowe i spekulacje działkami na Florydzie.

- Kolejny czynnik, jaki należy wziąć pod uwagę, to nazwa grantu - mówiła Alicja. - "Niebnitz" może odnosić się albo do Ludwiga Niebnitza, zapomnianego osiemnastowiecznego botanika, albo do Karla Niebnitza von Duli, żyjącego w piętnastym wieku w Bawarii. Jeśli to Ludwig, wówczas zrozumiała jest przewaga tematyki biologicznej. Von Duli, bardziej sławny, był alchemikiem.

- Muszę już iść. Jeśli mam przekształcić swoje badania nad maniami na poszukiwanie, jak zmienić ołów w złoto, to czeka mnie mnóstwo pracy. - Wstałam i wyszłam.

Bennett towarzyszył mi na korytarz.

- Dziękuję za formularze.

- Musimy trzymać się razem przeciw potędze Flip - powiedziałam. - Czy zetknąłeś się już z jej asystentką?

- Tak, jest znakomita. Ciekawe, co ją opętało, że podejmuje się takiej pracy.

- "Niebnitz" może również być akronimem - stwierdziła Alicja, stając w drzwiach. - Wówczas...

Pożegnałam się i poszłam do laboratorium. Zostałam tam Flip piszącą coś na moim komputerze.

- Jak by mnie pani określiła? - spytała.

Rozejrzałam się po gabinecie. Wzorowy porządek. Shirl sprzątnęła ze stołów i powkładała wszystkie wycinki prasowe do teczek. W kolejności alfabetycznej.

Nonszalancka, pomyślałam. Niszczycielska.

- Nieadekwatna - powiedziałam.

- Brzmi ładnie - rzekła ucieszona. - Pisze się razem czy osobno?

Doktor Spock (1945 - 65)

Moda w wychowaniu dzieci, zainspirowana książką tego pediatry Dziecko. Opieka i wychowanie, a także rosnącym zainteresowaniem psychologią oraz rozpadem rodziny wielopokoleniowej. Zalecając podejście bardziej permissywne niż poprzednie książki poświęcone opiece nad dziećmi, Spock doradzał elastyczność w wyborze pór karmienia i luźniejszą kontrolę rozwoju dziecka. Radę tę wielu rodziców potraktowało jako wskazówkę, że dziecku należy na wszystko pozwalać. Moda ta zanikła, gdy dzieci wychowane metodą doktora Spocka stały się nastolatkami, zapuściły włosy do ramion i zaczęły wysadzać w powietrze gmachy rządowe.

W środę poszłam na urodzinowe przyjęcie. Ustaliłam, że wyjdę z instytutu wcześniej, i wkładałam właśnie płaszcz, gdy powłócząc nogami, weszła Flip. Miała na sobie koronkowe body i dzinsy ozdobione taśmą klejącą. Wręczyła mi kawałek papieru.

- Nie mam czasu na żadne petycje - powiedziałam.

- To nie petycja - oznajmiła odrzucając pasmo z czoła. - To okólnik dotyczący formularzy o przyznanie finansowania.

Okólnik przypominał, że formularze należy składać do dwudziestego trzeciego. Już o tym wiedziałam.

- Powinna mi pani zwrócić formularz. Skinęłam głową i oddałam jej kartkę.

- Zanieś to do laboratorium doktora O'Reilly'ego - powiedziałam, wkładając rękawiczki. Westchnęła.

- Nigdy go tam nie można zastać. Przesiaduje w gabinecie doktor Turnbull.

- Więc zanieś to do laboratorium doktor Turnbull.

- Stale są razem. No wie pani, dostał bzika na jej punkcie. Nie, nie wiedziałam o tym, pomyślałam.

- Zawsze siedzą razem przy komputerze. Nie wiem, co ona w nim widzi. On jest kompletny śwuk - oświadczyła Flip skubiąc taśmę klejącą na wierzchu dłoni. - Może ona coś z nim robi i go umodni.

A jeśli jej się uda, pomyślałam z irytacją, to koniec z jego bezmodziem i nigdy nie zrozumie, skąd się wzięła ta odporność.

- Co to znaczy "wyrafinowany"? - zapytała Flip.

- Subtelny - odparłam - ale to ciebie nie dotyczy. - I poszłam na przyjęcie.

Ochłodziło się. Zwykle w październiku mamy jedną wielką burzę śnieżną i pogoda właśnie się do tego przygotowywała.

Dotarłam na miejsce. Gina niemal histeryzowała.

- Nie uwierzysz, czego zachciało się Brittany, gdy jej powiedziałam, że nie dostanie Barneya - powiedziała, pokazując na dekoracje.

Różowe, ale w odcieniu zupełnie nie postmodernistycznym.

- Barbie! - krzyknęła Brittany. Miała na sobie suknię rusałki i włosy poowijane jasnoróżowymi tasiemkami. - Przyniosłaś mi prezent?

Inne dziewczynki nosiły sukienki-fartuszki w stylu Poca-hontas, tylko jedna milutka blondyneczka o imieniu Peyton miała sukienkę z Królem Lwem i świecące adidas.

- Jesteś mężatką? - spytała mnie mama Peyton.

- Nie - odrzekłam. Potrząsnęła głową.

- Tyłu facetów nie potrafi sobie obecnie poradzić z życiem uczuciowym. Peyton, jeszcze nie otwieramy prezentów.

- A spotykasz się z kimś? - spytała mama Lindsay.

- Brittany, prezenty otworzymy później! Najpierw w coś zagramy. Bethany, to są urodziny Brittany! - wołała Gina.

Próbowała zorganizować zabawę z balonami, na których nadrukowano różowe Barbie, a potem dała spokój i pozwoliła Brittany obejrzeć prezenty.

- Otwórzmy najpierw podarunki od Sandry - zaproponowała wręczając córce książkę. - Zostaw to, Caitlin, to są prezenty Brittany.

Brittany zerwała papier z Ropuch i diamentów i obojętnie patrzyła na książkę.

- Gdy byłam mała, bardzo lubiłam tę baśń - powiedziałam. - Opowiada o dziewczynce, która spotyka dobrą wróżkę, tylko tego nie wie, bo wróżka jest w przebraniu...

Brittany już odrzuciła książkę i rozrywała opakowanie lalki Barbie w połyskującej sukni.

- Barbie z Rosnącymi Włosami! - zapiszczała.

- Moja - oświadczyła Peyton i schwyciła mocno lalkę, po czym Brittany zostało w ręce tylko ramię Barbie.

- Peyton popsowała Barbie z Rosnącymi Włosami! - zawodziła Brittany.

Mama Peyton wstała i zakomunikowała spokojnie:

- Peyton, sądzę, że potrzebna ci jest pauza.

Według mnie Peyton potrzebowała mocnego klapsa, a przynajmniej należało jej zabrać zabawkę i zwrócić Brittany. Matka natomiast poprowadziła ją do sypialni Giny.

- Możesz wrócić, gdy zapanujesz nad swymi uczuciami - oznajmiła córce.

Miałam wrażenie, że Peyton nad swymi uczuciami panuje całkowicie.

- Naprawdę nadal używasz pauz? - nie dowierzała mama Chelsea. - Teraz wszyscy stosują trzymanie.

- Trzymanie? - spytałam.

- Trzymasz dziecko nieruchomo na kolanach, aż ustąpi zachowanie negatywne. Stwarza to w dziecku poczucie przewencyjnego bezpieczeństwa.

- Hm... - Spojrzałam na drzwi. Dla mnie byłoby to okropne, gdybym siłą przytrzymała Peyton.

- Trzymanie zarzucono całkowicie - oświadczyła mama Lindsay. - Stosujemy WS.

- WS? - nie rozumiałam.

- Wzmacnianie Samooceny - wyjaśniła mama Lindsay. - WS odwołuje się do pozytywnego zachowania peryferyjnego, bez względu na to, do jakiego stopnia negatywne jest zachowanie pierwszoplanowe.

- Pozytywne zachowanie peryferyjne? - Gina wyraźnie w to nie wierzyła.

- Kiedy przed chwilą Peyton zabrała zabawkę Brittany - mama Lindsay czerpała wyraźną radość z udzielania wyjaśnień - powiedziałybyś: "Ależ Peyton, jakże energicznie zabrałaś tę lalkę".

Brittany otworzyła paczkę z Barbie Pływa i Nurkuje, Barbie Kuj i Rąb, z serią Barbie Nocą w Wielkim Mieście i z Barbie starannie uczesaną i ubraną w strój weselny.

- Barbie Romantyczna Panna Młoda! - wykrzyknęła Brittany z zachwytem.

- Czy możemy zacząć tort? - spytała Lindsay, a Peyton zapewne trzymała uszko przy drzwiach, gdyż właśnie wróciła. Nie wyglądała na szczególnie skruszoną.

- Czuję, że teraz jest ze mną lepiej - oświadczyła i wdrapała się na krzesło przy stole.

- Tortów nie będzie - powiedziała Gina. - Za dużo cholesterolu. Zapraszamy na mrożony jogurt i sok owocowy.

Wszystkie dzieci nadciągnęły pędem, jakby usłyszały flet szczurołapa z Hamelin.

Matki dziewczynek i ja zabrałyśmy wstążki oraz papierowe opakowania i starannie sprawdziłyśmy, czy nie zaplątały się tam wysokie obcasy Barbie albo inne mikroskopijne akcesoria.

- Ciekawe, czy Lisie spodobałaby się taka suknia. - Matka Danielle wygładziła tiulową spódnicę Barbie Romantycznej Panny Młodej. - Namawia Erika, by wzięli ślub tego lata.

- Będiesz jej druhną? - spytała mama Chelsea. - W jakich kolorach chce wystąpić?

- Jeszcze się nie zdecydowała. Czerń i biel są ciągle w modzie, ale miała je na sobie podczas swego ostatniego ślubu.

- Postmodernistyczny róż - wtrąciłam. - To najnowszy kolor na wiosnę.

- W różowym wyglądam jak wyblakła - oznajmiła mama Danielle. - A przede wszystkim Lisa jeszcze musi go do całej sprawy namówić. On powtarza, że mogą sobie po prostu razem mieszkać.

Matka Lindsay podniosła Barbie Romantyczną Pannę Młodą i zaczęła poprawiać jej bufiaste rękawy.

- Zawsze powtarzam, że po tym wariacie Matthew nigdy ponownie nie wyjdę za mąż - powiedziała. - Ale nie wiem, ostatnio czułam coś w rodzaju... nie wiem...

Świądu? - pomyślałam.

Zadzwonił telefon, Gina poszła do sypialni odebrać.

Z kuchni rozległ się pisk i wszyscy tam ruszyli, by wzmacniać samoocenę. Podniosłam Barbie Romantyczną Pannę Młodą i popatrzyłam z podziwem na tiulowe pączki róż i białe falbanki. Mania Barbie nie powinna trwać dłużej niż dwa sezony. Nawet lalka Shirley Tempie była szalem tylko przez trzy sezony.

A jednak Barbie bardzo się posunęła w latach. Ma już trzydziestkę. Nawet obecnie, w czasach feminizmu i neutralnego płciowo wychowania dzieci, święciła triumfy jak nigdy dotąd. Stanowiłaby idealny obiekt do studiów, co wywołuje manie, lecz nie byłam pewna, czy chcę to wiedzieć. Barbie to jedna z tych manii, których powszechność każe ci tracić wszelką wiarę w ród ludzki.

Gina wyszła z sypialni.

- Do ciebie. - Była wyraźnie zaintrygowana. - Możesz odebrać tam w pokoju.

Odłożyłam Barbie Romantyczną Pannę Młodą i wstałam.

- To moje urodziny! - wrzeszczała Brittany.

- Ależ Peyton - mówiła mama Lindsay - jak twórczo potrafisz wykorzystać mrożony jogurt.

Gina pośpieszyła do kuchni. Weszłam do sypialni.

Fiołkowy wystrój, bezprzewodowy fioletowy telefon. Podniosłam go.

- Czołem - odezwał się Billy Ray. - Zgadujesz, skąd dzwonię?

- Kto ci powiedział, że tu jestem?

- Zadzwoń do HiTeku i twoja asystentka mnie poinformowała.

- Flip podała ci numer? Właściwy? - spytałam.

- Nie wiem, jak ona ma na imię. Głos chrypiący. Bardzo kaszle.

Shirl. Na pewno wklepywała do mojego komputera kolejną porcję danych Alicji.

- Więc tak, posłuchaj, właśnie jadę przez Góry Skaliste i... zostań tam, zaraz będzie tunel. Zadzwoń, jak tylko przejadę.

Usłyszałam brzęczenie, potem pstryknięcie.

Odłożyłam telefon i usiadłam na fiołkowym łóżku Giny. Zastanawiałam się, jak Billy Ray załatwia pracę na farmie, skoro nigdy tam nie przebywa, i dumałam sobie, co takiego atrakcyjnego jest w Barbie.

Częściowo polegało to chyba na tym, że lalka wchłaniała pojawiające się w ciągu tych lat inne manie. W połowie lat sześćdziesiątych Barbie miała prasowane włosy i ręcznie szyte stroje

hippisowskie, w siedemdziesiątych - babcine suknie, w osiemdziesiątych - trykoty i getry.

Obecnie istnieje Barbie astronautka, Barbie menedżer i nawet lekarka, choć trudno sobie wyobrazić, żeby Barbie prze-

brnęła pomyślnie przez podstawówkę, nie mówiąc już o akademii medycznej.

Billy Ray prawdopodobnie o mnie zapomniał, mama Peyton widocznie też, gdyż otworzyła drzwi, mówiąc:

- ...zarządzam ci teraz pauzę, dopóki się nie zdecydujesz nawiązać przyjaznych stosunków z rówieśnikami - i wprowadziła Peyton pokrytą mrożonym jogurtem.

Nie zauważyły mnie, zwłaszcza Peyton. Zaczerwieniona, rzuciła się na drzwi i skamlała, a gdy pojęła, że to nic nie pomoże, schyliła się pod łóżko i wyciągnęła blok rysunkowy i kredki.

Usiadła po turecku na podłodze, otworzyła pudełko z kredkami, wybrała różową i zaczęła rysować.

- Cześć! - Z zadowoleniem zobaczyłam, że podskoczyła na pół metra. - Co robisz?

- W czasie pauzy nie wolno rozmawiać - rzekła tonem niezwykle karnej dziewczynki.

Nie wolno też rysować, pomyślałam, pragnąc, by Billy Ray sobie przypomniał, że ma do mnie zadzwonić.

Wybrała zieloną kredkę i pochyliła się nad blokiem, mażąc z przejęciem. Przeniosłam telefon na drugą stronę łóżka, by widzieć obrazek.

- Co rysujesz? Motyla? - zapytałam. Wywróciła oczyma.

- Nie. To opowiadanie.

- Opowiadanie? - Przechyliłam głowę, by lepiej widzieć rysunek. - O czym?

- O Barbie.

Westchnęła - sobowtór Flip - i wybrała jasnoniebieską kredkę.

Dlaczego tylko okropne rzeczy stają się maniami? - pomyślałam. Wywracanie oczyma, Barbie, pudding chlebowy. Dlaczego nie sernik wiedeński albo samodzielne myślenie?

Spojrzałam uważniej na rysunek. Bardziej przypominał wykres Mandelbrota niż opowiadanie. Jakaś mapa, a może schemat, rzędkie lawendowych gwiazdek i różowych zygzaków przecinały się na papierze. Widocznie Peyton pracowała nad tym podczas wielu pauz.

- Co to jest? - Wskazałam fioletowe zygzaki.

- Morze. - Położyła blok i kredki na mych kolanach. - Barbie pojechała do swego domu na plaży Malibu. - Narysowała falistą niebieską linię nad zygzakami. - To bardzo daleko. Musieli pojechać jej jaguarem.

- I to właśnie jest ta linia? - Dotknęłam palcem niebieskich fal.

- Nie - odparła zirytowana, że jej przerywam. - To żeby pokazać, w co jest ubrana. Widzisz, jak ona jedzie do domku na plaży Malibu, wkłada niebieski kapelusz. Więc wszyscy przyjechali do domku na plaży Malibu. - Prowadziła po kartce ołówek jak lalkę. - I Barbie powiedziała: "Chodźmy popływać". A ja powiedziałam: "Dobrze, chodźmy". - Peyton wybrała pomarańczową kredkę. - I Barbie powiedziała: "Chodźmy!", i poszłyśmy pływać.

Zacząła szybko rysować rząd ukośnych zygzaków.

- Czy to jej kostium kąpielowy? - zapytałam.

- Nie - odpowiedziała. - To Barbie.

Barbie? - pomyślałam, zastanawiając się nad symboliką zygzaków. Oczywiście. Wysokie obcasy Barbie.

- I następnego dnia - ciągnęła Peyton, wybierając żółto-pomarańczową kredkę i rysując kolczaste słońca - Barbie powiedziała: "Chodźmy na zakupy", a ja powiedziałam: "Dobrze,

Chodźmy", i ona powiedziała: "Pojedźmy skuterami", i ja powiedziałam..

Billy Ray wyjechał z tunelu. Rzuciłam się na telefon, gdy tylko zadzwonił.

- Więc jedziesz właśnie do Denver? - zapytałam.

- Nie. W innym kierunku. Do Durango. Konferencja na temat telekonferencji. Zaczęłam o tobie myśleć i pomyślałam, że zadzwonię. Czy czasami pragniesz czegoś poza swą pracą?

- Tak - odpowiedziałam skwapliwie, czytając nazwy kredek rzuconych przez Peyton. Barwinek. Krzycząca zieleń. Modry błękit.

- ...więc Barbie powiedziała: "Cześć, Ken" i Ken powiedział: "Cześć, Barbie, chcesz się ze mną umówić?" - ciągnęła Peyton, z przejęciem kreśląc linie.

- Ja też - oświadczył Billy Ray. - Myślałem sobie: "Czy właśnie tego rzeczywiście chcę?"

- A z owcami się nie udało?

- Z targheesami? Nie, z nimi wszystko w porządku. Miałem na myśli to całe farmerstwo. Ta praca tak izoluje od ludzi. A faks i telefon komórkowy? - pomyślałam.

- ...więc Barbie powiedziała: "Nie chcę być w pauzie". - Peyton ścisnęła czarną kredkę. - "Dobrze, nie musisz", powiedziała mama Barbie.

- Czy kiedyś naszło cię uczucie... - mówił Billy Ray - ...takie... Nie wiem, jak to nazwać...

Ja wiem, pomyślałam. Świąd. Czyżby to nieokreślone uczucie braku satysfakcji też stało się manią, jak tatuaże i fiolety? A jeśli tak, jak to się zaczęło?

Usiadłam prosto na łóżku.

- Kiedy dokładnie zaczęłaś mieć to uczucie? - zapytałam, ale z telefonu komórkowego dobiegało już złowieszcze brzęczenie.

- Następny tunel - poinformował Billy Ray. - Porozmawiamy o tym obszerniej, kiedy wrócę. Chciałbym coś... - telefon umilkł.

O świądzie mówiła mama Lindsay oraz Flip tamtego dnia w kawiarni, i ja też czułam wtedy taką niewyraźną ochotę, by wybrać się na kolację z Billym Rayem. Czy przekazałam mu to uczucie jak wirusa, i czy w ten właśnie sposób rozprzestrzeniają się manie: przez zakażenie?

- Twoja kolej - oznajmiła Peyton wyciągając jaskrawo-czerwoną kredkę. Radykalna czerwień.

- Dobrze. - Wzięłam kredkę do ręki. - Więc Barbie postanowiła pójść... - nad niebieskimi falkami narysowałam linię radykalnie czerwonych wysokich obcasów - ...do fryzjera. "Chcę ostrzyć się na pazia", powiedziała do fryzjera. - Zaczęłam rysować rząd nożyczek z akwamaryny. - A fryzjer zapytał: "Dlaczego?" I Barbie powiedziała: "Ponieważ wszyscy dokoła to robią". Więc fryzjer obciął Barbie włosy i...

- Nie - zaprotestowała Peyton, odbierając mi akwamarynę i wręczając laserową cytrynę. - To jest Barbie Obetnij i Zakręć Włosy.

- Aha. Dobrze. Więc fryzjer powiedział: "Ale ktoś musiał zrobić to pierwszy i po prostu nie mógł tego zrobić dlatego, że wszyscy inni tak robili, więc dlaczego ta osoba..."

Od drzwi dobiegł jakiś dźwięk. Peyton wyrwała mi z ręki laserową cytrynę, zatrzasnęła blok rysunkowy i niezwykle zwinnie wepchnęła wszystko pod łóżko. Gdy matka weszła, dziewczynka siedziała z dłońmi złożonymi na podolku.

- Peyton, oglądamy teraz wideo. Czy... - przerwała na mój widok. - Nie odzywałaś się przypadkiem do Peyton, gdy miała pauzę, prawda?

- Ani słowem - oświadczyłam. Znowu zwróciła się do córeczki.

- Czy uważasz, że teraz będziesz potrafiła zademonstrować pozytywne zachowanie w grupie rówieśniczej?

Peyton rezolutnie kiwnęła głową i pędem wybiegła z pokoju; matka za nią. Odłożyłam telefon na

nocny stolik, wyjęłam blok z kryjówki i przyjrzałam się szkicowi.

Wbrew stwierdzeniu Peyton, to była mapa. Połączenie mapy, schematu i obrazka - na kartce upakowano zadziwiającą ilość informacji: miejsce, czas, noszone stroje. Zadziwiająca ilość informacji.

Na diagramie ujawniały się ciekawe przecięcia, linie krzyżowały się wielokrotnie, tworząc zawikłane sploty, radykalna czerwień przechodziła w lilaróż, na to nałożona była barwa pomarańczowa. Barbie jechała skuterem tylko w dolnej części ry-

sunku, a w jednym z rogów znajdował się gęsty węzeł gwiazd. Anomalia statystyczna?

Zastanawiałam się, czy takie schemat-mapa-opowiadanie nadawałoby się do moich danych z lat dwudziestych. Próbowałam zastosować mapy, wykresy statystyczne i modele komputerowe, lecz nigdy wszystkie te rzeczy naraz, gdy różne kolory oznaczają daty, wektory i częstotliwość danego zjawiska. Jeśli wszystko to połączyć, jaki wyłoni się wzór?

Z salonu rozległ się pisk.

- To moje urodziny! - zawodziła Brittany. Wetknęłam blok z powrotem pod łóżko.

- Ależ Peyton - mówiła mama Lindsay - jakże twórczo wyrażasz swą potrzebę zwracania na siebie uwagi.

Pirografia (1900 - 05)

Mania z dziedziny robótek ręcznych. Gorącym żelazem wypalano w drewnie lub w skórze rozmaite rysunki. Kwiaty, ptaki, konie i rycerze w zbrojach zdobili pudełka na szpilki, piórniki, pudła na rękawiczki, stojaki na fajki, szkatułki do kart i inne równie bezużyteczne graty. Szał wygasł, gdyż próg przyswajalności był zbyt wysoki. Konie zawsze wyglądały jak krowy.

We wtorek pogoda się pogorszyła. Gdy szłam do pracy, pluło śniegiem, a w południe mieliśmy już prawdziwą zawieję. Flip udało się zepsuć obie kopiarki, więc zebrałam wycinki prasowe o siedzeniu na masztach, by je powielić w punkcie usługowym na mieście. Jednak gdy szłam do samochodu, zdecydowałam, że mogą poczekać, i czmychnęłam z powrotem do budynku. Głowę pochyliłam nisko, by śnieg nie zacinał mi w twarz. I omal nie wpadłam na Shirl.

Skulona obok minifurgonetki, paliła papierosa. Miała podniesiony kołnierz płaszcza i szalik owinięty wokół brody. Drżała z zimna. Dłoń bez papierosa tkwiła w brązowej jednopalcza-stej rękawicze.

- Shirl! - zawołałam, przekrzykując wiatr. - Co pani tu robi?

Nie zdejmując rękawiczki, niezgrabnie wyciągnęła z kieszeni płaszcza kawałek papieru i mi go wręczyła. Był to okólnik obwieszczający, że cały budynek jest strefą dla niepalących.

- Flip - powiedziałam, strzepując śnieg z już mokrego okólnika. - Ona za tym wszystkim stoi. - Zmiałam kartkę i cisnęłam ją na ziemię. - Czy ma pani samochód? - zapytałam.

Kręciła głową, trzęsąc się z zimna.

- Ktoś podwozi mnie do pracy.

- Może pani siedzieć w moim samochodzie - zaproponowałam, ale przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. Ujęłam ją pod rękę. - Chodźmy, znam pewne miejsce, gdzie będzie pani mogła palić.

- Cały gmach uznano za strefę beznikotynową.

- To miejsce nie jest w gmachu. Zgasła niedopalek.

- To miłe, że ktoś robi coś takiego dla starszej pani - stwierdziła i obie pognałyśmy do budynku przez zacinający śnieg. Zatrzymałyśmy się w przejściu, by się otrzepać i zdjąć kapelusze. Jej ogorzała twarz była czerwona od zimna.

- Nie musi pani tego robić - oznajmiła, odwijając szalik.

- Spędzam tyle czasu na studiowaniu manii, że zaczynani ich serdecznie nienawidzić - wyjaśniłam. - Zwłaszcza manii awersyjnych. Budzą w człowieku najgorsze instynkty. I na tym się to opiera. Następny może być tort czekoladowy. Albo czytanie. Chodźmy.

Poprowadziłam ją holem.

- Tamto miejsce nie jest ciepłe, ale osłonięte od wiatru i przynajmniej nie zasypie pani śnieg. A ten szał antynikotynowy do wiosny powinien wygasnąć. Osiąga właśnie fazę maksymalnego nasilenia. Nieubłaganie doprowadzi to do reakcji.

- Prohibicja trwała trzynaście lat.

- Tyle przetrwało prawo, nie sama mania. Maccartyzm trwał tylko cztery lata.

Zacząłam schodzić na dół, do Biologii.

- Gdzie dokładnie znajduje się to miejsce? - spytała Shirl.

- Przy laboratorium doktora O'Reilly'ego. Z tyłu jest tam zadaszony ganek.

- Czy na pewno nie będzie miał nic przeciw temu?

- Na pewno - odpowiedziałam. - On nigdy się nie przejmuje, co sobie myślą inni.

- To niezwykle młody człowiek - stwierdziła Shirl.

Owszem, niezwykle, pomyślałam.

Nie pasował do żadnego z typowych schematów. Z pewnością nie jest buntownikiem, odrzucającym mody, by podkreślić swą indywidualność. Bunt też może być modą - świadectwo temu dają Anioły Piekieł i symbole pokoju. A jednak nie był roztargniony i oderwany od życia. Był dowcipnym, inteligentnym, byстрыm obserwatorem.

Próbowałam wyjaśnić to Shirl, gdy schodziłyśmy na Biologię.

- Nie w tym rzecz, że nie dba on o to, co myślą inni ludzie. On po prostu nie widzi, co to ma z nim wspólnego.

- Mój nauczyciel fizyki powiadał, że Diogenes nie powinien był tracić czasu na poszukiwania człowieka uczciwego - zauważyła Shirl. - Powinien szukać kogoś, kto myśli samodzielnie.

Ruszyłam ku laboratorium Biologii i nagle uświadomiłam sobie, że może tam być Alicja.

- Proszę tu sekundę poczekać - powiedziałam do Shirl i zerknęłam do środka. - Bennett?

Garbił się nad biurkiem, skryty za papierami.

- Czy Shirl mogłaby zapalić na ganku? - spytałam.

- Jasne - odparł, nie podnosząc wzroku. Weszłyśmy.

- Może pani palić tutaj, jeśli pani chce - rzekł Bennett.

- Nie, nie może. Budynek HiTeku jest strefą zakazaną dla palaczy. Powiedziałam pani Shirl, że może palić na werandzie.

- No tak - rzekł, wstając. - Proszę, niech pani wpada o dowolnej porze. Zawsze tu jestem.

- Pracuje pan nad projektem podczas przerwy obiadowej? - spytała Shirl.

Odpowiedział, że nie ma żadnego projektu, nad którym mógłby pracować, i musi czekać, aż przyznają mu fundusze. Dopiero wtedy dostanie makaki. Nie słuchałam, patrzyłam na jego ubranie.

Flip nie myliła się, mówiąc o Bennecie. Miał na sobie białą koszulę i krawat w kolorze błękitu Czerenkowa.

- Siedzę nad teorią chaosu - powiedział, poprawiając krawat.

- Czy Alicja uznała, że teoria chaosu to optymalny projekt, by zdobyć Grant Niebnitza? - spytałam. W moim głosie pobrzmiwał mimowolny ostry ton.

- Nie - odparł, marszcząc brwi. - Kiedy mówiła o zmiennych, wydało mi się, że zrozumiałem, dlaczego nie polepsza się moja szybkość predykcji. Przekształciłem więc dane.

- Coś pomogło?

- Nie. - Zrobił minę człowieka oderwanego od rzeczywistości. Taki sam wyraz twarzy miewała Alicja. - Pracując nad tym, dochodzę do wniosku, że może Verhoest miał rację, może na system działa jakaś siła zewnętrzna. - Zwrócił się do Shirl. - Prawdopodobnie nie interesują pani te sprawy. Pokażę pani ganek. - Poprowadził ją wśród swych przyrządów do tylnych drzwi. - Gdy nadejdą makaki, będzie pani musiała obchodzić je bokiem. - Otworzył drzwi. Śnieg i wiatr wdarły się do wnętrza. - Na pewno nie chce pani palić w środku? Mogłaby pani stanąć w drzwiach albo zostawić je otwarte, by leciało choć trochę ciepła.

- Urodziłam się w Montanie - odparła, zawijając szal wokół szyi. - Ta zawieja to po prostu łagodny letni powiew. Wyszła. Drzwi zostawiła jednak uchylone. Bennett wrócił, pocierając ręce.

- Brrr, ale mrozi. Co się z ludźmi porobiło? Wypędzają starszą panią na śnieg w imię czystości moralnej. Przypuszczam, że stoi za tym Flip.

- Flip stoi za wszystkim. - Spojrzałam na zagracone biur-

ko. - Chyba nie powinnam ci dłużej przeszkadzać w pracy. Dzięki, że pozwoliłeś Shirl palić na werandzie.

- Nie, poczekaj. Chciałbym cię zapytać o parę rzeczy na temat formularza finansowego. - Z bałaganu na biurku wyłowił druk, przerzucił kartki. - Strona pięćdziesiąt osiem, część ósma. Co

oznacza "Metoda rozproszenia dokumentacji"?

- Oczekują, że złożysz "Blankiet rozszerzony" - wyjaśniłam.

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Gina kazała mi coś takiego złożyć. Wpisał to ołówkiem, potrząsając głową.

- Te formularze finansowe mnie wykończą. Mógłbym zrealizować cały projekt w czasie, który zajmuje mi wypełnienie tego wniosku. HiTek chce, by przyznano nam Grant Niebnitza, byśmy dokonywali przełomowych odkryć. Wskaż mi naukowca, który dokonał ważnego przełomu podczas wypełniania papierków czy siedzenia na zebraniu.

- Mendelejew - odezwała się Shirl.

Odwróciliśmy się oboje. Stała w drzwiach, otrząsając śnieg z kapelusza.

- Mendelejew podczas podróży na konferencję serowarów rozwiązał problem układu okresowego - powiedziała.

- Racja - potwierdził Bennett. - Wsiadł do pociągu i rozwiązanie wpadło mu do głowy, tak po prostu.

- Tak jak Poincaremu - zauważyłam. - Tylko że on wsiadał do autobusu.

- I odkrył funkcje Fuchsa - dorzucił Bennett.

- Kekule też jechał autobusem, gdy odkrył pierścień benzenowy - mówiła Shirl zamyślona. - W Ghent.

- Rzeczywiście. Skąd pani tak dużo wie o nauce? - spytałam zaskoczona.

- Robię kopie tylu opracowań naukowych, więc doszłam do wniosku, że mogę je przeczytać. Einstein też chyba patrzył na zegar miejski z autobusu, gdy pracował nad teorią względności.

- Autobus. Bennett, tego właśnie potrzebujemy. Pojedziemy gdzieś autobusem i nagle wszystko stanie się jasne - rozmarzyłam się. - Ty będziesz wiedział, dlaczego nie gra twój model chaosu, a ja - skąd się wzięły krótkie fryzury.

- Wspaniały pomysł - oświadczył Bennett. - Weźmy...

- Och, świetnie, że tutaj jesteś! - wykrzyknęła Alicja. - Chciałabym z tobą pomówić o profilu grantu. Pani Shirl, proszę zrobić z tego pięć kopii. - Wrzuciła stos papierów w ramiona Shirl. - Proszę je potem ułożyć we właściwej kolejności i zszyć. I tym razem proszę nie kłaść mi tego na biurku, ale do skrzynki pocztowej. - Znow zwróciła się do Bennetta. - Musisz mi pomóc włączyć dodatkowe istotne czynniki.

- Środki transportu - rzuciłam, kierując się ku drzwiom. - I ser.

Prasowanie włosów (1965 - 68)

Rodzaj uczesania zainspirowany przez Joan Baez, Mary Travers i innych piosenkarzy folk. Stanowił element stylu hippisowskiego. Długie, prosto opadające włosy było kobietom trudniej uzyskać niż mężczyznom wrażenie ogólnego zaniedbania. Salony fryzjerskie oferowały "antyloki", jednak ulubiona metoda nastolatków polegała na układaniu głowy na desce do prasowania i przyciskaniu loków żelazkiem. Koleżanka (której ufano, że wie, co robi) prasowała po kilkanaście centymetrów włosów i w akademikach dziewczęta ustawiały się w kolejki do tego zabiegu.

Przez kilka następnych dni nie wydarzyło się nic wielkiego. Uproszczone formularze rozdziału funduszy należało złożyć dwudziestego trzeciego. Poświęciłam więc kolejny weekend na ich wypełnianie i przekazałam Flip, by je doręczyła. Potem zreflektowałam się i sama zaniiosłam formularze do Papierkowni.

Pogoda znowu się poprawiła, Elaine próbowała mnie namówić na spływ tratwami po rzece, co miało osłabić stres; Sara poinformowała, że jej chłopak, Ted, przeżywa właśnie niechęć do trwałych związków; Gina spytała, czy wiem, gdzie znaleźć Barbie Romantyczną Pannę Młodą dla Bethany (która chciała dokładnie taką, jaką ma Brittany, i której urodziny przypadają w listopadzie); dostałam trzy upomnienia za przetrzymywanie Dzieł zebranych Browninga.

W tym czasie skończyłam wprowadzać wszystkie dane dotyczące manii na punkcie Tutanchamona i black bottom i zaczęłam rysować schemat a la Peyton. Nie miałam pudełka z sześćdziesięcioma czterema kredkami, lecz za to w komputerze miałam program graficzny. Wywołałam go łącznie ze swymi programami statystycznymi oraz pakietem do rozwiązywania równań różniczkowych, po czym zaczęłam kodować korelacje i rysować ich wzajemne związki. Odwzorowywałam długości spódnic w modrym błękitcie, sprzedaż papierosów w szarości, wykreślałam lawendowe linie regresji dla Isadory Duncan i żółte dla temperatur ponad trzydzieści stopni. Biel dla Ireny Ca-stle, radykalna czerwień dla odnośników do rózu, brąz dla Be-renice obcina włosy.

Co pewien czas wpadała Flip, wręczała mi petycje lub zadawała pytania w rodzaju:

- Gdyby pani matką chrzestną była dobra wróżka, to jak by wyglądała?

- Starsza pani - odparłam, przypominając sobie Ropuchy i diamenty - lub ptak, coś brzydkiego jak ropucha. Dobre wróżki występują w przebraniu. Chcą stwierdzić, czy zasługujesz na ich pomoc. Sprawdzają, czy jesteś dla nich miła. Po co ci wróżka?

Wywróciła oczyma.

- Łącznik komunikacji międzywydziałowej nie ma obowiązku odpowiadać na pytania osobiste. Jeśli są przebrane, skąd wiadomo, że trzeba być dla nich miłym?

- Masz obowiązek być miła w ogóle... - zaczęłam wyjaśniać, ale uzmysłowiłam sobie, że to sprawa beznadziejna. -O co chodzi w petycji?

- HiTek ma oczywiście dać nam ubezpieczenie stomatologiczne - powiedziała. Oczywiście.

- Ale jak pani sądzi, to nie jest moja asystentka, prawda? - spytała Flip. - To też starsza pani. Zwróciłam jej petycję.

- Wątpię, czy Shirl jest twoją matką chrzestną, wróżką w przebraniu.

- To dobrze - powiedziała. - W żaden sposób nie potrafiłabym być dobra dla kogoś, kto pali.

Nie widziałam się z Bennettem, który robił przygotowania na przyjęcie makaków, ani z Shirl, która wykonywała całą pracę Flip, za to rozmawiałam z Alicją. Przyszła do laboratorium, cała w różach po-mo, i zażądała pożyczki komputera.

- Flip korzysta z mojego - oświadczyła wściekła - a kiedy kazałam jej zwolnić komputer,

odmówiła. Czy widziałaś kiedyś takie chamstwo?

Mocne słowo.

- Jak idzie poszukiwanie kamienia filozoficznego? - spytałam.

- Zdecydowanie odrzuciłam predyspozycje okolicznościowe jako ewentualne kryterium. - Przesunęła moje dane na stół. - Tylko dwóch odbiorców Grantu Niebnitza dokonało jakiegoś przełomu naukowego już po zdobyciu nagrody. Zawęziłam podejście projektowe do eksperymentu zaplanowanego in-terdyscyplinarnie, lecz wciąż nie określiłam sylwetki osobowej. Nadal oceniam zmienne. - Wyjęła moją dyskietkę i wstawiła swoją.

- Czy brałaś pod uwagę choroby? - spytałam. To ją poirytowało.

- Choroby?

- Choroby odegrały ogromną rolę w przełomach naukowych. Odra Einsteina, kłopoty z płucami Mendelejewa, hipo-chondria Darwina. Dżuma dymienicza. Z jej powodu zamknięto Cambridge i Newton musiał wrócić do domu, do swego sadu z jabłonią.

- Zupełnie nie widzę zwią...

- A umiejętności strzeleckie?

- Jeśli dowcipkujesz...

- Dzięki temu, że Fleming potrafił strzelać z gwintówki, po uzyskaniu dyplomu chirurga dostał posadę w Świętej Marii. Potrzebowali go do szpitalnej drużyny strzeleckiej, ale nie mieli etatu na chirurgii i zaproponowali mu pracę w mikrobiologii.

- A co właściwie ma Fleming do Grantu Niebnitza?

- Był okolicznościowo predysponowany do dokonania znaczącego przełomu naukowego. A nawyki sportowe? James Watt rozwiązał problem maszyny parowej podczas spaceru, a William Rowan Hamilton...

Alicja chwyciła swoje papiery i wyjęła dyskietkę.

- Skorzystam z innego komputera - oświadczyła. - Może cię zainteresuje, że statystycznie rzecz biorąc, badania manii nie mają absolutnie żadnych szans.

Cóż, wiedziałam o tym. Zwłaszcza jeśli szły tak jak teraz. Mojemu schematowi daleko było do piękna schematu Peyton, nie pojawiły się w nim również żadne zarysy motyla. Z wyjątkiem Marydale, w Ohio. Ciągłe było tam skupisko, a nawet zostało dodatkowo wzmocnione przez dane ze zwijanych pończoch i z krzyżówek.

Cały czas brnęłam przez dopływy rojące się od krokodyli i much tse-tse. Obliczyłam predykcję przedziałów na coueizm i krzyżówki, a potem zaczęłam wprowadzać pokrewne dane o fryzurach.

Nie mogłam znaleźć wycinków o falach Marcela. Półtora tygodnia temu dałam je Flip, łącznie z danymi o aniołach i ogłoszeniami osobistymi. I od tamtego czasu nie widziałam ich na oczy.

Przerzuciłam stopy obok komputera - a nuż przyniosła je z powrotem i gdzieś rzuciła - a potem poszłam poszukać Flip. Zastałam ją na dole w Zaopatrzeniu. Obwijiała taśmą klejącą długie pasma włosów Desideraty.

- Przedwczoraj dałam ci plik papierów do skopiowania -

zwróciłam się do Flip. - Artykuły o aniołach i pakiet wycinków na temat krótkich fryzur. Co z nimi zrobiłaś? Wywróciła oczyma.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Dałam ci je do skopiowania. Są mi potrzebne i nie mogę ich znaleźć w laboratorium. Było tam kilka wycinków o falach Marcela - nalegałam. - Pamiętasz? Ta fryzura ci się spodobała. - Zrobiłam przy głowie serię falistych ruchów, w nadziei że się jej przypomni, lecz ona tylko zawijała włosy Desideraty. -Była tam również strona ogłoszeń osobistych.

Teraz wyraźnie coś sobie przypomniała. Wymieniła z Desi-deratą znaczące spojrzenia.

- Więc oskarża mnie pani o kradzież?

- Kradzież? - spytałam zmieszana. - Artykułów o aniołach i falach Marcela?

- One są publiczne, wie pani. Każdy może na nie odpowiedzieć.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Publiczne?

- Tylko dlatego że pani go zakreśliła, nie znaczy już, że jest pani. - Szarpnięta za włosy

Desiderata pisnęła. - Ponadto ma już pani tego faceta od rodeo.

Ogłoszenia osobiste. Dostrzegłam wreszcie światło. Chodziło o ogłoszenia osobiste. To wyjaśniało jej pytania o słowa "elegancki" i "wyrafinowany".

- Odpowiedziałaś na jedno z ogłoszeń? - zapytałam.

- Tak jakby pani nie wiedziała. A wy oboje z Darrellem śmiałyście się z tego do rozpuku, co? -

Cisnęła taśmę i wybiegła z pokoju.

Spojrzałam na Desideratę, która ciągnęła długi postrzępiony ogon taśmy przyklepionej do włosów.

- O co tu chodzi? - zapytałam.

- On mieszka na Valmont - wyjaśniła.

- I co? - Chciałam cokolwiek z tego zrozumieć.

- Flip mieszka na południe od Baseline.

Nadal nic mi to nie mówiło.

- Nie rozumie pani? - Desiderata westchnęła. - Ona jest geograficznie niekompatybilna.

Pomyślałam, że "n" na czole musi działać onieśmielająco na kogoś szukającego osoby eleganckiej i wyrafinowanej.

- Nazywa się Darrell? - zapytałam.

Desiderata kiwnęła głową, próbując zawinąć wokół włosów koniec taśmy samoprzylepnej.

- Jest dentystą.

Korona. Teraz wszystko jasne.

- Sądzę, że to kompletny śwuk, ale Flip go naprawdę lubi.

Trudno było sobie wyobrazić, jak Flip może kogoś lubić, zresztą oddalaliśmy się od głównego tematu. Wzięła ogłoszenia osobiste, lecz co zrobiła z resztą artykułów?

- Nie wiesz, gdzie mogła położyć moje artykuły na temat fal Marcela?

- Nie, jak babcię kocham. Sprawdzała pani u siebie w laboratorium?

Zrezygnowałam i poszłam ich poszukać do kopiami. Flip widocznie nigdy niczego nie kopiowała. Ogromne sterty papierów wznosiły się po obu stronach kopiarki, na jej pokrywie i na każdej wolnej powierzchni, dwie wysokie do pasa góry rosły na podłodze, ułożone warstwami jak osadowe formacje skalne.

Usiadłam na ziemi po turecku i zaczęłam je przeglądać. Okólniki, sprawozdania, sto kopii ćwiczeń wrażliwości, zaczynających się od słów: "Wymień pięć rzeczy, które podobają ci się w HiTeku", list oznaczony "Pilne", datowany szóstego lipca 1988 roku.

Znalazłam niektóre swoje notatki na temat kamieni-ulu-bieńców i czyjeś pokwitowanie za odebraną pensję. Jednak żadnych fal Marcela. Przesunęłam się szybko i zaczęłam przerzucać następny stos.

- Sandro - rozległ się męski głos.

Podniosłam wzrok. W drzwiach stał Bennett, wyraźnie zaniepokojony. Płowe włosy miał wzburzone, pod piegami jego twarz poszarzała.

- Co się stało? - spytałam, wstając.

Machnął nerwowo, wskazując garść kartek, które trzymałam w dłoni.

- Nie znalazłaś tu mojego podania o przydział funduszy?

- Formularz o przydział funduszy? - spytałam osłupiała. - Trzeba go było złożyć w poniedziałek.

- Wiem. - Przeczesał dłonią włosy. - Złożyłem. Dałem go Flip.

4. Bystrzyny

Przypuszczam, że Bóg mógł stworzyć
głupsze zwierzę od owcy,
lecz niewątpliwie mamy podstawy sądzić,
że tego nie uczynił...

Dorothy Sayers

Jitterbug (1938 - 45)

Taneczna mania podczas drugiej wojny światowej - taniec wykonywany przy swingu granym przez orkiestry jazzowe, zawierał skomplikowane kroki i ruchy gimnastyczne. Mężczyźni przerzucali partnerki przez plecy, między nogami oraz wysoko w górę. Żołnierze amerykańscy przenieśli Jitterbug za morza, tam gdzie stacjonowali. Zastąpiony przez cza-czę.

Do przełomów w nauce prowadzą niekiedy katastrofy. Zakażona kultura bakteryjna i niedoszące utonięcie doprowadziło do odkrycia penicyliny; zepsute klisze fotograficzne do odkrycia promieni X. Weźmy na przykład Mendelejewa. Całe jego życie było ciągiem katastrof. Mieszkał na Syberii, jego ojciec oślepl, do cna spłonęła fabryka szkła, zbudowana przez próbującą związać koniec z końcem matkę. Lecz właśnie ten pożar zmusił rodzinę do przeprowadzki do Petersburga, gdzie Mendelejew mógł studiować z Bunsenem i w końcu opracować układ okresowy pierwiastków.

Lub taki James Christy. Przytrafiła mu się katastrofa dość nieszkodliwa: awaria urządzenia Star Scan. Właśnie sfotografował Plutona i już miał wyrzucić zdjęcie z powodu wyraźnie nieprawidłowego wybrzuszenia na krawędzi planety, gdy Star Scan (widocznie wyprodukowany przez tę samą firmę co kopiarki HiTeku) przestał działać.

Christy nie wyrzucił kliszy. Zawołał montera, który poprosił go, by poczekał, gdyż potrzebna mu będzie pomoc. Christy przez pewien czas stał w pobliżu, a potem spojrzał uważniej na wybrzuszenie i postanowił sprawdzić kilka wcześniejszych fotografii. Pierwsza, która mu wpadła w ręce, miała oznaczenie: "Obraz Plutona. Wydłużony. Płyta niedobra. Odrzucić". Porównał obraz z fotografią trzymaną w ręku. Klisze wyglądały tak samo i Christy zdał sobie sprawę, że patrzy nie na zepsute zdjęcia, ale na księżyc Plutona.

Przeważnie jednak katastrofy to katastrofy. Tak jak ta.

Dyrekcji zależy tylko na jednej rzeczy - na papierkach. Wybaczy ona prawie wszystko - przekroczenie kosztów, ogromną niekompetencję, oskarżenia o przestępstwo kryminalne -byle tylko właściwie wypełnić papiery. I byle je złożyć w terminie.

- Dałeś swój formularz Flip?! - zapytałam i natychmiast tego pożałowałam.

Zbladł jeszcze bardziej.

- Wiem. To głupie.

- Twoje małpy - powiedziałam.

- Moje eks-małpy. Nie będę ich jednak uczył hula-hoop. Podszedł do stosu, który właśnie przerzuciłam, i zaczął go przeglądać.

- To już widziałam. Tam tego nie ma. Czy powiedziałaś Dyrekcji, że Flip zgubiła formularz?

- Tak. - Wziął papiery z wierzchu kopiarki. - Dyrekcja twierdzi, że Flip utrzymuje, iż oddała wszystkie podania, które dostała od ludzi.

- I uwierzyli w to? - Oczywiście, że uwierzyli. Przecież uwierzyli jej, gdy oznajmiła, że potrzebuje asystentki. - Czy zginał jeszcze czyjś formularz?

- Nie - odparł ponuro. - Trzy osoby były na tyle głupie, by zlecić Flip zanieś formularzy, ale tylko mój zgubiła.

- Może...

- Już ich o to pytałem. Nie mogę tego wypełnić ponownie i oddać później.

Położył stos papierów na ziemi, podniósł go i znowu zaczął przeglądać.

- Posłuchaj, zajmijmy się tym w sposób uporządkowany. - Odebrałam od niego papiery. - Ty sprawdzasz tamte sterty. - Położyłam stos koło kopca, który już przejrzałam. - To, co przeszukane, przesuńmy na tamtą stronę pokoju. - Wręczyłam mu papiery z podręcznego stołu. - Czego jeszcze nie

przejrzeliśmy, na tę stronę. Dobrze?

- Dobrze. - Wydało mi się, że jego twarz nieco odzyskała kolory. Wziął do ręki kartki z wierzchu stosu.

Zaczęłam od kosza na makulaturę, do którego ktoś (najprawdopodobniej Flip) wrzucił na wpół opróżnioną puszkę co-ca-coli. Wyjęłam klejącą się garść papierów, usiadłam na podłodze i zaczęłam je rozdzielać. Ani śladu formularza. Pochyliłam się nad koszem i wyciągnęłam drugą garść, mając nadzieję, że cola nie przeciekła do samego dna. Przecieka jednak.

- Wiedziałem, że nie należy jej tego dawać - rzekł Bennett rozpoczynając następny stos - ale pracowałem nad danymi z teorii chaosu, a Flip oświadczyła, że to właśnie ona ma zanieść formularz do Dyrekcji.

- Znajdziemy go - zapewniłam, odrywając stronicę od zlepionego colą pliku. Doszłam do połowy papierów i krzyknęłam.

- Znalazłaś? - spytał z nadzieją w głosie.

- Nie. Przepraszam. - Pokazałam mu lepkie stronicę. - To notatki z fal Marcela. Dałam je Flip do skopiowania. Jego twarz i piegi zupełnie zbladły.

- Wyrzuciła moje podanie - powiedział bezbarwnym głosem.

- Nie, na pewno nie. - Usiłowałam zapomnieć o tym, jak tego samego dnia, gdy poznałam Bena, Flip zgniotła i wyrzuciła do kosza moje wycinki na temat krótkich fryzur. - To musi tu gdzieś być.

Nie było. Skończyliśmy przebierać sterty i ponownie je przejrzelśmy, choć stało się już oczywiste, że formularza nie znajdziemy.

- A jeśli go zostawiła w twoim laboratorium? - spytałam, kiedy dotarłam do dna ostatniego stosu. - Może wcale go stamtąd nie zabrała.

Potrząsnął głową.

- Już przeszukałem całe pomieszczenie. Dwukrotnie. - Rył teraz w koszu na śmieci. - A może jest w twoim gabinecie? Poprzednio dostarczyła tamtą paczkę do ciebie. Może...

Z przykrością musiałam go rozczarować.

- Właśnie dokładnie je przetrząsnęłam. Szukając tego. - Wyciągnęłam swe wycinki o falach Marcela. - Przecież może on być także w laboratorium kogoś innego. - Wstałam sztywno. - Czy pytałeś Flip, co z tym zrobiła? Nie, co ja gadam, przecież mówimy o Flip.

Skinął głową.

- Powiedziała: "Jaki formularz finansowy?"

- W porządku, musimy mieć plan ataku. Ty zajmiesz się bufetem, a ja klubem.

- Bufetem?

- Tak, znasz Flip - powiedziałam. - Prawdopodobnie dostarczyła to komuś innemu. Tak jak tamtą paczkę.

Czułam, że tkwi w tym jakaś ważna wskazówka, dotycząca nie tylko formularza. Coś bardzo istotnego dla znalezienia źródeł mody krótkich włosów? Nie, to nie to. Starłam się zatrzymać to wrażenie.

- O co chodzi? - spytał Bennett. - Wiesz, gdzie on jest? Przeszło.

- Nie. Przepraszam. Myślałam o czymś innym. Spotkamy się przy koszu z makulaturą w Chemicznym. Nie martw się. Znajdziemy go - powiedziałam radośnie, ale nie miałam wielkiej nadziei. HiTek jest olbrzymi. Znałam przecież Flip; mogła ten formularz położyć wszędzie. W dowolnym laboratorium lub

na dole w Zaopatrzeniu u Desideraty, świętego patrona rzeczy zagubionych. Albo wynieść na zewnątrz. - Do zobaczenia przy koszu z makulaturą.

Ruszyłam do klubu, lecz po drodze wpadłam na lepszy pomysł. Postanowiłam poszukać Shirli. Była w gabinecie Alicji i wprowadzała do komputera dane Grantu Niebnitza.

- Flip zgubiła formularz finansowy doktora O'Reilly'ego -powiedziałam bez wstępów.

Nie wiadomo czemu miałam nadzieję, że usłyszę: "A, właśnie, wiem gdzie się podział", ale zamiast tego usłyszałam:

- O Boże! - Shirli wyglądała na naprawdę zdenerwowaną. -Jeśli on odejdzie, to... - przerwała. - Mogłabym w czymś pomóc?

- Rozejrzeć się po tym laboratorium. Bennett często tu zachodzi. Trzeba też sprawdzić wszystkie zakamarki, gdzie Flip mogła położyć te dokumenty.

- Ale termin już minął, prawda?

- Tak. - Byłam wściekła, że Shirli formułuje obawy, o których starałam się zapomnieć. Że Dyrekcja, formalisci jeśli chodzi o terminy, odmówiłaby przyjęcia druków, nawet gdybyśmy je wyciągnęli z jakiegoś dziwnego miejsca, posklejane cola.

- Będę w klubie personelu - oznajmiłam i poszłam przejrzeć skrytki pocztowe.

Formularza nie znalazłam ani tam, ani w stercie starych okólników, ani w piecyku mikrofalowym. Ani w laboratorium Alicji.

- Wszystko przejrzałam dokładnie. - Shirli wsadziła głowę przez drzwi. - Kiedy doktor O'Reilly przekazał to Flip?

- Nie wiem - powiedziałam. - Trzeba było to oddać w poniedziałek.

Potrząsnęła smutno głową.

- Tego się właśnie bałam. Śmieciarze przyjeżdżają we wtorki i czwartki.

Żałowałam, że ją w to wplątałam. Podeszłam do pojemnika na makulaturę. Bennett prawie cały tkwił w środku, majtał nogami w powietrzu. Wynurzył się z garścią kartek i ogryzkiem.

Wzięłam od niego połowę papierów. Przejrzeliśmy wszystko. Formularza nie było.

- W porządku. - Usiłowałam zachować optymistyczny ton. - Jeśli nie ma go tutaj, jest w jakimś laboratorium. Od którego zaczniemy? Chemia czy Fizyka?

- To nie ma sensu. - Bennett był znużony. - Nie ma go nigdzie, a ja nie zagrzeję tu miejsca.

- Czy nie można jakoś kontynuować tego projektu bez finansowania? - spytałam. - Masz pomieszczenia, komputer, kamery, cały sprzęt. Może wykorzystasz zastępczo szczury laboratoryjne lub coś w tym rodzaju?

Potrząsnął przecząco głową.

- Są zbyt niezależne. Potrzebuję zwierząt z silnym instynktem stadnym.

A szczury z Hamelin? - pomyślałam.

- I nawet szczury laboratoryjne kosztują - dodał.

- Schronisko dla zwierząt! - wykrzyknęłam. - Mają prawdopodobnie koty. Nie, nie koty, psy. Psy wykazują zachowania stadne, a schronisko ma mnóstwo psów.

Zrobił zde gustowaną minę, niemal jak Flip.

- Myślałem, że jesteś ekspertem od mód i szaleństw. Czy nigdy nie słyszałaś o prawach zwierząt?

- Przecież nie zamierzasz im robić nic złego. Chcesz je po prostu obserwować - zaprotestowałam, ale on miał słuszość. Zapomniałam o ruchu obrońców praw zwierząt. Nigdy nie pozwolą nam na wykorzystanie zwierząt ze schroniska. - A inne projekty z Biologicznego? Może uda ci się pożyczyć trochę zwierząt laboratoryjnych.

- Doktor Kelly pracuje z nicieniami, a doktor Riez z pła-zińcami.

A doktor Turnbull pracuje nad metodą zdobycia Grantu Niebnitza, dopowiedziałam w myśli.

- Ponadto nawet gdybym zdobył zwierzęta, nie miałbym czym ich żywić. Nie złożyłem przecież na czas formularza.

Wszystko w porządku - rzekł, widząc moją minę. - To da mi szansę powrotu do teorii chaosu.

Na którą w ogóle nie ma pieniędzy, nawet jeśli złożysz na czas wszystkie formularze, pomyślałam.

- No cóż, zacznę pisać sprawozdanie końcowe. - Wstał. Spojrzał na mnie z powagą. - Dziękuję za pomoc. Naprawdę. Ruszył holem.

- Jeszcze nie rezygnuj - powiedziałam. - Coś wymyślę. Mówiła to osoba, która nie potrafiła znaleźć źródeł manii aniołów, nie mówiąc już o manii krótkich fryzur.

Potrząsnął głową.

- Walczymy z Flip. To żywioł potężniejszy od nas obojga.

Listy-łańcuszki (wiosna 1935)

Sposób zarabiania pieniędzy. Osoba wysyłała dziesięć centów pod adres na początku listy, dodawała własne nazwisko na końcu i rozsyłała pięć kopii listu do znajomych, których uważała za równie łatwowiernych jak ona sama. Mania ta, spowodowana chciwością i niezrozumieniem statystyki, pojawiła się w Denver. Urząd pocztowy zalewało codziennie prawie sto tysięcy listów. W Denver trwała trzy tygodnie, potem przeniosła się do Springfield, gdzie łańcuszki jedno- i dwudolarowe pączkowały intensywnie przez dwa tygodnie, aż system się załamał. Zmutowała w Złoty Krąg (1978), w którym listy przekazywano osobiście, i w różne schematy piramid.

Patrzyłam, jak odchodzi, a potem poszłam do swego laboratorium. Przy komputerze siedziała Flip.

- Jak się pisze "cudowny"? - spytała. Powstrzymałam się, by nie potrząsnąć nią, aż zagrzechocze "n".

- Co zrobiłaś z formularzem finansowym doktora O'Reil-ly'ego?

Podrzuciła swój zbiór ozdóbek na głowie.

- Mówiłam Desideracie, że mnie pani zgnoi, bo ukradłam pani chłopaka. To nie fair. Już ma pani tego faceta od krów.

- Owiec - poprawiłam automatycznie, a potem wybałuszyła na nią oczy. Owce.

- Mówienie funkcjonariuszowi łączności międzywydziałowej, do kogo może pisać listy, to nękanie - oświadczyła, ale już jej nie słuchałam. Wybierałam numer Billy'ego Raya. - O rany, jak miło słyszeć twój głos - powiedział Billy Ray. - Ostatnio dużo o tobie myślałem.

- Czy mogę pożyczyć kilka owiec? - zapytałam, nie słuchając również jego.

- Jasne. Po co?

- Do eksperymentu z zakresu uczenia się.

- Ile potrzebujesz? - Ile musi ich być, żeby funkcjonowały jak stado?

- Trzy. Kiedy ci potrzebne? Był naprawdę miłym facetem.

- Za parę tygodni. Nie jestem jeszcze pewna. Najpierw sprawdzę kilka rzeczy. Na przykład, jak duże stado zmieści się w naszej zagrodzie.

I musiałam namówić Bennetta, by zaakceptował ten pomysł. Dyrekcję również.

- Jak się kogoś zakreśli, to jeszcze nie znaczy, że ten ktoś jest nasz - oznajmiła Flip.

Pobiegłam z powrotem do Biologicznego. Bennett nie pisał resume. Siedział pośrodku swego gabinetu i wyglądał na ogromnie przygnębionego.

- Ben, mam propozycję. Prawie się uśmiechnął.

- Dzięki, ale...

- Posłuchaj i nie mów "nie", dopóki nie usłyszysz wszystkiego. Połączmy nasze projekty. Nie, poczekaj, wysłuchaj mnie. Poprosiłam o fundusze na komputer z większą pamięcią, ale mogę pracować na twoim. Przy moim i tak stale przesiaduje Flip. A potem możemy kupić żywność i wyposażenie za te pieniądze, które mi przyznali.

- To nadal nie rozwiązuje problemu makaków. Chyba że poprosiłaś o strasznie drogi komputer.

- Mój przyjaciel ma owczą farmę w Wyoming.

- Tak, wiem.

- Chętnie pożyczmy nam owce. Za darmo, musimy tylko je karmić. - Miałam wrażenie, że już chce odmówić, więc pośpiesznie ciągnęłam dalej: - Wiem, że owce nie mają organizacji społecznej jak makaki, lecz mają bardzo silny instynkt stadny. Gdy jedna z nich coś robi, inne chcą robić to samo. Są wytrzymałe na zimno, więc mogą przebywać na zewnątrz.

Patrzył na mnie poważnie przez grube okulary.

- Wiem, że nie jest to dokładnie taki eksperyment, jaki chciałeś przeprowadzić, ale to zawsze coś. Nie będziesz musiał opuszczać HiTeku, a prawdopodobnie najdalej za kilka miesięcy Dyrekcja zaproponuje nowy akronim oraz nową procedurę finansowania, i znowu umieścisz swe makaki w planie badawczym.

- Nie znam się na owcach.

- Możemy zbierać informacje, czekając, aż nasze papiery przejdą obróbkę.

- A ty, Sandro, co będziesz z tego miała? O strzyżeniu owiec na krótko decyduje kto inny, nie one.

Nie mogłam mu po prostu powiedzieć, że jego odporność na mody może mi podsunąć rozwiązanie zagadki, skąd się one biorą.

- Komputer do tworzenia nowych wykresów i schematów - wyjaśniłam. - A także odmienną perspektywę. Moje badania nad krótkimi fryzurami stały w miejscu. Richard Feynman mawiał, że jeśli utknąłeś w badaniach naukowych, powinieneś przez pewien czas popracować nad czymś innym. Spojrzysz wtedy na swoje zagadnienie pod innym kątem. Zajął się bongosami. Wielu naukowców dokonało ważnych odkryć, gdy pracowali poza własną dziedziną. Na przykład Alfred Wegener odkrył dryf kontynentalny. Był meteorologiem, a nie geologiem. A Joseph Black, który odkrył dwutlenek węgla, nie był chemikiem, lecz lekarzem. Einstein pracował jako urzędnik w biurze patentowym. Praca w innej dziedzinie zmusza uczonych do ujrzenia powiązań, których nigdy przedtem nie dostrzegali.

- Hm, z całą pewnością istnieje analogia między owcami a ludźmi podążającymi za trendem.

- Właśnie. Kto wie? Może owce zapoczątkują jakąś manię.

- Siedzenie na słupie?

- Krzyżówki. Czteroliterowe zwierzę laboratoryjne. "Tryk". - Uśmiechnęłam się do niego. - I nawet jeśli żadna mania się nie narodzi, praca z owcami będzie miłym wytchnieniem. Te zwierzęta nigdy nie były w modzie, chyba że uwzględnimy Mary i jej jagnię. Co o tym myślisz?

Uśmiechnął się smutno.

- Dyrekcja nigdy na to nie pójdzie.

- A jeśli pójdzie?

- Jeśli pójdzie, nie mam lepszego pomysłu niż praca z tobą. Ale to wykluczone. A nawet gdyby się zgodzili, całe miesiące zajmie wypełnianie papierków, nie mówiąc już o czekaniu aa ich aprobatę.

- Wówczas uzyskamy nową perspektywę. Przypomnij so-bie Mendelejewą i konferencję serowarów.

- W jaki sposób przekazemy Dyrekcji tę propozycję?

- Zostaw to mnie - uspokoiłam go. - Popracuj nad adaptacją swego projektu do owiec. Idę porozmawiać z ekspertem. I poszłam do Giny. Adresowała jasnoróżowe zaproszenia w stylu Barbie.

- Nadal nie mogę nigdzie znaleźć Barbie Romantycznej Panny Młodej. Byłam już w pięciu sklepach z zabawkami. Opowiedziałam jej, co się stało.

- Wielka szkoda. - Potrząsnęła głową ze smutkiem. - Za-wsze go lubiłam, mimo że zupełnie nie czuje mody.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Opowiedziałam jej o planach połączenia projektów badawczych.

- Zatem on otrzyma twoje środki finansowe i owce Bil-ly'ego Raya. A co ty przez to osiągniesz?

- Małe zwycięstwo nad Flip i siłami chaosu. To nie fair, by tracił środki finansowe jedynie

dlatego, że Flip jest niekompetentna.

Obdarzyła mnie długim spojrzeniem.

- Dyrekcja nigdy się na to nie zgodzi. Po pierwsze, to badania z żywymi zwierzętami, które są kontrowersyjne. Dyrekcja nie znosi kontrowersji. Po drugie, jest to coś nowatorskiego, więc Dyrekcja będzie temu przeciwna dla zasady.

- Myślałam, że jednym z kamieni węgielnych PONUR-u jest nowatorstwo.

- Kpisz sobie? Jeśli to coś nowego, Dyrekcja nie przygotowała odpowiednich formularzy, a Dyrekcja uwielbia papierki, w równym stopniu jak nienawidzi kontrowersji. Przykro mi, wiem, że go lubisz.

Wróciła do adresowania kopert.

- Jeśli mi pomożesz, znajdę dla ciebie Romantyczną Bar-bie - obiecałam.

Spojrzała na mnie znad zaproszeń.

- To musi być Barbie Romantyczna Panna Młoda. Nie Bar-bie na Ludowo ani Barbie Fantazja Weselna. Skinęłam głową.

- Umowa stoi?

- Nie mogę gwarantować, że Dyrekcja na to pójdzie, nawet jeśli ci pomogę. - Odsunęła zaproszenia na stronę, wręczyła mi notatnik i ołówek. - W porządku, wymień, co masz zamiar powiedzieć Dyrekcji.

- Chyba zacznę od wyjaśnienia, co stało się z formularzem o przyznanie środków...

- Błąd - przerwała mi Gina. - Od razu się zorientują, o co ci chodzi. Musisz im powiedzieć, że pracowałaś nad tym wspólnym projektem od przedostatniego zebrania, kiedy to powiedzieli, jak istotny jest wkład personelu i interakcja. Używaj słów takich jak "optymalizacja" i "system wzorcujący".

- Jasne. - Notowałam wszystko.

- Powiedz im, że mnóstwo odkryć dokonali uczeni pracujący razem. Crick i Watson, Penzias i Wilson, Gilbert i Sullivan... Podniosłam wzrok znad notatek.

- Gilbert i Sullivan nie byli uczonymi.

- Dyrekcja o tym nie wie. Ale mogą rozpoznać nazwiska. Będziesz potrzebowała dwustronicowego prospektu z celami projektu. Wszystko, co mogliby uznać za problematyczne, umieść na drugiej stronie. Nigdy nie czytają drugiej strony.

- Masz na myśli zarys projektu? Wyjaśnić metodę doświadczalną, którą mamy zamiar zastosować, i opisać związek między analizą trendów a badaniami w zakresie rozchodzenia się informacji?

- Nie. - Gina odwróciła się do komputera. - Nieważne, napiszę to za ciebie. - Zaczęła szybko stukać w klawiaturę. - Powiesz im, że zintegrowane międzydiscyplinarne projekty zespołowe to najnowsza rzecz, jaką robią w MIT-cie. Powiedz im, że projekty jednoosobowe to już przeżytek. - Uderzyła w klawisz PRINT i w drukarce zaczął przesuwac się papier. - Zwracaj też uwagę na język ciała Dyrekcji. Kiedy stuka palcem wskazującym w blat biurka, masz kłopoty.

Wręczyła mi prospekt. Wydawał się podejrzanie podobny do jej pięciu celów na wszystkie okazje, co oznaczało, że prawdopodobnie zadziała.

- I nie ubieraj się w to. - Wskazała moją spódnice i fartuch laboratoryjny. - Dyrekcja oczekuje stroju nieformalnego.

- Dzięki. Czy sądzisz, że to zadziała?

- Badania na żywych zwierzętach? Kpisz sobie? Barbie Romantyczna Panna Młoda to ta z różowymi kwiatkami z tiulu - wyjaśniła. - Aha, i Bethany chce brunetkę.

Mah-dżong (1922 - 24)

Gra zainspirowana przez dawną chińską grę płytkową. W wersji amerykańskiej stanowiła skrzyżowanie domina z remikiem. W grze budowano ściany, potem je rozwalano oraz "łapano księżyc z dna morza". Zabawie towarzyszyły entuzjastyczne okrzyki "Pang!" i "Czou!" oraz stukanie przewracających się płytek z kości słoniowej. Gracze przebierali się w stroje orientalne (czasami, jeśli nie mieli jasnej koncepcji Chin, wybierali japońskie kimona) i pili herbatę. Choć wyparta przez szal krzyżówek i brydża, mah-dżong nadal pozostawała popularna wśród żydowskich matron aż do lat sześćdziesiątych.

Nie uwzględniłam wszystkich zmiennych. To prawda, że Dyrekcja ceniła sobie papierki ponad wszystko na świecie. Z wyjątkiem jednak Grantu Niebnitza.

Ledwie zaczęłam swą przemowę w wyłożonym białymi dywanami gabinecie, kiedy oczy Dyrekcji zaświeciły się i padło pytanie:

- To projekt interdyscyplinarny?

- Tak - potwierdziłam. - Analiza trendów połączona z wektorami uczenia się wyższych ssaków.

Są również pewne aspekty teorii chaosu...

- Teoria chaosu? - powtórzył, stukając palcem wskazującym w blat kosztownego lękowego biurka.

- Tylko w tym sensie, że są to systemy nieliniowe, wymagające zaplanowania eksperymentu - wyjaśniłam pośpiesznie. - Nacisk w badaniach położony jest głównie na rozchodzenie się informacji między wyższymi ssakami. Trendy w społeczności ludzkiej stanowią podzbiór tego zagadnienia.

- Planowanie eksperymentu? - spytała Dyrekcja z zapalem.

- Tak. Korzyścią praktyczną dla HiTeku byłoby lepsze zrozumienie, jak informacja rozprzestrzenia się w ludzkich społeczeństwach i...

- Jaka jest pani podstawowa dziedzina? - przerwał.

- Statystyka. Korzyść z zastosowania owiec zamiast makaków polega...

Nie skończyłam, gdyż Dyrekcja już stała i potrząsała mą dłonią.

- Dokładnie o taki projekt chodzi w PONURze. Synergia dyscyplin naukowych, implementowanie inicjatywy, kooperacja stwarzająca nowatorskie paradygmaty środowiska pracy.

On rzeczywiście mówi akronimami, pomyślałam zdziwiona i prawie nie zwróciłam uwagi na jego następne słowa.

- ...dokładnie takiego projektu poszukuje Komitet Grantu Niebnitza. Chcę, by go natychmiast wdrożono. Jak szybko może go pani uruchomić?

- Ja... to... - jękałam się. - Musimy wykonać pewne badania wstępne na temat zachowania się owiec. Istnieją również 'przepisy dotyczące żywych zwierząt...

Dyrekcja machnęła lekceważąco ręką.

- Załatwienie tej sprawy to już nasz problem. Chciałbym, żeby wraz z doktorem O'Reillym wykazali państwo naukową wrażliwość połączoną z dywergentnym myśleniem. Oczekuję rzeczy wielkich. - Entuzjastycznie potrząsnął moją dłonią. - HiTek zrobi wszystko, by pokonać biurokratyczne procedury i natychmiast uruchomić projekt.

I rzeczywiście.

Pozwolenia natychmiast wypisano, z wypełniania dodatkowych papierków zrezygnowano, a formularze zgody na użycie żywych zwierząt były gotowe, nim zdążyłam zejść do Biologii i zawiadomić Bennetta, że projekt zyskał aprobatę.

- Co to znaczy "natychmiast uruchomić"? - spytał zaniepokojony. - Nie zrobiliśmy żadnych

badań wstępnych. Jak owce się komunikują, czego potrafią się nauczyć, co jedzą...

- Mamy mnóstwo czasu - uspokajałam go. - To przecież Dyrekcja.

Znowu się myliłam. W piątek Dyrekcja wezwała mnie na biały dywanik i powiadomiła, że wszystkie pozwolenia są gotowe, zgoda na użycie żywych zwierząt uzyskana.

- Czy może pani sprowadzić owce do poniedziałku?

- Muszę się dowiedzieć, czy właściciel zdąży to zorganizować. - Miałam nadzieję, że Billy Ray nie zdąży.

A jednak udało mu się, choć nie przywiózł ich osobiście. Brał udział w wirtualnym spotkaniu ranczerów w Lander. W zastępstwie przysłał Miguela, który miał kółko w nosie, australijski kapelusz i słuchawki na głowie, ale nie wykazywał chęci do wyładunku owiec.

- Gdzie je chcecie? - powiedział takim tonem, że aż zerknęłam pod rondo australijskiego kapelusza, by sprawdzić, czy na czole nie widnieje "n".

Pokazaliśmy mu furtkę do zagrody. Westchnął ciężko, wycofał ciężarówkę mniej więcej do furki i oparł się o kabinę z miną człowieka wyzyskiwanego.

- Nie wyładuje ich pan? - spytał w końcu Ben.

- Billy Ray kazał je dostarczyć - odparł Miguel. - Nic nie mówił o wyładowywaniu.

- Powinieneś pan poznać naszą urzędniczkę od poczty - zauważyłam. - Jesteście dla siebie stworzeni. Czujnie pochylił australijski kapelusz.

- Gdzie ona mieszka?

Bennett przeszedł na tył samochodu i podniósł rygiel zamykający drzwi.

- Chyba nie wypadną wszystkie jednocześnie i nie stratu-ją nas? - zapytał.

Nie miały zamiaru. Trzydziestka owiec stała na platformie ciężarówki. Beczały z przerażenia.

- No, chodźcie - zachęcał Ben. - Czy to dla nich nie za wysoko? Potrafią stąd skoczyć?

- Skakały z urwiska w Z dala od zgiełku, więc tu na pewno nie jest za wysoko - zauważyłam.

Ben poszedł jednak po kawałek dykty, by zrobić zaimprovizowaną rampę, a ja zajrzałam do doktora Rieza, który przed przełączeniem się na płazińce prowadził doświadczenia z koźmi. Chciałam pożyczyć uździenicę.

Szukał jej całą wieczność i obawiałam się, że kiedy wrócę, nie będzie już potrzebna, jednak owce nadal stały zbite w gromadę z tyłu ciężarówki.

Ben wyglądał na sfrustrowanego, a Miguel przy szoferce kołysał się w rytm jakiejś niesłyszalnej melodii.

- Nie chcą wyjść - stwierdził Ben. - Próbowałem je wołać, namawiać i gwizdać.

Wręczyłam mu uździenicę.

- Sprowadźmy z rampy jedną, może pozostałe pójdą za nią - powiedział. Wziął uździenicę i wszedł po rampie. - Zejdź 2 drogi, wszystkie gwałtownie mogą się rzucić naprzód.

Nałożył uździenicę na łeb najbliższej owcy. Rzeczywiście, gwałtownie się rzuciła. W tył ciężarówki.

- Może uda ci się podnieść którąś owcę i wynieść ją na zewnątrz. - Przypomniałam sobie okładkę jednej z książek z aniołami. Widniał na niej bosy anioł niosący zagubione jagnię. - Wybierz jakąś mniejszą.

Ben skinął głową. Wręczył mi uździenicę i wszedł na rampę. Poruszał się powoli, by nie przestraszyć owiec.

- Nic wam nie zrobię. Cicho, cicho.

Owce nawet nie drgnęły. Ben przyklęknął przy jednej, wsunął ręce pod jej brzuch, po czym wysoko uniósł zwierzę. Ruszył ku rampie.

Tamten anioł, zanim podniósł owieczkę, uspił ją widocznie chloroformem. Zwierzę kopało czterema racicami w cztery strony, wierciło się wściekle i uderzyło Bena łbem w szczękę. Stracił równowagę, a owca wywinęła się i kopnęła go w dołek. Upuścił ją, aż zadudniło. Dała nura w zbite stado, becząc histerycznie.

Pozostałe owce zawtórowały.

- Jesteś cały? - spytałam.

- Chyba tak. - Poruszył próbnie szczęką. - Co się stało z "jagniątkiem, tak potulnym i łagodnym"?

- Widocznie Blake w rzeczywistości nigdy nie miał do czynienia z owcami. - Pomogłam mu zejść z rampy. - Co teraz? Oparł się o koryto z wodą, dysząc ciężko.

- W końcu poczują pragnienie. Proponuję przeczekać. - Ostrożnie dotknął podbródka. Miguel przyczłapał do nas.

- Wiecie, nie mogę tkwić tu cały dzień! - ryknął, przekrzykując to, co mu grało w słuchawkach, i wrócił do szoferki.

- Zadzwoń do Billy'ego Raya - oznajmiłam.

Jego telefon komórkowy był jednak poza zasięgiem.

- Może jeszcze raz podkraść się do nich z uździenicą - zaproponował Ben, gdy wróciłam.

Podjął próbę. Następnie usiłowaliśmy zejść stado od tyłu, pchać owce, grozić Miguelowi, a podczas długich przerw, oparci o koryto, zialiśmy jak zgonione psy.

- Z pewnością zachodzi tu dyfuzja informacji - stwierdził Ben, masując sobie ramię. - Postanowiły nie schodzić z ciężarówki.

Nadeszła Alicja.

- Mam sylwetkę optymalnego kandydata do Grantu Nie-bnitza - powiedziała do Bena. Na mnie nie zwracała uwagi. - I znalazłam jeszcze jednego Niebnitza. Przemysłowca. Zrobił

1 majątek na rafinacji rudy, założył kilka fundacji dobroczynnych. Oglądam kryteria selekcji komitetów tych fundacji. Chodź, Ben, zapoznasz się z tym profilem - dodała.

- Idź - zgodziłam się. - Naprawdopodobniej niczego nie stracisz. Spróbuję znowu złapać Billy'ego Raya. Zadzwoiłam do niego.

- Musisz po prostu... - zdążył powiedzieć i wyszedł z zasięgu. Wróciłam do zagrody. Owce opuściły ciężarówkę i pały się J na suchej trawie.

- Co zrobiłaś? - Ben pojawił się za moimi plecami.

- Nic. Chyba Miguela znudziło czekanie.

Miguel jednak nadal stał przy szoferce, zasłuchany w Group-thinków czy w coś w tym duchu.

Owce pały się spokojnie, wędrując beztróska po zagrodzie, jak gdyby zawsze tu przebywały. Nawet gdy Miguel, nadal w słuchawkach, odwrócił ciężarówkę i odjechał, nie okazały strachu. Jedna z nich, ta w pobliżu płotu, podniosła na mnie swój myślący, inteligentny wzrok.

Uda się! - pomyślałam.

Owca patrzyła na mnie jeszcze chwilę, opuściła głowę, po-skubała trawę i utknęła łbem w ogrodzeniu.

Qiao pai (1977 – 95)

Chińska gra zainspirowana przez amerykańskiego brydża, niezwykle popularnego w latach trzydziestych. Wylansowana przez Deng Xiaopinga, który nauczył się jej we Francji. Qiao pai zyskała przeszło milion entuzjastów, którzy grali przeważnie w pracy. Odmienne niż w brydżu, licytacja przebiega cicho, gracze nie układają kart w określonym porządku, a gra jest bardzo sformalizowana. Wyparła ping-ponga.

W ciągu następnych kilku dni przekonaliśmy się, że w stadzie owiec informacja prawie wcale się nie rozprzestrzenia. Nie powstały wśród nich również żadne manie.

- Chciałbym je przez kilka dni poobserwować - oznajmił Ben. - Musimy zbadać wzorce dyfuzji informacji w stadzie.

Obserwowaliśmy. Owce pasły się na trawie, robiły ze dwa kroki, pasły się jeszcze trochę, szły nieco dalej, skubały trawę. Byłby to sielski obrazek, gdyby nie ich długie, nic nie wyrażające pyski, i nie ta wełna.

Kto stworzył mit, że owce są puszyste i białe? Te miały raczej kolor starej ścierki i lepiły się od brudu.

Nadal się pasły. Od czasu do czasu któraś z nich przerywała przeżuwanie i dreptała wokół ogrodzenia. Szukała skały, żeby z niej skoczyć. Potem wracała do skubania trawy. Jedna zwymootowała. Kilka sztuk pasło się wzdłuż płotu. Kiedy dochodziły do rogu, nie potrafiły wykombinować, jak się stamtąd wydostać, nadal się pasły, wyjadając trawę aż do ziemi. Potem, z braku lepszych pomysłów, jadły ziemię.

- Czy jesteś pewna, że owce to ssaki wyższe? - Ben położył ręce na płocie, oparł na nich brodę i obserwował zwierzęta.

- Bardzo mi przykro, nie miałam pojęcia, że są takie głupie.

- Prosta struktura zachowań może być korzystna z naszego punktu widzenia - stwierdził. - Problem z makakami polega na tym, że są sprytne. Ich zachowanie jest skomplikowane, wiele elementów występuje jednocześnie: dominacja, stosunki rodzinne, iskanie, komunikacja, uczenie. Trudno jest oddzielić dyfuzję informacji od innych zachowań.

A czy owce w ogóle przekazują sobie jakiegokolwiek informacje? - pomyślałam.

Jedna z nich przeszła krok, popasła się, przeszła jeszcze dwa kroki, a potem widocznie zapomniała, co robi, i gapiała się pustym wzrokiem w przestrzeń.

Przyczłapała Flip w stroju kelnerki - czerwona lamówka na kołnierzu, na kieszeni napis "Obiady u Dona" wyhaftowany czerwonym ściegiem. Niosła papier.

- Dostałaś pracę? - spytał z nadzieją Be"n. Wywrócenie oczu. Westchnienie. Odrzut włosów.

- Nieee.

- Więc czemu nosisz mundur? - zapytałam.

- To nie jest mundur, ale sukienka uszyta tak, żeby wyglądała jak mundur. Bo chcę pokazać, że muszę tu wykonywać całą pracę. To manifest. Niech państwo to podpiszą. - Wręczyła mi kartkę i oparła się na furtce. - Czy to owce?

Druk był petycją o zakaz palenia na parkingu.

- Jedna osoba paląca papierosa raz dziennie na parkingu o powierzchni półtora hektara nie wyprodukuje wtórnego dymu o takim stężeniu, by dawało to powody do zmartwień - zauważył Ben.

Flip odrzuciła włosy, koraliki we włosach gwałtownie się zakołysały.

- Nie chodzi o wtórny dym - wyjaśniła z niesmakiem - tylko o zanieczyszczenie powietrza.

Odeszła, człapiąc, a my powróciliśmy do naszych baranów. Ich bierność dawała nam

przynajmniej czas na ułożenie programu obserwacji i przejrzenie literatury.

Nie było tego dużo. Biolog z college'u Williama i Mary w Wirginii obserwował stado pięciuset owiec i doszedł do wniosku, że mają "silny instynkt stadny", a badacz z Indiany zidentyfikował pięć form kontaktu między owcami (beczenia zostały spisane fonetycznie). Nikt jednak nie prowadził doświadczeń w nauczaniu. Wszyscy robili to co my: obserwowali, jak owce żują, drepczą w kółko bez celu i rzygają.

Mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowę o krótkich fryzurach i teorii chaosu.

- To zadziwiające, że systemy chaotyczne nie pozostają chaotyczne na zawsze - powiedział Ben, opierając się na furtce. - Czasami spontanicznie reorganizują się w strukturę uporządkowaną.

- Nagle stają się mniej chaotyczne? - Życzyłam sobie w duchu, by wydarzyło się to w HiTeku.

- Nie, i w tym sedno. Stają się coraz bardziej chaotyczne, aż osiągną jakby chaotyczną masę krytyczną. Wtedy spontanicznie reorganizują się na wyższym poziomie równowagi. Nazywa się to krytycznością samoorganizującą.

Miałam wrażenie, że niebawem osiągniemy ten poziom. Dyrekcja wydawała okólniki, owce utykały głowami w płocie, w furtce i pod karmnikiem. Czasami wpadała Flip, wisiała na drzwiczkach między zagrodą a laboratorium, monotonicznie podnosiła i opuszczała rygiel i wyglądała na nieszczęśliwie zakochaną.

Trzeciego dnia zrozumieliśmy, że owce nie zapoczątkują żadnej manii. Nie nauczą się również przyciskać guzików, by dostać jedzenie. Następnego ranka po przybyciu owiec Ben zainstalował urządzenie i kilka razy zademonstrował jego działanie: chodził na czworakach i przyciskał nos do szerokiego, płaskiego guzika. Za każdym razem grzechotały wypadające kulki karmy, a Ben wsadzał głowę w koryto i wydawał odgłosy żucia. Owce obserwowały to niewzruszone.

- Musimy skłonić którąś z nich, by się tego nauczyła - powiedziałam. Oglądaliśmy taśmy wideo z dnia ich przybycia i zobaczyliśmy, jak zeszyły z ciężarówki. Tłoczyły się i cofały, wreszcie jedna została wypchnięta z platformy. Reszta stada hurmem stoczyła się za nią. - Pozostałe będą ją wówczas naśladować.

Ben bez przekonania poszedł po uździenicę.

- Którą złapać?

- Tę nie. - Wskazałam owcę, która zwymiotowała. Spojrzałam na stado, usiłując ocenić bystrość i inteligencję poszczególnych zwierząt. Nie miały jej zbyt wiele. - Raczej tę.

Ben kiwnął głową i ruszyliśmy ku niej z uździenicą. Owca żuła przez chwilę w zamyśleniu, po czym pomknęła w róg, a reszta owiec za nią. Przeskakiwały przez siebie wzajemnie, by jak najszybciej dotrzeć do ściany.

- "I z wszystkich domów wypadły szczury" - zarecytowałam cicho.

- Przynajmniej wszystkie są w jednym rogu. Którejś z nich założę uździenicę.

Nie udało się, choć złapał owcę za wełnę i biegł za nią przez pół zagrody.

- One się państwa boją - zauważyła Flip. Od rana wisiała na furtce, podnosiła i opuszczała rygiel i snuła smętną opowieść o dentyście Darrellu.

- Ja też się ich boję - oznajmił Ben, otrzepując sztruksy - jesteście więc kwita.

- Powinniśmy je łagodnie namówić. Chodźcie tutaj - przykucnęłam i zawołałam dzieciennym głosem, jakim ludzie mówią do psów. - Chodźcie, nic wam nie zrobię.

Gapiły się na mnie, żując beznamiętnie.

- W jaki sposób pasterze prowadzą swe stada? - zastanawiał się Ben.

Usiłowałam przypomnieć sobie różne obrazki.

- Nie wiem. Po prostu idą przodem, a owce za nimi.

Stosowaliśmy tę metodę. Próbowaliśmy również podkraść się do owiec z przeciwnych stron i ruszyć na nie z tyłu, mając nadzieję, że pobiegną do przodu, a jedna z nich przypadkowo zderzy się z guzikiem.

- Może nie lubią tych kulek? - wysunęła przypuszczenie Flip.

- Wiesz, ona ma rację - powiedziałam, a Ben popatrzył na mnie z niedowierzaniem. - Musimy wiedzieć więcej o ich diecie i o tym, co potrafią. Zadzwoń do Billy'ego Raya i spytam, co im smakuje.

W słuchawce odebrałam nagrany głos Billy'ego: "Naciśnij jeden, jeśli chcesz z ranczem, naciśnij dwa, jeśli chcesz ze stodołą, naciśnij trzy, jeśli chcesz z wybiegiem dla owiec". Billy'ego Raya nie było w żadnym z tych trzech miejsc. Był w drodze do Casper.

Wróciłam do laboratorium, powiedziałam Benowi i Flip, że idę do biblioteki, i odjechałam.

Przy biurku w wypożyczalni siedział klon Flip noszący przepaskę na głowie z taśmą samoprzylepnej i piętno "n".

- Czy macie jakieś książki o hodowli owiec? - zapytałam.

- Jak się to pisze?

- Przez samo "h". - Na twarzy bibliotekarki nie pojawiło się jednak zrozumienie.

- Hamlet - odczytała z ekranu. - Hollywood...

- Hodowla - powiedziałam. - Ho-do-wla o-wiec.

- Aha. - Wklepała to, myśląc się kilka razy. - Hodowla królików - przeczytała. - Sześć głupich owiec idzie na zakupy, Syndrom czarnej owcy...

- Chodzi o poradniki na temat owiec. Jak je żywić i tresować.

Wywróciła oczyma.

- Tego pani nie powiedziała.

W końcu wydobyłam od niej numery katalogowe i wypożyczyłam Hodowlę owiec dla zabawy i zysku; Opowieści australijskiego pasterza; Dziewięciu krawców Dorothy Sayers, gdzie, jak pamiętałam, wspominało się o owcach; Opieka nad owcami i -z uwagi na owczy świerzb, o którym wspominał Billy Ray - Powszechne choroby owiec. Podeszłam do biurka.

- Ma pani przetrzymaną książkę - oznajmiła dziewczyna. - Działa zabrane Roberta Browninga.

- Działa zebrane - poprawiłam. - Mówiliśmy o tym poprzednio. Zwróciłam ją.

- Nie mam odnotowanego zwrotu. Jest nałożona grzywna sześć pięćdziesiąt. Wypożyczyła ją pani w marcu. Nie można wypożyczać książek, gdy nie zapłacone grzywny przekraczają w sumie pięć dolarów.

- Oddałam tę książkę - odpowiedziałam i rzuciłam na blat dwadzieścia dolarów.

- Ponadto musi pani zapłacić za zakup nowego egzemplarza - oznajmiła. - W sumie pięćdziesiąt pięć dziewięćdziesiąt pięć.

Wiem, kiedy przegrywam. Wypisałam czek. Wróciłam z książkami do Bena i zaczęliśmy je przeglądać.

Nie dodawały otuchy. "W czasie upałów owce skupiają się razem i często duszą na śmierć" - mówiła Hodowla owiec dla zabawy... oraz: "Owce od czasu do czasu przewracają się na grzbiet i nie potrafią się podnieść".

- Posłuchaj tego - powiedział Ben. - "Przestraszone owce mogą wpadać na drzewa i inne przeszkody".

O umiejętnościach nie było nic, jedynie uwaga: "Trzymanie owiec wewnątrz ogrodzenia jest znacznie łatwiejsze niż zagnanie ich z powrotem". Znaleźliśmy jednak mnóstwo informacji, które moglibyśmy wykorzystać wcześniej.

Nie należało dotykać owcom pyska ani drapać ich za uszami, a pasterz australijski doradzał złowieszczo: "Rzucanie kapelusza na ziemię i deptanie go nie przyniesie żadnych efektów, jedynie zniszczenie kapelusza".

- "Owce najbardziej boją się zostać złapane" - przeczytałam Benowi.
- Teraz mi to mówisz.

Kilka rad wydawało się mniej godnych zaufania.

"Siedź spokojnie - doradzało Kierowanie owcami - a zaciekawiają się i przyjdą zobaczyć, co robisz".

Nie przyszły, lecz pasterz australijski miał metodę praktyczną, by zmusić owce do pójścia tam, gdzie chciał.

- "Uklęknij przy owcy" - czytałam z książki. Ben zastosował się do polecenia.

- "Umieść jedną dłoń na zadzie - ciągnęłam. - To okolice ogona".

- Na ogonie?

- Nie, nieco z tyłu bioder.

Shirl wyszła z laboratorium na ganek, zapaliła papierosa, a potem zbliżyła się do ogrodzenia i obserwowała nasze wysiłki.

- "Umieść drugą dłoń pod brodą - przeczytałam. - Owca trzymana w ten sposób nie zdoła ani ci się wyrwać, ani iść w przód, ani się cofnąć".

- Jak dotąd działa - potwierdził Ben.

- Teraz "trzymaj ją mocno za brodę i delikatnie ściśnij, by zmusić owcę do pójścia naprzód". - Opuściłam książkę. - Gdy chcesz ją zatrzymać, pchasz ręką umieszczoną pod brodą.

- Rozumiem. - Ben wstał z kolan. - Zaczynam.

Lekko ścisnął wełniany tył owcy. Owca nie ruszyła się z miejsca.

Shirl głęboko zaciągnęła się papierosem, zakasłała i potrząsnęła głową.

- Źle coś robimy? - spytał Ben.

- To zależy, co państwo chcą zrobić - odparła.

- Mamy zamiar nauczyć owce naciskania guzika, gdy chcą dostać jedzenie - wyjaśnił. - Chwilowo zadowolę się zgromadzeniem owiec po tej samej stronie zagrody co koryto.

Ścisnął owcę przez cały czas, ale zwierzęciem kierował widocznie jakiś mechanizm z opóźnieniem. Postąpiło łagodnie dwa kroki naprzód i zaczęło stawiać opór.

- Trzymaj brodę! - ostrzegłam.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Obydwoje schwyciliśmy zwierzę za szyję. Opuściłam książkę, w dłoni została mi garść wełny. Ben dostał kopniaka w rękę. Owca pognęła w stado.

- Zawsze tak robią, kiedy oddziela się je od grupy - powiedziała Shirl, wydmuchując dym. - Nurkują z powrotem do środka. Tak działa instynkt grupowy. Samodzielne myślenie zbyt je przeraża.

Podeszliśmy do płotu.

- Zna pani owce? - zdziwił się Ben. Potaknęła.

- Wiem, że to najbardziej złośliwe, uparte i głupie stworzenia na ziemi.

- Do tego już doszliśmy - przyznał Ben.

- Skąd zna pani owce? - zapytałam.

- Wychowałam się na owczej farmie w Montanie. Ben westchnął z ulgą.

- Czy mogłaby nam pani coś poradzić? Nie potrafimy ich do niczego zmusić.

Zaciągnęła się papierosem.

- Potrzebna jest perednica - powiedziała.

- Perednica? Co to takiego? Specjalny typ uźdzeniicy? -zgadywał Ben.

Potrząsnęła głową.

- Przewodnik.

- Na przykład pies pasterski? - zapytałam.

- Nie. Pies może poganiać, prowadzić i utrzymywać owce razem, ale nie będą go naśladować.

Perednica to owca.

- Specjalna rasa?

- Nie. Ta sama rasa. Identyczna owca. Tylko ma w sobie coś takiego, że reszta stada za nią idzie. Na ogół to stara samica. Niektórzy ludzie uważają, że ma to związek z hormonami, inni, że z wyglądem. Mój nauczyciel mawiał, że one się rodzą ze szczególnymi zdolnościami przywódczymi.

- Z charyzmą. Dominujące samce małp mają coś takiego.

- A co pani o tym myśli? - spytałam.

- Ja? - Trzymała pionowo papierosa, obserwując dym. - Myślę, że perednica to taka sama owca jak wszystkie, tylko trochę głodniejsza, trochę szybsza, trochę bardziej chciwa. Zawsze chce pierwsza dostać jedzenie, pierwsza się schronić, pierwsza dotrzeć do tryka, dlatego zawsze jest w przodzie. Niewiele w przodzie. Jeśli za bardzo się wysunie, owce będą musiały wychodzić poza stado, by iść za nią, a to oznaczałoby samodzielne myślenie. Wysuwa się tylko troszeczkę i pozostałe nawet nie wiedzą, że są prowadzone. A perednica nie wie, że prowadzi.

Rzuciła papierosa na trawę i zdeptała go.

- Jeśli nauczycie perednicę naciskać guzik, reszta stada też będzie to robić.

- Gdzie można dostać perednicę? - zapalił się Ben.

- Skąd wzięli państwo owce? W stadzie prawdopodobnie był przewodnik, ale po prostu nie włączono go do tej partii. To nie jest całe stado, prawda?

- Nie - odparłam. - Billy Ray ma dwieście sztuk. Kiwnęła głową.

- W tak wielkim stadzie prawie zawsze jest perednica. Spojrzałam na Bena.

- Zadzwoń do Billy'ego Raya - powiedziałam.

- Świetnie - odparł, lecz jakoś bez entuzjazmu.

- O co chodzi? - spytałam. - Nie sądzisz, że sprowadzenie przewodnika to dobry pomysł?

Obawiasz się, że zakłóci to twój eksperyment?

- Jaki eksperyment? Nie, nie, pomysł jest dobry. Struktura podległości i jej wpływ na szybkość uczenia jest jednym

z czynników, które chciałbym badać. Zadzwoń do niego.

Weszłam do laboratorium. W drugim końcu pokoju z hu-kiem zatrzęsły się drzwi do holu. Przeszłam przez pomieszczenie i popatrzyłam na korytarz.

Flip w kombinezonie i dwubarwnych półbutach - białych z błękitem Czerenkowa - zniknęła właśnie na klatce schodowej. Musiała przynieść nam pocztę. Zdziwiłam się, że nie zajrzała na wybieg, by spytać, czy według nas jest szałowa.

Wróciłam do laboratorium. Na biurku Bena leżała poczta. Dwa pakiety dla doktora Ravenwooda z Działu Fizyki i list Giny do Laboratoriów Bella.

Śluby dzieci-kwiatów (1968 - 75)

Mania buntownicza, spopularyzowana przez ludzi, którzy nie chcieli buntować się totalnie i zupełnie zrezygnować z zawierania małżeństw. Odbywały się na polanie lub na szczycie góry. Ceremonii towarzyszył utwór Uczucia, grany na sitarze. Przyrzeczenia układali sami zainteresowani, czerpiąc z poezji Khalila Gibrana. Zwykle panna młoda występowała boso, z kwiatami we włosach, pan młody miał wisior z symbolem pokoju i baczki. Mania wyparta w latach siedemdziesiątych przez modę na życie na kocią łapę i brak zaangażowania uczuciowego.

Billy Ray osobiście przywiózł perednicę.

- Wyładowałem ją na wybiegu - oznajmił, wchodząc do laboratorium statystyki. - Dziewczyna na dole powiedziała, bym po prostu dołączył owcę do reszty stada.

Zapewne spotkał Alicję. Całe popołudnie przytulona do Bena, dyskutowała z nim o profilach zdobywców Grantu Nie-bnizta. Dlatego poszłam na górę do laboratoriów Statystyki i wklepywałam do komputera dane z lat dwudziestych. Tylko dlaczego Bena nie było na dole?

- Ładna? - spytałam. - Typ menadżera? Cała na różowo?

- Perednica?

- Nie, osoba, z którą rozmawiałeś. Czarne włosy? Z notatnikiem?

- Nie, tatuaż na czole.

- Piętno - poprawiłam automatycznie. - Może lepiej zejdźmy i sprawdźmy, co z tą perednicą.

- Nic jej nie będzie. Sam ją przywiozłem, bo chciałem zabrać cię na kolację, która nas ominęła w zeszłym tygodniu.

- Och, dobrze - odpowiedziałam. Może przy okazji dowiem się czegoś na temat umiejętności łatwo przyswajalnych, których moglibyśmy nauczyć owce. - Wezmę płaszcz.

- Wspaniale. - Uśmiechnął się promiennie. - Chciałbym cię zabrać w nowe miejsce.

- Preria? - spytałam.

- Nie, restauracja syberyjska. Kuchnia syberyjska idzie teraz jak gorące bułeczki.

Miałam nadzieję, że "gorące" oznaczało "o wysokiej temperaturze". Na parkingu mroziło, wiał przenikliwy wiatr. Całe szczęście, że Shirl nie musi tu stać, by zapalić papierosa.

Billy Ray pomógł mi wsiąść do swej ciężarówki. Gdy wyjeżdżał z parkingu, przypomniało mi się, co Flip zrobiła kiedyś z moimi wycinkami.

- Czekał, może przed odjazdem powinniśmy się upewnić, czy perednicą ma się dobrze - powiedziała, położywszy dłoń na jego ręce. - Co ta dziewczyna w laboratorium dokładnie powiedziała? Nie była na wybiegu, prawda?

- Nie. Szukałem kogoś, komu mógłbym przekazać pered-nicę, wtedy ta dziewczyna weszła z listami, powiedziała, że tamci są w laboratorium doktor Turnbull i żebym po prostu zostawił zwierzę w zagrodzie. Tak zrobiłem. Owca ma się doskonale. Natychmiast zeszła z ciężarówki i zaczęła się paść.

To rzeczywiście musiał być przewodnik. Perspektywy zaczynały rysować się jaśniej.

- Ale potem wyszła stamtąd? - spytałam. - Chodzi mi o dziewczynę, nie o perednicę.

- Owszem. Spytała, czy według mnie ma duże poczucie humoru, a kiedy odpowiedziałem, że nie wiem, bo nie słyszałem, by mówiła coś zabawnego, jakoś tak westchnęła, wywróciła oczyma i wyszła.

- Świetnie - odetchnęłam z ulgą.

Było już wpół do szóstej. Flip nigdy nie zostawała po piątej, a zwykle wychodziła nawet wcześniej, więc raczej już nic nie spoci. Ben na pewno sprawdzi wszystko w laboratorium przed

pójściem do domu. Jeśli nie jest zbyt zadurzony w Alicji i w Grancie Niebnitza, i pamięta, że ma stado owiec.

- To wspaniałe miejsce - oznajmił Billy Ray. - Postoimy z godzinę, by wejść do środka.

- Bajecznie - odparłam. - Chodźmy.

W rzeczywistości trwało to godzinę dwadzieścia minut, a podczas ostatniej półgodziny wiatr się wzmógł i zaczął padać śnieg. Billy Ray dał mi swą kurtkę na kożusku, bym zarzuciła sobie na ramiona. Sam został w koszuli bez kołnierzyka i w kawaleryjskich spodniach. Dłonie wsunął w żółte skórzane rękawiczki do konnej jazdy. Włosy miał teraz dłuższe niż poprzednio. Wyglądał zupełnie jak Brad Pitt. Gdy zaczęłam się trząść, oddał mi również rękawiczki.

- Spodoba ci się tutaj - stwierdził. - Wszyscy twierdzą, że kuchnia syberyjska jest znakomita.

Wspaniale, że w końcu się spotkaliśmy. Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać.

- Ja też chciałam z tobą porozmawiać - wymamrotałam sztywnymi wargami. - Jakich sztuczek można nauczyć owce?

- Sztuczek? - spytał bez zrozumienia. - Na przykład czego?

- No wiesz, na przykład kojarzyć kolor z jęzieniem lub przebiegać labirynt. Najlepiej coś o niskim progu przyswajalności i z kilkoma poziomami trudności.

- Uczyć owce? - powtórzył. Nastąpiła długa chwila milczenia, a wokół nas wyl wicher. - Są doskonałe w wydostawaniu się z zagród, gdzie powinny pozostać.

Niezupełnie o to mi chodziło.

- Wiesz co? - spytał. - Wejdę do Internetu i zobaczę, czy ktoś może nauczył owcę jakiejś sztuczki. - Mimo śniegu zdjął kapelusz i obracał go w rękach. - Właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Ostatnio miałem dużo czasu na myślenie, podczas tych jazd do Durango i tak dalej, i dumałem wiele o życiu na ranchu. To samotność, cały czas na pastwiskach, nikogo się nie widuje, nigdzie się nie jeździ.

A do Lodge Grass, Lander i Durango? - wyliczałam sobie w duchu.

- Ostatnio zastanawiałem się, czy to wszystko ma sens i po co ja to właściwie robię. I myślałem o tobie, Sandro.

- Barbara Rose! - zawołał syberyjski kelner.

- To my - powiedziałam.

Oddałam Billy'emu Rayowi kurtkę i rękawiczki, a on włożył z powrotem kapelusz. Poszliśmy za kelnerem do naszego stolika. Na środku blatu stał samowar - ogrzałam nad nim ręce.

- Chyba ci kiedyś mówiłem, że czuję, jakbym nie miał żadnego celu, jakiś brak satysfakcji.

- Świąd - podpowiedziała.

- Dobre określenie. Coś mnie rzeczywiście drażniło i kiedy wracałem z Lodgepole, zorientowałem się, czego mi brak.

Ujął moją dłoń.

- Czego? - zapytałam.

- Ciebie.

Bezwiednie wyrwałam mu dłoń, a on oświadczył:

- Posłuchaj, wiem, że to niespodziewane. Dla mnie też to była niespodzianka. Jechałem przez Góry Skaliste, taki jakiś poirytowany, miałem wrażenie, że nic się nie liczy. Pomyślałem, zadzwonię do Sandry, a gdy skończyłem z tobą rozmowę, znów myślałem. Może powinniśmy się pobrać.

- Pobrać? - pisałam.

- Posłuchaj, z góry cię zapewniam, że bez względu na odpowiedź, możesz zatrzymać owce, jak długo chcesz. Żadnych zobowiązań. Wiem, że nie zrezygnujesz ze swojej pracy. Wszystko to

przemyślałem. Nie musimy się pobierać, dopóki nie załatwisz tych krótkich fryzur, a potem umieścimy cię na ranczu z fak-sem, modemem i e-mailem. Nawet nie poczujesz, że nie jesteś w HiTeku.

Tylko że nie będzie tam Flip, pomyślałam nie na temat, ani Alicji. Ani zebrań. Ani ćwiczeń wrażliwości. Ale małżeństwo?!

- Posłuchaj, nie musisz mi natychmiast odpowiadać - ciągnął Billy Ray. - Nie śpiesz się. Ja rozmyślałem przez kilka tysięcy kilometrów. Daj mi znać po deserze. Do tego czasu zostawię cię w spokoju.

Wziął do ręki czerwone menu z sylwetką wielkiego rosyjskiego niedźwiedzia i zaczął je przeglądać, a ja patrzyłam na niego, usiłując to wszystko zrozumieć. Małżeństwo. Proponował mi małżeństwo.

A czemuż by nie? Miły facet, chciało mu się jechać setki kilometrów na spotkanie ze mną, a ja miałam już - jak zeznałam Alicji - trzydzieści jeden lat, i gdzie niby mam spotkać kogoś innego? W ogłoszeniach osobistych? Wysportowanych, troskliwych NP, którym na randkę nie chce się nawet przejść na drugą stronę ulicy?

Billy Ray jechał z daleka samochodem, mając nieokreśloną nadzieję, że wybiorę się z nim na kolację. I pożyczył mi stado owiec oraz przednicę. A także kurtkę na kożuszku i rękawiczki. Gdzie spotkam kogoś równie miłego? W HiTeku nikt mi się nie oświadczy, to pewne.

- Co zamówisz? - spytał Billy Ray. - Ja chyba zjem pyzy.

Wzięłam barszcz przyprawiony bazylią (nie sądziłam, że to typowa przyprawa syberyjskiej kuchni) oraz pyzy i próbowałam się zastanowić. Czego ja właściwie chcę?

Chciałabym dotrzeć do źródła krótkich fryzur, ale wiedziałam, że jest to równie mało prawdopodobne jak zdobycie Gran-tu Niebnitza. Według teorii Feynmana praca na zupełnie innym polu pobudza odkrycia naukowe, ale ja nie zbliżyłam się ani na krok do wykrycia początków manii. Może potrzebowałam zupełnego oderwania się od HiTeku, wyjazdu na świeże powietrze do samotnego rancza w Wyoming?

- Z dała od zgiełku - wymamrotałam.

- Proszę? - spytał Billy Ray.

- A, nic ważnego - odparłam i wróciłam do kolacji.

Obserwowałam, jak je pyzy. Naprawdę przypominał nieco Brada Pitta. Posłusznie szedł za trendami, ale to byłoby korzystne dla mego projektu. Przecież nie musielibyśmy pobierać się natychmiast. Powiedział, że może czekać, aż skończę badania. I w odróżnieniu od dentysty Flip, nie miał nic przeciwko temu, że podczas tej pracy będę geograficznie niekompatybilna.

Flip i jej dentysta, pomyślałam zastanawiając się, czy nie jest to po prostu jeszcze jedna mania. Tamten artykuł mówił, że śluby są modne, i wszystkie dziewczęta szalały za Barbie Romantyczną Panną Młodą. Mama Lindsay myślała o ponownym małżeństwie mimo przejść z tą kreaturą Mattem, Sara próbowała skłonić Teda, by się jej oświadczył, a Alicja wybierała krawaty dla Bennetta. Może robili to w ramach manii zaangażowania osobistego?

Byłam niesprawiedliwa dla Billy'ego Raya. Uwielbiał wszystko co modne, mógł nawet w kolejce do restauracji stać w zamieci przez półtorej godziny, ale nie ożeniłby się z tego tylko powodu, że małżeństwo jest na fali. A jeśli to nawet trend? Manie nie są aż takie złe. Spójrzmy na recykling i walkę o prawa człowieka. I walc. I cóż w tym złego, że się niekiedy damy ponieść manii?

- Czas na deser - oznajmił Billy Ray, spoglądając na mnie spod runda swego kapelusza.

Gestem przywołał kelnerkę, a ta trajkotała, wymieniając nazwy żelaznych pozycji w menu: creme brulee, tiramisu, pud-ding chlebowy.

- Nie ma sernika po wiedeńsku? - zapytałam. Wywróciła oczyma.
- Co weźmiesz? - spytał Billy Ray.
- Zastanowię się chwilę - odparłam, dysząc ciężko. - Zamów pierwszy.

Billy Ray uśmiechnął się do kelnerki.

- Proszę pudding chlebowy.
- Pudding chlebowy?

Kelnerka życzliwie odpowiedziała:

- To nasz najpopularniejszy deser.
- Myślałam, że nie lubisz puddingu chlebowego - zauważyłam.

Spojrzał, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

- Kiedy to mówiłem?
- W tamtej restauracji z kuchnią prerii, w "Róży Kansas", wybrałeś tiramisu.
- Nikt już nie jada tiramisu. Uwielbiam pudding chlebowy.

Zwierzaki wirtualne (jesień 1994 - wiosna 1996)

Gra komputerowa japońskiego pomysłu, w której głównym bohaterem jest zaprogramowany zwierzak. Szczeniak, kocię lub kurczak rośnie, gdy się je karmi i zabawia, uczy się sztuczek (dotyczy to raczej psów niż kotów czy kurczaków), lecz zaniedbywane ginie. Mania wywołana miłością do zwierząt, których posiadanie w przeludnionej Japonii jest niepraktyczne.

Z Benem zobaczyłam się na parkingu następnego ranka.

- Gdzie jest przednica? - zapytał.

- Nie ma jej razem z owcami? - Wyszłam z samochodu. Wiedziałam, że nie mogę ufać Flip.

- Billy Ray mówił, że wsadził przewodnika do zagrody.

- Jeśli tam jest, wygląda jak wszystkie inne owce. Miał rację. Nie dała się odróżnić. Szybko przeliczyliśmy stado - jedna więcej niż przedtem, lecz która z nich była przednica, pozostawało zagadką.

- Jak wyglądała, gdy twój przyjaciel wprowadzał ją do zagrody?

- Nie byłam przy tym. - Patrzyłam na owce, próbując wykryć, która wygląda odmiennie. - Powinnam była zejść i sprawdzić, ale wybieraliśmy się na kolację i...

- No tak - przerwał mi. - Lepiej poszukajmy Shirl.

Shirl nigdzie nie było. Zajrzałam do kopiami i do Zaopatrzenia, gdzie Desiderata oglądała swe rozdzwajające się na końcach włosy, ułożone przed nią na biurku.

- Co ci się stało, Desiderato? - Patrzyłam na odcięte fragmenty fryzury.

- Nie mogłam zdjąć taśmy - powiedziała z rozpaczą, podnosząc owinięte pasmo włosów. - To gorsze od tego poprzedniego kleju cementowego.

Żachnęłam się.

- Widziałaś Shirl?

- Prawdopodobnie wyszła gdzieś popalić - powiedziała z dezaprobatą. - Czy wie pani, jak szkodliwy jest wtórny dym?

- Prawie tak szkodliwy jak taśma samoprzylepna - odparłam i zeszłam do laboratorium Alicji, sprawdzić, czy Shirl nie wprowadza tam danych statystycznych.

Nie wprowadzała, lecz klepywała je Alicja, ubrana w postmodernistycznie różową bluzkę i luźne, wiązane pałacowe spodnie. Zapytałam ją, czy widziała Shirl.

- Absolutnie żaden ze zdobywców Grantu Niebnitza nie był palaczem - oznajmiła.

Już miałam jej wyjaśnić, że jeśli wziąć pod uwagę procent niepalących w całej populacji i małą liczbę beneficjentów Grantu Niebnitza, ocena tego, że wśród nich znajdują się niepalący (czy choćby osoba z jakiegokolwiek wybranej grupy) jest statystycznie nieistotna. Zaniechałam jednak tego wykładu, gdyż moim zadaniem była identyfikacja przednicy.

- Nie orientujesz się, gdzie może być Shirl?

- Wysłałam ją do Dyrekcji ze sprawozdaniem - odparła. Tam jej nie zastałam. Wróciłam do laboratorium. Bennett też jej nie znalazł.

- Jesteśmy zdani na siebie - oznajmił.

- W porządku - powiedziałam. - To przednica, lider. Włóżmy trochę siana i zobaczymy, co się stanie. Tak uczyniliśmy.

Nic się nie stało. Owce w pobliżu Bena rozproszyły się, gdy wrzucał widłami siano, po czym pasły się dalej. Jedna z nich powędrowała do koryta z wodą, utknęła łbem między korytem a ścianą i stała tam becząc.

- Może przywiózł nie tę owcę - wysunął przypuszczenie Ben.

- Czy masz taśmy wideo z zeszłego popołudnia? - spytałam. Rozpromienił się.

- Mam, będzie na niej moment, gdy twój przyjaciel przynosi przewodnika.

Billy Ray opuścił tył ciężarówki, a przednica pobiegła truchtem po rampie w sam środek stada.

Prześledzenie jej ruchów ujęcie po ujęciu, aż do chwili obecnej, było sprawą prostą.

Byłoby proste, gdyby podczas wylądunku nie napatoczyła się Flip. Całkowicie zasłoniła widok na dziesięć minut, a kiedy w końcu odeszła na bok, konfiguracja stada zupełnie się zmieniła.

- Chciała wiedzieć, co Billy Ray sądzi o jej poczuciu humoru.

- Jest znakomite - rzekł Ben. - I co teraz?

- Cofnij to - poleciłam. - I zatrzymaj obraz tuż przed tym, Mm przednica wychodzi z ciężarówki.

Może zauważymy u niej jakieś cechy charakterystyczne.

Przewiął i uważnie obserwował obraz. Przednica wyglądała dokładnie tak samo jak pozostałe zwierzęta. Jeśli nawet miała jakieś cechy charakterystyczne, były dostrzegalne wyłącznie dla owiec.

- Jest jakby trochę zezowata - stwierdził w końcu Ben, zapatrzony w ekran. - Widzisz?

Następne pół godziny przedzieraliśmy się przez stado, braliśmy owce za brody i wpatrywaliśmy się im w oczy. Wszystkie miały lekkiego zezę i tak pozbawione wyrazu pyski, że na swych pociągłych, brudnobiałych czołach powinny mieć wstępnopowłokę "n" jak "nieprzenikniony".

- Musi być na to jakiś lepszy sposób - powiedziałam, kie-

dy zwodniczo chuda owca wtarła mnie w płot i omal nie złamała mi obu nóg. - Jeszcze raz przejrzyjmy taśmy.

- Z ostatniej nocy?

- Nie, z tego ranka. I niech taśma się kręci. Zaraz wracam.

Pobiegłam na górę do laboratorium statystyki, rozglądając się po drodze za Shirl, lecz nie było jej ani śladu. Złapałam dyskietkę ze swymi programami wektorowymi i zaczęłam ryc pod stosami wycinków prasowych.

Po drodze na górę przyszło mi na myśl, że jeśli zidentyfikujemy przewodnika, musimy jakoś go zaznaczyć. Wyciągnęłam postmodernistycznie różową wstążkę, którą kupiłam w Boulder, i wróciłam biegiem na Biologię.

Owce zebrały się wokół siana, żując monotonnie swymi wielkimi, kwadratowymi zębami.

- Czy zauważyłeś, kto je doprowadził? Ben pokręcił głową.

- Wszystkie naraz skierowały się ku sianu. Popatrz.

Włączył taśmę.

Rzeczywiście. Na ekranie owce wędrowały bez celu po wybiegu, co parę kroków zatrzymywały się i skubały trawę, nie zwracając uwagi ani na siebie nawzajem, ani na siano, aż, najwyraźniej przypadkowo, wszystkie stały przednimi nogami w sianie i brały je niedbale do pysków.

- W porządku. - Siadłam przy komputerze. - Dołącz taśmę. Zobaczą, czy uda mi się wyodrębnić przednicę. Nadal nagrywasz? Skinął głową.

- Bez przerwy. Robię dwie kopie.

- Dobrze.

Doszłam do ujęcia, gdy wyrzucał widłami siano, i przewinęłam taśmę dziesięć klatek do tyłu. Zamroziłam obraz i wykonałam jego diagram, przyporządkowując każdej owcy kropkę o innym kolorze. To samo zrobiłam dla następnych dwudziestu ujęć, by ustalić ogólny kierunek trajektorii. Potem próbowałam, ile ujęć mogę przepuścić, nie myląc ze sobą owiec.

Czterdzieści. Pasły się przez ponad dwie minuty, potem przechodziły średnio trzy kroki, przystawały i znowu się pasły. Zaczęłam od czterdziestu, podczas dwóch prób straciłam ślad trzech owiec, zmniejszyłam liczbę do trzydziestu i posuwałam się naprzód.

Gdy uzyskałam dziesięć punktów na każdą owcę, zapuściłam program obliczający odległości oraz średnie wektory kierunków i w dalszym ciągu wykreślałam trajektorie.

Na monitorze ruch nadal sprawiał wrażenie przypadkowe-go, określony przez długość trawy, przez prędkość wiatru czy przez coś tam jeszcze, co w nikłych procesach myślowych owiec powoduje, że wybierają one jakiś kierunek.

Pojawiła się jedna trajektoria zmierzająca ku sianu. Wyizolowałam ją i śledziłam przez następnych sto ujęć, lecz to tylko jakaś owca z determinacją usiłowała wklinować się w róg. Znowu zaczęłam obserwować wszystkie trajektorie.

Obraz nadal niczego nie wykazywał, ale z liczb pojawiających się w górze monitora zaczął wyłaniać się wzorzec. Modry błękit. Śledziłam go, bez przekonania. Owca pasła się mniej więcej po okręgu, jednak wyliczone odległości świadczy-ły o tym, że porusza się nieregularnie, lecz stale w kierunku siana.

Wyizolowałam jej trajektorię i przyjrzałam się obiektowi na taśmie wideo. Owca niczym się nie wyróżniała i jakby zupełnie nie zwracała uwagi na siano. Przechodziła parę kroków, pasła się; następny krok, odwracała się nieco, znowu się pasła, stale ciut bliżej siana, a po połowie ujęć wykres regresji pokazał, że reszta stada idzie za nią.

Chciałam się dodatkowo upewnić.

- Ben, zakryj koryto z wodą i postaw miskę z wodą przy tylnej furtce - poprosiłam. - Poczekaj, pozwól mi podłączyć komputer do taśmy, bym mogła to śledzić na bieżąco. W porządku - powiedziała po minucie. - Idź z boku, byś nie zasłaniał kamery.

Obserwowałam na monitorze, jak umieszczał dyktę w korycie, wynosił miskę i napełniał ją wodą z węża. Obserwowałam uważnie, czy któraś z owiec to zauważy.

Nie zauważyły.

Pozostały przy paszy. Nastąpiło chwilowe zamieszanie, gdy Ben odnosił wąż i podniósł rygiel furtki, potem jednak zwierzęta powróciły do swych zwykłych zajęć.

Śledziłam modry błękit w czasie rzeczywistym, obserwując równocześnie liczby.

- Mam ją - powiedziała do Bena. Podszedł do mnie z tyłu i spojrzał na monitor.

- Jesteś pewna? Nie wygląda na zbyt mądrą.

- Gdyby była, inne by za nią nie szły - odparłam.

- Szukałam państwa na górze, ale państwa tam nie było -oznajmiła Flip.

- Jesteśmy zajęci, Flip. - Nie odrywałam wzroku od ekranu.

- Wezmę uździenicę i kołnierz - powiedział Ben. - Kieruj mnie.

- To zajmie tylko minutę. Chcę, żeby państwo na coś popatrzyli - prosiła Flip.

- Nie teraz - oświadczyłam. Oczywiście wciąż miałam utkwione w monitorze. Po minucie Ben pojawił się w kadrze.

- Która to?! - krzyknął.

- Idź w lewo! - zawołałam. -Trzecia, nie, czwarta owca. Dobrze. Teraz ku zachodniej ścianie.

- To z powodu Darrella, prawda? - spytała Flip. - On był w gazecie. Każdy ma prawo na to odpowiedzieć.

- Jedna na lewo dalej! - krzyknęłam. - Nie, nie ta.Ta z przodu. W porządku, teraz jej nie wystrasz! Połóż jej dłoń z tyłu.

- A poza tym - mówiła Flip - pisało tam "wyrafinowana i elegancka". Naukowcy nie są eleganccy, z wyjątkiem doktor Turnbull.

- Ostrożnie! - krzyknęłam. - Nie wystrasz jej. Chciałam wyjść na wybieg, by mu pomóc.

Flip zastąpiła mi drogę.

- Niech pani tylko na coś spojrzysz. Zajmie to minutę.

- Pośpiesz się! - wołał Ben. - Nie mogę jej utrzymać.

- Nie mam ani minuty. - Przecisnęłam się obok Flip, modląc się, żeby Ben nie wypuścił przednicy. Trzymał ją, ale led-wo-ledwo, obiema dłońmi uczepony ogona. W jednej ręce nadal miał uździenicę i kołnierz. Gdyby mi je próbował podać, Owca by uciekła. Wyjęłam z kieszeni wstążkę, owinęłam ją wokół wełniastej wyciągniętej szyi i zawiązałam na supeł. - Już możesz puścić. - Mocno zaparłam się stopami.

Siła odrzutu omal mnie nie powaliła, a zwierzę natychmiast zaczęło ciągnąć, jak najdalej ode mnie. Wstążka naprężyła się, ale Ben już wkładał uździenicę.

Podał mi ją do ręki i włożył kołnierz akurat wtedy, gdy wstążka pękła z głośnym trzaskiem. Schwycił uździenicę i trzymaliśmy ją oboje, jak dzieci puszczające kapryśnego latawca.

- Kołnierz... nałożony - wydyszał.

Nie było go jednak widać. Zupełnie utonął w gęstej wełnie.

- Potrzyj ją chwilę - poprosiłam i zawiązałam na kołnierzu resztki wstążki. - Trzymaj nieruchomo. - Zrobiłam wielką, uszastą kokardę. - Postmodernistyczny róż to kolor na je-sień. Jesteś supermodna.

Widocznie przyznawała mi rację, przestała się bowiem wrywać i znieruchomiła. Ben ukląkł i zdjął jej uździenicę.

- Wspaniała z nas drużyna. - Uśmiechnął się do mnie sze-roko.

- Owszem.

- Czy teraz mają państwo minutę? - Flip szczykała rygłem furtki.

Ben wywrócił oczyma.

- Tak. - Roześmiałam się i wstałam. - Mam minutę. Na co mam popatrzeć?

Spojrzałam i zrozumiałam. Pomalowała włosy - swój po-obwijany kosmyk i meszek na ogolonej czaszce - na jaskrawy błękit Czerenkowa.

- I co? Myślą państwo, że mu się to spodoba?

- Nie wiem, Flip. Dentyści są skłonni do pewnego konserwatyzmu - odparłam.

- Wiem. - Wywróciła oczyma. - Dlatego właśnie pomalowałam je na niebiesko. Niebieski to kolor konserwatywny. - Odrzuciła niebieski pukiel. - Żadna z państwa pomoc - oświadczyła i wyszła z tupotem.

Odwrociłam się do Bena i do przednicy, która nadal stała spokojnie.

- I co teraz?

Ben przysiadł obok owcy i ujął ją za brodę.

- Mamy zamiar nauczyć cię umiejętności łatwo przyswajalnych, a ty przekażesz je swym przyjaciołom. Łapiesz ideę? Przednica żuła w zamyśleniu.

- Co pani proponuje, doktor Foster? Scrabble, ping-pong? - Zwrócił się do owcy. - Jak by ci się podobała seria listów-łańcuszków?

- Lepiej już poprzestać na naciskaniu guzika otwierającego pojemnik z jedzeniem - powiedziałam. - Jak zauważyłeś, nie wygląda na zbyt inteligentną.

Obrócił jej głowę na jedną stronę, potem na drugą.

- Przypomina Flip. - Uśmiechnął się do mnie. - Nie bądźmy zbyt ambitni, niech będzie zgaduj-zgadula. Ale najpierw muszę przynieść trochę masła arachidowego. Opieka nad owcami mówi, że uwielbiają masło arachidowe.

Wyszedł.

Zawiązałam podwójny węzeł w kokardzie przednicy, potem oparłam się o furtkę i

obserwowałam stado. Miałam wrażenie, że jak zawsze ruchy zwierząt są przypadkowe, bez wyraźnego kierunku. Pasły się, robiły kroczek, znowu się pasły. Perednica również. Wyróżniała się od reszty jedynie swą bladą różową kokardką. Nie zwracano na nią uwagi i ona nie zwracała na nic uwagi. A jednak prowadziła.

Wyrwała trochę trawy, przeżuła, zrobiła dwa kroki, długo obojętnie patrzyła w przestrzeń. O czym myślała? O przekłuciu nosa? O najnowszej manii gimnastycznej?

- Tutaj pani jest! - zawołała Shirl. Niosła plik papierów. Wyglądała na zdenerwowaną. - Nie jest pani zaręczona z tym Billym Rayem, prawda? Bo jeśli pani jest, to zmienia mój ca-ty... - przerwała. - No więc, jest pani zaręczona?

- Nie. Kto pani to powiedział?

- Flip - odparła z niesmakiem. Odłożyła papiery i zapaliła papierosa. - Mówiła Sarze, że wychodzi pani za mąż i wyjeżdża do Nevady.

- Do Wyoming - poprawiłam. - Ale nie wyjeżdżam.

- Dobrze. - Shirl ostentacyjnie zaciągnęła się papierosem. - Jest pani bardzo zdolną, utalentowaną uczoną, czeka panią świetna przyszłość. Wkrótce spotkają panią miłe wydarzenia. Nie warto rzucać tego wszystkiego.

- Nie rzucam - powiedziałam i usiłowałam zmienić temat. - Czy chciała się pani ze mną spotkać w jakimś konkretnym celu?

- Tak. - Wskazała wybieg. - Gdy perednica tu dotrze, niech ją pani koniecznie oznaczy, zanim owca dołączy do stada, by można ją było potem rozpoznać. A jutro jest zebranie całej za-łogi. - Wręczyła mi okólnik. - O drugiej.

- Kolejne zebranie! - jęknęłam.

Zgasiała papierosa i wyszła, a ja znowu oparłam się na płocie i obserwowałam owce. Pasły się spokojnie, perednica pośrodku.

Powinnam wysunąć koryto z jedzeniem na wybieg i sprawdzić obwody elektryczne, by były gotowe, gdy Ben wróci, lecz znowu zasiadłam do komputera i przez dłuższą chwilę śledziłam trajektorie, a potem patrzyłam na ekran, na ruchy zwierząt, na ich lidera. Rozmyślałam o Robercie Browningu i krótkich fryzurach.

Pierścienie nastroju (1975)

Pierścień z wielkim kamieniem, który w rzeczywistości był wrażliwym na temperaturę ciekłym kryształem. Pierścienie nastroju miały odzwierciedlać nastroj noszącego, odkrywając jego myśli. Niebieski oznaczał spokój; czerwony - zły humor; czarny depresję. Ponieważ w rzeczywistości kamień reagował jedynie na temperaturę, a po pewnym czasie w ogóle na nic nie reagował, nikt nie osiągał idealnego "fioletu błogości" bez wysokiej gorączki, i wszyscy w końcu pogrążyli się w nastroj ponury i pełen rozpacz, gdy pierścień w sposób trwały czerniał. Wyparty przez kamienie-
ulubieńce, które w ogóle na nic nie reagowały.

Perednica rzeczywiście potrafiła skłonić stado do zrobienia tego, co chciała. Natomiast zmuszenie jej do zrobienia tego, na czym nam zależało, było zagadnieniem zupełnie innym. Obserwowała, jak smarujemy masłem arachidowym guzik, który miała nacisnąć, po czym prowadziła owce w przeciwległy róg, gdzie zbijały się w ciasny kierdel.

Nie rezygnowaliśmy. Ben kusił ją zgnitym jabłkiem - Hodowla owiec dla zabawy i zysku przysięgała, że to owczy przysmak - a zwierzę podreptało za nim do koryta.

- Grzeczna dziewczynka.

Nachylił się, by dać jej jabłko. Energicznie ubodła go w brzuch, aż stracił oddech.

Potem wypróbowaliśmy zgnitą sałatę, następnie świeże brokuły - bez rezultatu.

- Przynajmniej cię nie ubodła - powiedziałam i wieczorem daliśmy spokój.

Kiedy następnego ranka dotarłam do pracy z torbą pełną sałaty i owoców kiwi (Opowieści australijskiego pasterza), Ben smarował przycisk melasą.

- W każdym razie dyfuzja informacji z całą pewnością zachodzi - oznajmił. - Dziś rano ubodły mnie trzy inne owce.

Podprowadziliśmy perednicę do koryta stosując metodę broda-zad-uzda oraz pistolet na wodę, tak jak doradzała Hodowla.

- To ma je powstrzymywać od bodzenia.

Nie powstrzymało.

Pomogłam Benowi wstać i zaczęłam go otrzepywać.

- W Opowieściach australijskiego pasterza twierdzi się, że bodą tylko barany, a nie owce. To wystarczy, by utracić zaufanie do literatury.

- Nie, poeta miał rację. "Owca to niebezpieczna bestia" - Odparł Ben, trzymając się za brzuch.

Po piątej próbie polizała melasę; piguły jak należy z grzechotem spadały do koryta. Perednica przyglądała się temu długo z zainteresowaniem; Ben zaciskał kciuki. Potem tryknęła i trafiła mnie w obie kostki, zmuszając do wypuszczenia uzdy. Głową naprzód dała nura w stado, które się gwałtownie rozproszyło. Jedna z owiec wbiegła prosto na nogę Bena.

- Spójrz na to z jaśniejszej strony - powiedziałam, masując sobie nogi. - O drugiej jest ogólne zebranie pracowników. Ben pokuśtykał i podniósł z ziemi uzdę.

- Podobno lubią orzechy arachidowe. Perednica nie lubiła ani orzeszków, ani selera, ani deptania kapelusza. Lubiała natomiast ciskać się wprzód, wycofywać

i zrzucać swój kołnierz. Za piętnaście pierwsza Ben popatrzył na zagarek i oznajmił:

- Za chwilę zebranie.

Nie zaprotestowałam nawet słowem.

Pokuśtykałam do laboratorium statystyki, w miarę możliwości zmyłam ziemię i tłuszcz i poszłam na zebranie, mając nadzieję, że Dyrekcja doceni moje skuteczne wysiłki, by ubierać się nieformalnie.

W drzwiach kafeterii spotkałam Sarę.

- Jakie to podniecające! - Podetknęła mi pod nos lewą dłoń. - Ted poprosił, bym za niego wyszła!

Ted, wróg zaangażowania osobistego? - pomyślałam. Ten, który miał poważne kłopoty z życiem intymnym i krnąbrne dziecko w swym wnętrzu?

- Poszliśmy na wspinaczkę lodową, a on wbił hak i rzekł: "Masz, wiem, że tego chcesz" i wręczył mi pierścionek. Nawet go nie zmuszałam. To było takie romantyczne! Gina, posłuchaj! - Ruszyła do swej nowej ofiary. - To takie podniecające!

Weszłam do bufetu. Przedstawiciel Dyrekcji stał obok Flip. On w dżinsach z zaprasowanym kantem; ona w spodniach torreadora koloru błękitu Czerenkowa i bezkształtnym kapeluszu głęboko na uszach. Obydwoje mieli na sobie koszulki z napisem LIPA na piersiach.

- Och, nie, tylko nie następny akronim - wymamrotałam, zastanawiając się, jakie to przyniesie skutki dla naszego projektu.

- Logistyczny Interdyscyplinarny Profesjonalizm Akademicki - rzekł Ben wślizgując się w fotel obok mnie. - To styl kierowania używany przez dziewięć procent korporacji, w których uczeni zdobyli Grant Niebnitza.

- Czyli ile?

- Jedną. I stosują to dopiero od trzech dni.

- Czy wobec tego będziemy musieli składać nowe podania o fundusze dla naszego projektu? Potrząsnął głową.

- Pytałem Shirl. Nie drukowali jeszcze nowych formularzy.

- Mamy dziś wiele w porządku dziennym - zahuczała Dy-rekcja - więc zaczynamy. Po pierwsze, były trudności z Zaopatrzeniem, więc by je usunąć, wprowadziliśmy nowe optymalne formularze dostaw. Rozda je teraz dyrektor ułatwień przesyłania wiadomości do miejsc pracy - skinął głową na Flip, która trzymała pokaźny stos teczek.

- Dyrektor ułatwień przesyłania wiadomości do miejsc pracy? - zapytałam cicho.

- Ciesz się, że nie zrobili jej wiceprezesem.

- Po drugie - oznajmiła Dyrekcja - chcę podzielić się z państwem wspaniałymi wiadomościami dotyczącymi Grantu Niebnitza. Pracowaliśmy z doktor Turnbull nad planem gry, który właśnie dziś wdrożymy. Ale najpierw proszę, by każdy z państwa wybrał sobie partnera...

Ben złapał mnie za rękę.

- ...i by stanęli państwo naprzeciw siebie.

Stanęliśmy, a ja podniosłam dłonie zwrócone na zewnątrz.

- Jeśli musimy powiedzieć o trzech rzeczach, które lubię u owiec, rezygnuję z pracy.

- Dobrze, HiTekowcy - powiedziała Dyrekcja - teraz proszę, byście z całej siły uścisnęli partnera. .

- Następnym wielkim trendem w HiTeku będzie molestowanie seksualne - skomentowałam beztrąsko, a Ben wziął mnie w ramiona.

- No, proszę - przynagliła Dyrekcja. - Nie wszyscy biorą w tym udział. Silny uścisk.

Ramiona Bena obleczone flanelą w wyblakłą szkocką kratę przyciągnęły mnie do siebie, ogarnęły. Moje obrócone na zewnątrz dłonie, złapane w tym głupim położeniu, znalazły się wokół jego szyi. Serce zaczęło mi mocno bić.

- Uścisk powiada: "Dziękuję ci, że ze mną pracujesz" - oznajmiła Dyrekcja. - Uścisk powiada: "Doceniam twą osobowość".

Policzek miałam przy uchu Bena. Pachniał lekko owcami. Czulałam jego bijące serce, jego ciepły oddech. Moje płuca za-krztusiły się jak niesprawny silnik i powietrze w nich ugrzęzło.

- Teraz dobrze, HiTekowcy - powiedziała Dyrekcja. - Proszę, byście spojrzeli na partnera - nadal go ściskacie, nie puszczajcie - i powiedzieli jemu czy jej, jak wiele dla was znaczy.

Ben podniósł głowę, wargami przesunął po mych włosach i spojrzał na mnie. Jego szare oczy za grubymi szklami były poważne.

- Ja... - powiedziałam i wyswobodziłam się z jego uścisku.

- Dokąd idziesz? - spytał Ben.

- Muszę... właśnie pomyślałam o czymś, co wpasowuje się w moją teorię krótkich fryzur - recytowałam rozpaczliwie. - Muszę to wklepać do komputera, zanim wszystko zapomnę. O tanecznych maratonach.

- Poczekaj - powiedział i złapał mnie za rękę. - Myślałem, że maratony taneczne pojawiły się dopiero w latach trzydziestych.

- Zaczęły się w 1927 - sprecyzowałam i wywinęłam mu się z ręcznie.

- Ale to i tak chyba było już po szale krótkich fryzur? - zapytał, lecz ja wybiegłam za drzwi, na schody.

Wieńce z włosów (1870 - 90)

Upiorna mania wiktoriańska. Układano kwiaty z kosmyków zmarłej kochanej osoby (lub zestawu kochanych osób, najlepiej o różnych barwach włosów). Pukle splecione w bukiety lub wieńce umieszczano pod szklaną czaszą albo oprawiano i zawieszano na ścianie. Wyparte przez ruch sufrażystek, krykiet i Elinor Glyn. Mania wieńców z włosów mogła wpłynąć na modę krótkich fryzur w latach dwudziestych dwudziestego wieku.

Wielkie odkrycia były często inspirowane przez bardzo róż-ne rzeczy - jabłka, żaby, płyty fotograficzne, zięby - ale tylko moje odkrycie zostało zainspirowane przez idiotyczne dyrek-cyjne ćwiczenie wrażliwości.

Zatrzymałam się dopiero w laboratorium Statystyki. Oparłam o drzwi i mamrotałam w kółko:

- Głupia, głupia, głupia.

Ja, niby taki ekspert w wykrywaniu trendów, przez wiele tygodni nie potrafiłam dostrzec, dokąd prowadzi ten trend. Cały czas uważałam, że interesuje mnie wyłącznie jego odporność na mody. Robiłam notatki na temat jego krawatów i płóciennych tenisówek. Potraktowałam nawet poważnie oświadczyzny Billy'ego Raya. A przez cały czas...

Ktoś nadchodził korytarzem. Pośpiesznie usiadłam przed komputerem, uruchomiłam program i patrzyłam w ekran nie widzącymi oczyma.

- Jesteś zajęta? - spytała Gina, wchodząc.

- Owszem.

- Aha. - Jej mina wyraźnie mówiła: "Nie wyglądasz na zajętą". - Nie mogłam cię znaleźć po zebraniu. Poszłam do toalety, gdy tylko zaczęli ćwiczenia wrażliwości, a kiedy wróciłam, ciebie nie było. Przyniosłam listę sklepów z zabawkami, które już odwiedziłam, żebyś nie traciła daremnie czasu.

- Dobrze, załatwię to podczas tego weekendu.

- Och, nie ma pośpiechu. Bethany obchodzi urodziny dopiero za dwa tygodnie, ale trochę mnie niepokoi, że nie ma tego w "Zabawki To My". - Nachmurzyła się. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz jak ktoś, komu za karę wyznaczili pauzę.

Pauza. Młoda damo, masz siedzieć tutaj cicho, dopóki nie opanujesz emocji.

- Czuję się dobrze. Powinnam była posłuchać twojej rady i pójść do toalety. To wszystko. Skinęła głową.

- Te ćwiczenia wrażliwości potrafią człowieka wykończyć. No, wracaj do tej swojej pracy. Poklepała mnie po ramieniu.

- Dostarczę Barbie Romantyczną Pannę Młodą. Nie martw się. Znajdę ją - obiecałam i zaczęłam chaotycznie przedzierać się przez stos wycinków.

Gdy Gina wyszła, zamknęłam drzwi, a potem usiadłam przy komputerze i patrzyłam w ekran.

Otworzyłam plik zawierający mój model zjawiska krótkich fryzur. Krzyżujące się barwne linie i to anomalne skupisko w Marydale jak wyrzut sumienia.

Jak mogłam się spodziewać, że zrozumiem, co siedemdziesiąt lat temu zainspirowało kobiety do obcięcia włosów, jeśli nie rozumiałam nawet własnego postępowania?

Nie docierały do mnie żadne sygnały. Aż do chwili gdy Ben mnie objął i przyciągnął do siebie. Naprawdę myślałam, że chcę jedynie ocalić jego projekt, bo nie cierpię Flip, a Alicja irytuje mnie dlatego, że próbuje wyprodukować naukę na zamówienie. I przez cały czas...

Usłyszałam odgłosy w korytarzu. Położyłam dłonie na klawiaturze, by wyglądać na osobę zapracowaną. Nie miałam ochoty teraz z nikim rozmawiać.

Gapiłam się na model, na nakładające się wzorce, na poplątane krzywe, na wydarzenia, z których każde oddziaływało na wszystkie inne. Iterowały się i prowadziły nieuchronnie do ostatecznego rezultatu.

Takiego jak moja katastrofa. Powinnam może wykreślić wydarzenia i interakcje, które doprowadziły mnie do tej sytuacji. Wywołałam program graficzny, otworzyłam nowy plik i zaczęłam rekonstruować cały ten kataklizm.

Pożyczyłam owce od Billy'ego Raya. Nie, to zaczęło się wcześniej, od Dyrekcji i PONUR-u. Dyrekcja wprowadziła nowy formularz finansowy, Ben zgubił swój, a ja zaproponowałam, byśmy pracowali razem. I Dyrekcja zgodziła się, ponieważ chciała, by uczony z HiTeku zdobył Grant Niebnitza.

Zaczęłam rysować linie: od zebrań Dyrekcji do formularzy finansowych, do Shirl, nowej asystentki, która przyniosła mi dodatkowe kopie brakujących stron, a ja je zaniiosłam do Bena, potem do Alicji, która chciała współpracować z Benem, by zdo-być Grant Niebnitza. I z powrotem do Dyrekcji i PONUR-u. I do Flip.

- Opuściła pani zebranie - rzekła z przyganą Flip, otwie-rając drzwi. Nadal nosiła ten ściągnięty nisko kapelusz, lecz porzuciła koszulkę z LIPĄ i miała na sobie przezroczystą suk-nię na body, które wyglądało jak wyprodukowane z czerenko-wowskobłękitnej taśmy klejącej.

- Nie wzięła pani swego optymalnego formularza zaopatrze-nia. -Wręczyła mi teczkę. - Chciałam zadać pani jedno pytanie.

- Flip, jestem zajęta.

- To potrwa tylko minutkę - powiedziała. - Wiem, że nadal się pani wścieka, bo odpowiedziałam na ogłoszenie osobiste, ale jest pani jedyną osobą, którą mogę zapytać. Desiderata i Shirl są na mnie wnerwione.

Ciekawe dlaczego.

- Jestem naprawdę zajęta, Flip.

- To zajmie tylko minutkę. - Usadowiła się na stołku, który przyciągnęła w pobliże komputera. - Jak daleko ktoś może się posunąć, jeśli zwariował na czyimś punkcie?

Właśnie tego mi potrzeba: omawiać życie erotyczne osoby o przekłutym nosie, noszącej bieliznę z taśmy samoprzylepnej.

- To znaczy, jeśli się myśli, że nigdy się go znów nie zobaczy, czy pani sądzi, że jest to głupie, jeśli się zrobi coś naprawdę śwukowego?

Namówiłam Bena do połączenia naszych projektów. Pożyczyłam stado owiec. Głupio, głupio, głupio.

- Chodzi o moje włosy - powiedziała i ściągnęła kapelusz. - Ścięłam.

Rzeczywiście. Swój pukiel do odrzucania obcięta na długość dwóch centymetrów od niebieskiej czaszki. Przez chwilę myślałam, że miała taki sam problem z taśmą samoprzylepną jak Desiderata, ale nie musiałyby wtedy ścinać całego pukla. Wyglądała jak oskubany zziębnięty kurczak.

Poczułam nagły przyptyw współczucia. Wybrała akurat tego dentystę i zakochała się, a on nie wiedział nawet, że ona istnieje, i prawdopodobnie był już zaręczony.

- Więc sobie myślę, czy tak jest już w porządku, czy może powinnam dodać jeszcze jedno piętno. - Wskazała prawą skroń, tuż poniżej włosów.

- Jakie? - spytałam niewyraźnie. Westchnęła.

- Z kawałka taśmy klejącej, oczywiście. Oczywiście.

- To zależy, jak chcesz, by odrastały ci włosy. - Spodziewałam się, że je trochę zapuści.

Widocznie zamierzała je zapuścić, gdyż znów włożyła kapelusz.

- A więc pani się to nie podoba? Myśli pani, że to byłoby głupie?

Nie spodziewała się widocznie odpowiedzi, gdyż była już w drzwiach.

- Flip, zrobisz mi grzeczność? - poprosiłam. - Czy mogłabyś zejść na Biologię i powiedzieć doktorowi O'Reilly'emu, że dziś wyjdę wcześniej i porozmawiam z nim jutro?

- Biologia jest po drugiej stronie gmachu - odparła oburzona. - Ale i tak wątpię, czy on tam jest. Gdy wychodziłam z zebrania, rozmawiał z doktor Turnbull. Jak zawsze. Założę się, że żałuje, że nie miał jej za partnera podczas uścisku.

- Flip, naprawdę jestem zajęta. - Chcąc to udowodnić, zaczęłam stukać w klawisze.

Flip. To wszystko wina Flip. Zgubiła formularze Bennetta i ukradła moje ogłoszenia osobiste, i dlatego znalazłam się w kąpieli, gdy Bennett tam wszedł.

- Czy wie pani, że doktor Patton się zaręczyła? - nawiązała ponownie konwersację Flip. - Z tym facetem, który nie chciał się żenić.

-Tak.

- Założę się, że doktor O'Reilly i doktor Turnbull wkrótce się pobiorą.

Nadal zajadle stukałam w klawiaturę, po chwili Flip się znudziła i poczłapała gdzieś dalej. Stukałam w dalszym ciągu. Poważnie myślałam, że cały ten bałagan to wina Flip. Nie tylko zgubiła formularze finansowe i ukradła ogłoszenia osobiste - ona to wszystko zaczęła. Przede wszystkim gdyby nie doręczyła mi wtedy paczki przeznaczonej dla doktor Turnbull, nigdy nie spotkałabym Bena. Nigdy nawet nie zesłałabym na Biologię i podczas tego pierwszego zebrania siedziałaby daleko, w drugim końcu sali.

Dodawałam linie, śledziłam powiązane ze sobą wydarzenia. Flip wyrzuciła wyniki sześciotygodniowych badań i ukradła mój zszywacz. I gubiła strony formularzy finansowych. Musiałam zanieść brakujące strony Benowi. Zostawiła ślady butów i sabotów wszędzie, we wszystkich intrygach.

Była jak jakiś Jagon. Lub może zły anioł stróż. "Zawsze na miejscu, tuż przy tobie, dokądkolwiek byś się udał" - tak twierdziła książka Anioły, anioły wszędzie. To prawda. Była wszędzie. Jak jakaś okropna anty-Pippa, wędrowała pod oknami niczego nie podejrzewających ludzi, siejąc ziarna chaosu i zniszczenia.

Dodałam kolejne linie. Flip podnosi dłoń i przydzielają jej asystentkę, Flip prowadzi kampanię antynikotynową, w efekcie proponuję Shirl palenie na wybiegu, a ona z kolei opowiada nam o perednicy. Flip wpędza mnie w depresję tamtego dnia w Boulder. Gdyby nie opowiadała o swym świądnie, nigdy nie poszłabym na kolację z Billym Rayem, nie wiedziałabym, że targheesy to owce i nigdy nie wpadłby mi do głowy pomysł, by je pożyczyć.

A Ben byłby teraz gdzieś we Francji i studiował teorię chaosu, pomyślałam ponuro. To wszystko nie jest winą Flip. To ja wynajdywałam preteksty, by spotykać się z Benem. Od tamtego pierwszego dnia, gdy rozmawiałam z nim na ganku.

Flip nie była źródłem. Mogła przyśpieszać bieg spraw, lecz za wynik odpowiadałam ja sama. Podążałam za najstarszym na świecie trendem. Prosto w przepaść.

Flip wróciła, stanęła za mną i z zainteresowaniem patrzyła mi przez ramię.

- Nadal jestem zajęta - oznajmiłam. Odrzuciła nie istniejący pukiel.

- Doktor O'Reilly poszedł sobie. Założę się, że na randkę z doktor Turnbull.

Diabelnie trudno się pozbyć tego anioła stróża.

- Nie masz gdzieś czegoś do załatwienia? - zapytałam.

- Właśnie chcę pani powiedzieć cześć.

I wyszła. Dumałam nad ekranem, zastanawiając się, gdzie Umieścić na schemacie to małe

spotkanie, lecz ona już była z powrotem.

- Czy w Teksasie noszą kapelusze? - spytała.

- Stulitrowe - odpowiedziałam.

Znowu znikła, tym razem na dobre. Dodałam do wykresu następne linie, a potem tylko siedziałam i patrzyłam na krzyżujące się krzywe, na starannie wykreślone regresje.

- Siódma. - Gina wsadziła głowę w drzwi. Miała na sobie płaszcz. - Możesz już skończyć pauzę. Uśmiechnęłam się.

- Dzięki, mamusiu.

Poczekalam, aż miałam pewność, że wszyscy sobie poszli, a potem zesłam na dół i stałam przy furtce wybiegu obserwując owce. Dreptały, pasły się i znowu dreptały. Niekiedy beczały, niekiedy gubiły się, zmuszane do działania przez przewodników, których nie rozpoznawały, i przez instynkty, z których posiadania nie zdawały sobie sprawy.

Laleczki Kewpie (1909 - 15)

Mania zainspirowana ilustrowanymi wierszami w "Ladie's Home Journal". Laleczki Kewpie wyglądały jak różowolice cherubiny o okrągłych brzuskach, z żółtym lokiem na czubku głowy. Szalenie popularne wśród dorosłych i dziewczynek, występowały w postaci papierowych figurek, solniczek, dekorowały weselne torty, pojawiały się na pocztówkach i jako nagrody na prowincjonalnych jarmarkach.

Przez następne dwa dni nie zachodziłam do laboratorium Bena. Porządkowałam swoją pracownię oraz wprowadzałam kilometry danych na temat mah-dżonga i przelotu Lindbergha nad Atlantykiem.

Nie bądź śmieszna, powiedziałam sobie w czwartek. Nie zachowuj się jak Peyton. Dorośnij. Musisz go od czasu do czasu widywać.

Kiedy wreszcie zesłam na dół do laboratorium, zastałam tam Alicję. Ben trzymał przednicę za postmodernistycznie różową kokardkę i wygłaszał wykład na temat struktury dominacji i charyzmy. Miał niebieski krawat.

- To otwiera prawdziwe możliwości - mówiła Alicja, opierając się o furtkę. - Trzydzieści jeden procent odbiorców Gran-tu Niebnitza pracowało w projektach międzydyscyplinarnych.

Ważny jest odpowiedni profil współpracy. Komitet wyraźnie kieruje się kryterium równowagi płci, co w waszym wypadku jest w porządku, lecz zarówno teoria chaosu, jak i statystyka to dziedziny matematyki. Potrzebujecie biologa.

- Jestem wam potrzebna? - spytałam.

Obydwoje podnieśli wzrok.

- Jeśli nie, pójdę coś sprawdzić w bibliotece.

- Możesz iść. Przednica nie okazuje dziś ochoty do nauki.

- Ben potarł kolano. - Już dwa razy mnie ubodła. Gdy będziesz w bibliotece, sprawdź, czy mają coś o tym, jak kierować kierownikami.

- Dobrze - powiedziałam i ruszyłam korytarzem.

Ben dogonił mnie.

- Poczekaj. Chciałbym z tobą pomówić. Czy odkryłaś coś dzięki tym maratonom tanecznym?

Tak, pomyślałam, patrząc na niego rozpaczliwie. Odkryłam. . - Nie - oświadczyłam. - Myślałam, że istnieje związek, ale nie istniał.

Po czym pojechałam do Boulder szukać Barbie Romantycznej Panny Młodej.

Gina dała mi listę sklepów z zabawkami. Skreśliła te, które już odwiedziła, więc nie pozostało ich zbyt wiele. Zaczęłam od góry. Postanowiłam sprawdzić wszystkie, aż do końca listy. Tylko mi się wydawało, że rozumiem manię Barbie. Nawet przyjęcie urodzinowe Brittany nie przygotowało mnie do tego, co zobaczyłam.

Była Barbie Odblaskowa, Barbie Maskaradowa, Barbie Pie-nisty Anioł, Barbie Słonecznikowa, a nawet Barbie - etui, które-rej plastikowa pierś otwierała się, ukazując błyszczek do warg i pudełeczko różu. Istniały Barbie wielokulturowe, Barbie, które się zapalały, Barbie zdalnie sterowane i takie, które można było strzyc na pazia.

Barbie miała porsche, jaguara, corvette, mustanga, moto-rówkę, przyczepę kempingową i konia. Także wannę z masażami wodnymi, Zabawną Lodówkę, uzdrowisko i bar McDonalda. Ponadto szkatułki z biżuterią, pudła śniadaniowe, taśmy z ćwiczeniami gimnastycznymi, taśmy z muzyką, taśmy

wideo i różowy lakier do paznokci.

Ale ani śladu Barbie Romantycznej Panny Młodej. "Pałac Zabawek" miał Barbie Wiejską Panne Młodą z bawełnianą szarfą w różową kratkę i z bukietem stokrotek. "Zabawki To My" miały Barbie Wesele jak Marzenie i Barbie Weselną Fantazję. Poważnie zastanawiałam się nad ich zakupem, mimo zakazów Giny.

W "Pacynce" stały cztery regały pełne Barbie, a sprzedawczyni miała czoło ostemplowane literą "n".

- Mamy Barbie Trolla - poinformowała, gdy zapytałam o Romantyczną Panne Młodą. -1 Pocahontas.

Przeryłam cztery sklepy z zabawkami i trzy sklepy z artykułami przecenionymi, a potem pojechałam do "Cafe Kraka-tau", zobaczyć, czy Barbie istnieje w ogłoszeniach osobistych.

Teraz bar nazywał się "Kwark Keplera". Zły znak.

- Zaraz, zgadnę. Nie serwujecie już cafe latte - powiedziałam kelnerowi w czarnym golfie, czarnych dżinsach i ciemnych okularach.

- Kofeina jest szkodliwa - oznajmił, wręczając mi menu, które rozrosło się teraz do dziesięciu stron. - Proponowałbym drinka inteligencji.

- Czy to nie oksymoron? - zapytałam. - Wierzyć, że napitki zwiększą współczynnik inteligencji?

Szarpnął głową. Odsłoniło się "n" na czole. Oczywiście.

- Drinki inteligencji to bezalkoholowe napitki z przekąźnikami neuronowymi wzmacniającymi pamięć, koncentrację oraz sprawność mózgu - wyjaśnił. - Proponuję Umysłowy Wybuch, który zwiększa umiejętności matematyczne, lub Zbudź się i Picassuj, wzmacniający zdolności artystyczne.

- Poproszę o Sprawdź Rzeczywistość - powiedziałam w nadziei, że wzmocni to moją zdolność stawiania czoła faktom.

Wertowałam ogłoszenia osobiste, lecz wprawiały w depresję: "Do blondynki, która codziennie je obiad w «Barze Janeczki»: nie znasz mnie, ale jestem beznadziejnie w tobie zakochany. Proszę, odpowiedz". Zaczęłam czytać artykuły.

Terapeuta harmonicznych związków oferował nastrojające duszy z taśmy samoprzylepnej.

W Nowym Jorku zaarrestowano dwóch mężczyzn za prowadzenie nielegalnych palarni - najnowszego szafu.

Postmodernistyczny róż jako mania wyzionął ducha. Cytowano projektanta mody, który stwierdził: "Gustu publiczności wyjaśnić się nie da".

Sama prawda. Nadszedł czas, bym również się z nią zmierzyła. Nigdy nie znajdę źródła manii krótkich włosów, choćbym nie wiem ile danych uwzględniła w swym modelu komputerowym i ile kolorowych linii wykreśliła.

Nie miało to bowiem nic wspólnego ani z ruchem sufrażystek, ani z pierwszą wojną światową czy pogodą. I nawet gdybym mogła zapytać Berenice, Irenę i wszystkie inne kobiety, dlaczego to zrobiły, nic by to nie pomogło. One też by nie wiedziały.

Były tak samo zaślepione jak ja, napędzane przez uczucia, z których nie zdawały sobie sprawy, przez siły, których nie rozumiały. Prosto do rzeki.

Podano mego drinka inteligencji. Miał barwę żółtawozieloną, szaf w latach dwudziestych. - Co w tym jest? - zapytałam.

Kelner westchnął ciężko, jak bohater Dostojewskiego.

- Tyrozyna, L-fenylalanina i synergetyczne uzupełnienia - wyjaśnił. - Oraz sok ananasowy.

Przełknęłam łyk. Nie poczułam się inteligentniejsza.

- Dlaczego ma pan piętno na czole? - spytałam. Widocznie nie dopił swego drinka inteligencji.

Patrzył na mnie bez wyrazu.

- Pańskie piętno "n" - wskazałam jego czoło. - Dlaczego pan je sobie zrobił?

- Każdy je ma - odparł i oddalił się człapiąc.

Czy umieścił piętno, by zrobić przyjemność swej sympatii, czy też może buntował się przeciw antyintelektualizmowi lub swym rodzicom? A może zakochał się w kimś, kto w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia?

Sączyłam drinka i czytałam dalej. Nie czułam się ani trochę inteligentniejsza. Bantam Books zapłacił ośmiocyfrową zaliczkę za Nawiązanie kontaktu ze swoją wewnętrzną dobrą wróżką. Błękit Czerenkowa był najszykowniejszym kolorem na zimę, a mężczyźni i kobiety palili cygara w Los Angeles, zainspirowani przez Rusha Limbaugha lub Davida Lettermana, a może przez siły, których nie rozumieli. Jak owce. Jak szczury.

To wszystko jednak nie rozwiązywało problemu, jak mam dalej pracować z Bennettem. Ani gdzie mam znaleźć Barbie Romantyczną Pannę Młodą.

Poszłam do biblioteki i wypożyczyłam Annę Kareninę oraz Cyrana de Bergerac, a w dziale podręcznym wzięłam książkę telefoniczną z Denver. Zrobiłam kopie adresów wszystkich sklepów z zabawkami, które nie były na liście Giny, wszystkich domów towarowych i sklepów z towarami przecenionymi, wyjaśniłam klonowi Flip, że już zapłaciłam grzywnę za Dzieła zebrane Browninga, po czym znowu ruszyłam na przegląd sklepów.

W końcu znalazłam Barbie Romantyczną Pannę Młodą w domu towarowym w Aurorze - wklinowała się za Klub Hippi czny Barbie - i wzięłam ją do kasy.

Kasjerka usiłowała wydać resztę mężczyźnie w kolejce przede mną.

- Osiemnaście siedemdziesiąt osiem - powiedziała.

- Wiem - odparł mężczyzna. - Dałem pani banknot dwu-dziesięt dolarowy, a potem, gdy kasa wybiła osiemnaście sie-

demdziesiąt osiem, dałem pani trzy centy. Jest mi pani winna dolara i ćwierć.

Odrzuciła z irytacją włosy do tyłu, odkrywając "n".

Poddaj się, poradziłam mu w myślach. To bezcelowe.

- Kasa mówi, że jeden dwadzieścia dwa.

- Wiem - odparł mężczyzna. - Dlatego właśnie dałem trzy centy. Dwadzieścia dwa plus trzy centy dają ćwierć.

- Ćwierć czego?

Ustawiłam Barbie Romantyczną Pannę Młodą na końcu lady, przeczytałam nagłówki gazet i spojrzałam na towary ustawione na stojaku przy ladzie: taśmy samoprzylepne o różnych szerokościach i buty na wysokich obcasach dla Barbie w dowolnych kolorach umieszczone w przezroczystych plastikowych wypraskach.

- Dobrze, w porządku - zgodził się mężczyzna. - Niech mi pani zwróci trzy centy i da mi dolar dwadzieścia dwa.

Wzięłam do ręki opakowanie bucików.

"Nowość! Błękit Czerenkowa" - głosił napis. Umieściłam buciki obok taśmy samoprzylepnej i wtedy odniosłam dziwne wrażenie, jakbym stała na progu czegoś ważnego, jak przy końcowym ruchu kostki Rubika, gdy sześcianik wchodzi z pstryknięciem na właściwe miejsce.

- To nie ma ceny - oznajmiła kasjerka, biorąc do ręki Barbie Romantyczną Pannę Młodą. - Nie mogę sprzedać czegoś, co nie ma ceny.

- Trzydzieści osiem dziewięćdziesiąt dziewięć - odpowiedziałam. - Kierownik kazał to wpisać pod "Różne".

- Och - westchnęła i wpisała cenę.

Tę manię mogę w końcu polubić, pomyślałam, uśmiechając się do jej "n". Kto uprzedzony, ten uzbrojony.

- Razem czterdzieści jeden trzydzieści trzy - powiedziała. Stałam z portmonetką w dłoni, patrzyłam na pudełka z kredkami i starałam się ponownie uchwycić tamto wrażenie. Był w nim błękit Czerenkowa, taśma samoprzylepna i...

Ale i tak minęło. Miałam nadzieję, że to nie lekarstwo na cholereę.

- Czterdzieści jeden trzydzieści trzy - powtórzyła kasjerka.

Starannie odliczyłam drobne i wyszłam z Barbie Romantyczną Panną Młodą. Przed drzwiami nastąpiłam na coś i spojrzałam na podłogę. To był cent. Trochę dalej leżały jeszcze dwa. Najwidoczniej ktoś cisnął je na ziemię.

Prohibicja (1895 - 16 stycznia 1929)

Mania awersyjna antyalkoholowa podsycana przez Kobięcy Związek Chrześcijańskiego Umiarkowania (Woman's Christian Temperance Union), rozbijanie knajp przez Podnieśmy Naród (Carry Nation) i smutne skutki alkoholizmu. Dzieci w szkołach zachęcano do podpisywania petycji, a kobiety do składania przysięg, że nie dotkną warg, które dotknęły wódki. Ruch nabierał rozpędu i zyskiwał poparcie polityczne w pierwszych latach wieku. Kandydaci partyjni wznosili toasty wodą, kilka stanów wprowadziło suche prawo, aż w końcu nastąpiła kulminacja - ustawa Yolsteada. Mania zanikła natychmiast po prawnym wprowadzeniu prohibicji. Wyparta przez przemysł wódki, nielegalne bary, bimber, piersiówki, zorganizowaną przestępczość. W końcu wielkie odwołanie.

Gina nie mogła uwierzyć, że znalazłam Barbie Romantyczną Pannę Młodą. Dwa razy mnie uścisnęła.

- Jesteś wspaniała! Czynisz cuda!

- Nie we wszystkim. - Próbowałam się uśmiechać. - W tropieniu źródeł krótkich fryzur raczej nie mam szczęścia.

- Kiedy już o tym mówimy - rzekła, nadal podziwiając Barbie Romantyczną Pannę Młodą - zaglądał tutaj doktor O'Reilly. Szukał cię. Miał zmartwioną minę.

Co tym razem zgubiła Flip? Perednicę? Ruszyłam na dół do Biologicznego. W połowie drogi natknęłam się na Bena. Złapał mnie za ramię.

- Mieliśmy być w Dyrekcji dziesięć minut temu.

- Dlaczego? O co tu chodzi? - pytałam, starając się dotrzymać mu kroku. - Mamy jakieś kłopoty?

Oczywiście, mieliśmy kłopoty. Gabinet Dyrekcji oglądali jedynie ci - i to mimo tego całego "wysłuchiwania się w głos załogi" - których przenoszono do Zaopatrzenia albo którym obcinano fundusze.

- Mam nadzieję, że nie są to aktywiści praw zwierząt - powiedział Ben, przystając przed dyrekcyjnymi drzwiami. - Czy sądzisz, że powinienem włożyć marynarkę?

- Nie - odparłam, przypomniawszy sobie jego marynarki. - To na pewno jakaś drobna sprawa. Może nie ubieraliśmy się dostatecznie niedbale.

Sekretarka kazała nam natychmiast wejść.

- To nie jest drobna sprawa - szepnął Ben i sięgnął do klamki.

- Może nie mamy kłopotów? Może Dyrekcja chce nas pochwalić za współpracę międzydyscyplinarną?

Otworzył drzwi. Dyrekcja z rękami założonymi na piersi stała za swym biurkiem.

- Nie sędzę - powiedział cicho Ben i weszliśmy.

Dyrekcja poprosiła, byśmy usiedli - następny zły znak. Jedna z ośmiu zasad podnoszenia efektywności LIPY głosiła: "Prowadzenie zebrań na stojąco sprzyja zwięzłości".

Usiedliśmy.

Dyrekcja pozostała na nogach.

- W pole mej uwagi dostała się niezwykle ważna sprawa dotycząca was i waszego projektu.

To muszą być obrońcy praw zwierząt, pomyślałam i przygotowałam się na jego dalsze słowa.

- Zaobserwowano, że pomocnicza asystentka przesyłania

wiadomości do miejsc pracy paliła w strefie zagrody dla zwierząt. Powiedziała, że miała na to pozwolenie. Czy to prawda?

Palenie. Chodziło o palącą Shirl.

- Kto jej udzielił takiego pozwolenia? - zapytała ostro Dyrekcja.

- Ja - odpowiedzieliśmy chórem. - To był mój pomysł -oświadczyłam. - Prosiłam doktora O'Reilly'ego o zgodę.

- Czy zdajecie sobie państwo sprawę, że gmach HiTeku jest strefą bez papierosa?

- To odbywało się na zewnątrz - powiedziałam, a potem przypomniały mi się przepisy wprowadzone w Berkeley. - Sądziłam, że nie powinna stać na mrozie i palić pośród śnieżycy.

- Ja również tak uważałem - rzekł Ben. - Nie paliła w gmachu, tylko na wybiegu.

Dyrekcja zrobiła jeszcze surowszą minę.

- Czy zdajecie sobie państwo sprawę z wytycznych HiTeku dotyczących eksperymentów z żywymi zwierzętami?

- Tak - odparł Ben, osłupiały. - Postępowaliśmy według...

- Wymagamy, żeby zwierzęta miały zdrowe środowisko -oznajmiła Dyrekcja. - Czy wiecie państwo o zagrożeniach, powodowanych przez atmosferyczne substancje rakotwórcze, czy znacie raport FDA na temat niebezpieczeństw biernego palenia? Może powodować raka lub rozedmę płuc, wysokie ciśnienie i zawał serca.

Ben był coraz bardziej osłupiały.

- Ona nie paliła w pobliżu nas, ale na zewnątrz. To...

- Wymagamy, by żywe zwierzęta przebywały w zdrowym środowisku - zakomunikowała Dyrekcja. - Czy dym to według pana środowisko zdrowe?

Zawsze należy doceniać siłę trendu awersyjnego. Ostatni taki trend w naszym kraju skończył się hurtowymi oskarżeniami o odchylenia komunistyczne, zrujnowanymi reputacjami, zniszczonymi karierami.

- "...iż wszystkich domów wybiegały szczury" - powiedziałam cicho.

- Co takiego? - Dyrekcja spojrzała na mnie wściekle.

- Nieważne.

- Czy wiecie państwo, jakie skutki u owiec wywołuje bierne palenie?

Nie, pomyślałam, i ty też tego nie wiesz. Po prostu idziesz za stadem.

- Wskutek rażącego lekceważenia zdrowia owiec projektu państwa nie można traktować poważnie jako kandydata do grantu.

- Pani Shirl paliła tylko jednego papierosa dziennie - wyjaśnił Ben. - Zagroda, gdzie trzymamy owce, ma trzydzieści metrów na dwadzieścia pięć. Gęstość dymu z jednego papierosa jest mniejsza niż jedna cząsteczka na miliard.

Daj spokój, Ben, pomyślałam. Trendy awersyjne nie mają nic wspólnego z logiką naukową, a myśmy nie tylko narazili owce na bierne palenie. Oni sądzą, że zaprzepaściliśmy szansę realizacji ich skrytego marzenia: otrzymania Grantu Nie-bnitza.

Spojrzałam na Dyrekcję. HiTek naprawdę ma zamiar kogoś wyrzucić i ten ktoś to my.

Myliłam się.

- Doktor Foster, pani otrzymała te owce, prawda?

- Tak - przyznałam. Miałam ochotę wstać, zasalutować i powiedzieć: "Tak jest, panie sierżancie!" - Od ranczera z Wyoming.

- A czy zdaje on sobie sprawę, że zamierzała pani wystawić jego zwierzęta na działanie szkodliwych substancji rakotwórczych?

- Nie, ale nie będzie miał nic przeciw temu - odparłam i wtedy przypomniałam sobie pudding chlebowy. Nigdy nie pytałam Billy'ego Raya o poglądy na temat palenia, ale wiedziałam, jakie ma: takie same jak wszyscy.

- Jak sobie przypominam, te badania to również pani po-

mysł, doktor Foster - powiedziała Dyrekcja. - To był pani pomysł, by wykorzystać owce, wbrew stanowisku Dyrekcji.

- Doktor Foster próbowała uratować mój projekt - wtrącił Ben, lecz Dyrekcja go nie słuchała.

- Doktorze O'Reilly, ta niefortunna sytuacja to oczywiście nie pańska wina. Obawiam się, że musimy zamknąć ten projekt. Doktor Turnbull potrzebuje jednak współpracownika przy te-macie, nad którym obecnie pracuje, i poprosiła właśnie o pana.

- Co to za temat? - spytał Ben.

- To jeszcze nie zostało ustalone. Doktor Turnbull rozpatruje kilka możliwości. Jestem jednak pewien, że praca przy tym projekcie będzie czymś wspaniałym. Uważamy, że ma siedemdziesiąt osiem procent szans zdobycia Grantu Niebnitza. - Dyrekcja znowu zwróciła się do mnie. - Doktor Foster, jest pani odpowiedzialna za natychmiastowe zwrócenie owiec właścicielowi.

Weszła sekretarka.

- Przepraszam, że przerywam, panie...

- W pani aktach, doktor Foster, zostanie umieszczona nagana. - Dyrekcja nie zwracała uwagi na sekretarkę - Przy następnym podziale funduszy pani temat zostanie przejrany z najwyższą uwagą. Tymczasem...

- Panie dyrektorze, musi pan stąd wyjść - ponaglała sekretarka.

- Mam spotkanie - przerwała jej Dyrekcja. - Chcę szczegółowego raportu na temat pani postępów w badaniu trendów - powiedziała do mnie.

- Chwileczkę - rzekł Ben. - Doktor Foster tylko... Sekretarka odezwała się znowu:

- Przepraszam, panie...

- O co chodzi, pani Shepard? - spytała Dyrekcja.

- Owce...

- Właściciel dzwonił ze skargą? - Dyrekcja rzuciła mi jadowite spojrzenie.

- Nie, panie dyrektorze. Chodzi o owce. Są w holu.

5. Główne koryto

Bóg w niebie schowany -Świat jest urządzony!
Robert Browning
(tłumaczył Juliusz Żuławski)

Mania tańca (1374)

Szał religijny w Europie Północnej. Ludzie bez opamiętania tańczyli całymi godzinami, tworzyli kręgi na ulicach i w kościołach, skakali, turlali się po ziemi, wrzeszcząc, że opętały ich demony, i błagając je, by zaprzestały dręczenia. Mania wywołana histerią bądź noszeniem spiczastego obuwia.

Hipoteza, że chaos i istotne odkrycia naukowe są powiązane, została wysunięta po raz pierwszy przez Poincarego, który pamiętał, że doznał olśnienia, gdy postawił nogę na stopniu omnibusu. Jak wyjaśniał później w Societe de Psychologie, schemat jego odkrycia da się streścić jako nagłe olśnienie wynikłe z frustracji, dezorientacji i chaosu umysłowego.

Inni teoretycy chaosu uważali, że doświadczenie Poincarego to skutek połączenia dwóch układów odniesienia. Chaotyczna sytuacja - uczonego sfrustrowanego z powodu trudności w rozwiązywaniu problemu, cierpiącego na bezsenność, przygotowuje się do podróży i zmienia miejsce pobytu - stworzyły sytuację nierównowagi, w której nie związane ze sobą idee przesunęły się, tworząc nowe i zaskakujące koniunkcje, a drobne wydarzenia mogły mieć ogromne konsekwencje. Aż wreszcie chaos się skryształizował, tworząc równowagę wyższego rzędu wskutek prostej czynności wchodzenia do omnibusu. Lub między owce.

Były nie w holu, ale już w sekretariacie i właśnie kierowały się do wyłożonego białymi dywanami sanktuarium Dyrekcji. Sekretarka, przyciskając do piersi notatnik, rozplaszczyła się przy ścianie, by je przepuścić.

- Stójcie! - wołała Dyrekcja i podniosła dłonie, jakby wykonywała ćwiczenia wrażliwości. - Nie możecie tu wchodzić!

Ben ruszył w stado, by zawrócić wiodącą je owcę. Nie była to jednak przednica, ponieważ nawet gdy ją zatrzymał w drzwiach i z całej siły zaparł się o nią jak zapaśnik, inne owce po prostu przecisnęły się obok i wtargnęły do gabinetu Dyrekcji. Może źle je przedtem osądzałam, może mimo wszystko miały nieco inteligencji. Niewątpliwie skierowały się prosto do tej części budynku, gdzie mogły wyrządzić najwięcej szkód.

I to im się udawało. Wnosiły tyle błota, że aż dziw bierze, jak mogło zmieścić się na ich małych racicach. Tłoczyły się zostawiając na ścianach długą tłustą smugę brudnej lanoliny.

Ben wciąż szamotał się z owcą, a ona chciała dołączyć do stada, które parło prosto ku błyszczącemu tekowemu biurku Dyrekcji.

- Stwarzanie zagrożenia dla zdrowia żywych zwierząt - mówiła Dyrekcja, wgramoliwszy się na biurko. - Niezapewnianie nadzoru podczas badań eksperymentalnych.

Zwierzęta okrążały biurko jak indiańscy wojownicy wóz osadników.

- Niezapewnianie właściwych środków bezpieczeństwa! - mówiła Dyrekcja.

- Zasilanie potencjału - powiedziałam cicho, próbując zawrócić owce w innym kierunku, w jakimś innym, dowolnym kierunku.

- Te zwierzęta nie powinny tu przebywać! - krzyknęła Dyrekcja z blatu swego biurka.

Prawdopodobnie wpadły na ten sam pomysł, gdyż wszystkie jednocześnie otworzyły pyski w żalonym, ogłuszającym "beee".

Popatrzyłam na stado uważnie, próbując określić, która odezwała się pierwsza, lecz beczenie nadeszło chyba ze wszystkich stron naraz. Jak moda krótkich fryzur.

- Czy zorientowałaś się, skąd zaczęło się beczenie?! - krzyknęłam do Bena, który puścił już owcę.

Stado znowu bezładnie szło, przez gabinet i sekretariat ku drzwiom na korytarz.

- Dokąd one idą? - spytał Ben.

Dyrekcja zesłała niezgrabnie z biurka i krzyczała ostrzegawczo. Dyrekcyjny strój wyglądał teraz nieco bardziej nieformalnie niż przedtem.

- HiTek nie będzie tolerował sabotażu ze strony pracowników! Jeśli tamta palaczka albo któreś z państwa wypuściło te owce umyślnie...

- Nie wypuściliśmy ich - tłumaczył Ben, usiłując precyzyjnie się do drzwi. - Musiały się same wydostać.

Nagle stanął mi przed oczyma obraz: Flip oparta o furtkę wybiegu podnosi i opuszcza rygiel, w górę i w dół, w górę i w dół.

Ben dotarł do drzwi, gdy przeciskały się przez nie ostatnie dwie owce. Beczały rozpaczliwie, bojąc się zostać z tyłu.

W korytarzu stado krążyło bez celu, zagubione, lecz nie do ruszenia.

- Musimy znaleźć przednicę - powiedziałam. Zaczęłam przedzierać się wśród zwierząt, wypatrując różowej wstążeczki.

Z końca korytarza dobiegł krzyk:

- Niech cię diabli, bezmózgie stworzenie! Z drogi, ty podłe zwierzę! - krzyczała Shirl idąca z naręczem papierów. - Jak się wydosta... - Przerwała na widok reszty stada. - Kto je wypuścił?

- Flip - powiedziałam. Macałam szyję jednej z owiec, szukając wstążki.

- Nie mogła tego zrobić - odparła Shirl, brodząc ku mnie w kierdłu. - Nie ma jej tutaj.

- Jak to nie ma? - spytałam.

Dwie owce omal mnie nie przewróciły.

- Zwolniła się z pracy - wyjaśniła Shirl, bijąc plikiem papierów owcę po lewej stronie. - Trzy dni temu.

- Wszystko jedno - oznajmiłam, odpychając drugą owcę. - W jakiś sposób gdzieś za tym stoi Flip. Flip stoi za wszystkim. Zwierzęta ruszyły ku Kadrom.

- Gdzie teraz zmierzają? - spytał Ben.

- Nie mają pojęcia - wyjaśniłam. - Są jak amerykańskie społeczeństwo.

Dyrekcja wyłoniła się ze swego gabinetu, strój sportowy miała w nieładzie.

- Takie zachowanie to efekt uboczny działania nikotyny.

- Musimy znaleźć przednicę - nalegałam. - To klucz do wszystkiego.

Ben zatrzymał się. Spojrzał na mnie.

- Klucz - powiedział. Dyrekcja ryknęła:

- Chcę wiedzieć, kto spowodował ten... ten chaos...

- Chaos - powtórzył ledwo słyszalnie Ben. - Kluczem jest przednica.

- Tak - zgodziłam się. - Tylko w ten sposób zagonimy je z powrotem na Biologię. Zaczniemy z tego końca, a ja zajmę się drugim. Dobrze?

Nie odpowiedział. Stał wśród stłoczonych owiec znieruchomiały, z rozwartymi ustami. Zezował za grubymi okularami.

- Przednica - powiedział cicho.

- Tak, przednica - powtórzyłam. Dopiero po dłuższej chwili spojrział na mnie. - Znajdź przednicę. Myśl na różowo! - Ruszyłam w koniec korytarza. - Shirl, niech pani biegnie do laboratorium i przyniesie uździenicę i postronek. - Coś nagle przyszło mi do głowy. - Mówiła pani, że Flip się zwolniła?

Shirl skinęła głową.

- Z powodu tego dentysty, którego znalazła w ogłoszeniach

osobistych. Przeprowadził się, a ona za nim. Chciała być geograficznie kompatybilna.

Poszła w kierunku Biologicznego.

Owce na klatce schodowej tłoczyły się w przestrachu na krawędzi najwyższego schodka. Szkoda, że to nie skraj przepaści. Może mimo to spadną i poskręcają sobie karki, myślałam.

Nic z tego. Ostrożnie zeszły z półpiętra i ruszyły do Statystyki. Wbiegłam z powrotem na górę.

- Idą do Statystyki! - krzyknęłam do Bena.

Ben zniknął. Znowu zbiegłam ze schodów i zatrzymałam się w pół drogi. W rogu na podłodze, zdeptana i bardzo brudna, leżała różowa wstążka. Wspaniale, pomyślałam i podniosłam oczy. Zobaczyłam wściekłą Alicję Turnbull.

- Doktor Foster... - powiedziała z dezaprobatą.

- Niech zgadnę - przerwałam jej - żaden ze zdobywców Grantu Niebnitza nie uczestniczył w panicznej ucieczce ro-gacizny.

- Gdzie jest doktor O'Reilly? - zapytała ostro.

- Nie wiem. - Podniosłam sponiewieraną kokardę. - Nie wiem też, gdzie jest lider stada. Ani jaki projekt zdobędzie Grant Niebnitza. Jednak bardzo dobrze sobie wyobrażam, co te owce robią w Statystyce, więc jeśli mi wybaczysz... - przepchnęłam się obok niej na klatkę schodową.

Mogą nieźle narozrabiać, przynajmniej w moim laboratorium. Miałam nadzieję, że drzwi do innych pracowni są zamknięte.

Tak też musiało być, gdyż stado nadal znajdowało się w korytarzu. Na drugim końcu pojawiła się Gina wychodząca z pracowni Statystyki.

- Przerwa na toaletę! - zawołała, gdy tylko je zobaczyła, i dała nura ku drzwiom.

Ruszyłam między owce. Nachylałam się, podnosiłam im brody, szukając pyska z lekkim zezem, zawierającego nieco inteligencji.

Drzwi otworzyły się znowu.

- Jedna jest w toalecie - powiedziała Gina. Przemykała do mnie pod ścianą.

Wszystkie sprawiały wrażenie nieco zezowatych. Zerkalam niespokojnie na ich długie pyski, w puste oczy, stworzone do tego, by wypalać między nimi literę "n".

- Mam nadzieję, że nie ma ich w moim gabinecie - oznajmiła Gina i otworzyła drzwi.

- Zamykaj drzwi! - krzyknęłam. Za późno. Gruba owca już weszła do środka. - Zamknij! - krzyknęłam znowu i Gina posłuchała.

Pozostałe zwierzęta tłoczyły się i beczały przed gabinetem Giny, szukając kogoś, kto im powie, co robić, dokąd iść. Zatem w biurze Giny znajdowała się perednica.

- Zatrzymaj ją tam! - krzyknęłam przez drzwi. Tasiemka była za słaba na smycz, ale miałam w biurku lasso Davy'ego Crocketta, które mogłam wykorzystać. Ruszyłam ku swojej pracowni, zastanawiając się, co porabia teraz Ben. Prawdopodobnie Alicja opowiada mu o swym niebnitzowym pewniaku.

W gabinecie Giny rozległ się wrzask i drzwi się otworzyły.

- Uważaj! - krzyknęłam. Owca dała nura w stado, jak karta znikająca w talii. - Gino, czy zauważyłaś, dokąd poszła?

- Nie - odparła krótko. - Nie zauważyłam. - Trzymała zniszczone różowe pudełko. Z jednego rogu wystawał porwany tiul. - Zobacz, co ta owca zrobiła Barbie Romantycznej Pannie Młodej! - Gina wyciągnęła lok brunatnych włosów. - Ostatni egzemplarz w Boulder.

- Ostatni w całym Denver - poprawiłam i poszłam do pracowni Statystyki.

Teraz potrzebuję tylko Flip, pomyślałam, i choć wiedziałam, że się zwolniła, zdumiałam się, że jej tam nie ma. Natomiast byłałam owca, żująca w zamyśleniu dyskietkę. Wyszarpnęłam resztkę dyskietki z jej pyska, rozwarłam siłą wielkie

kwadratowe zęby, wyłowiłam pozostały kawałek i spojrzałam prosto w nieco zezowate oczy.

- Posłuchaj - powiedziałam, trzymając ją za szczękę. - Więcej dziś nie zniosę. Straciłam pracę. Straciłam jedyną osobę, która nie zachowuje się jak owca. Nie wiem, skąd się biorą mody, i nigdy się nie dowiem. I naprawdę mam tego dość. Pójdź za mną, i to natychmiast.

Rzuciłam kawałki dyskietki na podłogę, odwróciłam się i wyszłam z pracowni.

I musiała to być perednica, gdyż podreptała za mną przez dwa piętra na Biologię, a potem przez pracownię na wybieg, tak jak jagnię za Mary. A pozostałe owce za nią, machając ogonami.

Strusie pióra (1890 - 1913)

Edwardiańska moda inspirowana przez teorię Karola Darwina i powszechne zainteresowanie historią naturalną. Barwione na rozmaite kolory pióra noszono we włosach, na kapeluszach, robiono z nich wachlarze, a nawet miotełki do kurzu. Pokrewna mania polegała na przyczepianiu do kapeluszy i sukien jaszczurek, pajaków, ropuch i stonóg. W wyniku tej mody strusie w Egipcie, Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie wybito w polowaniach. Mania powróciła w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Noszono wtedy minispódniczki, peruki i czapeczki ze strusich piór zabarwionych na jaskrawo-pomarańczowo i różowo.

Zadzwoiłam do Billy'ego Raya, by zabrał owce.

- Natychmiast wysyłam Miguela z ciężarówką - powiedział. - Sam nie mogę, bo muszę jechać do Nowego Meksyku, porozmawiać z pewnym ranczerem o strusiach.

- O strusiach?

- To najnowszy trend. Reba hoduje pięćdziesiąt sztuk na pastwisku koło Gallup. Strusie steki idą jak woda. Mają mniej cholesterolu niż kurczaki i są smaczniejsze.

Jedna z owiec znów utknęła w rogu ogrodzenia. Patrzyła bezmyślnie na słupek w płocie, jakby nie miała pojęcia, skąd się tam wzięła.

- Poza tym można sprzedawać pióra, a skórę wyprawiać na portmonetki i buty - dodał Billy Ray. - Reba powiada, że to zwierzę hodowlane lat dziewięćdziesiątych.

Owca bodnęła słup kilka razy, a potem dała spokój i stała becząc. Piękna ilustracja ogólnej zasady.

- Przykro mi, że nie udało się z owcami - rzekł Billy Ray. Mnie też, pomyślałam.

- Wychodzisz poza zasięg - powiedziałam - Nie słyszę cię. - I odłożyłam słuchawkę.

Od owiec można się wiele nauczyć. Poszłam w róg zagrody.

- Musisz się odwrócić. - Włożyłam dłonie pod brodę i zad owcy. - Musisz pójść w drugą stronę.

Obróciłam ją na siłę. Natychmiast zaczęła się paść.

- Przyznaj, że to nie ma sensu, i spróbuj czego innego - powiedziałam i wróciłam do laboratorium. Była tam Shirl.

- Gdzie jest doktor O'Reilly? - spytałam.

- Minutę temu rozmawiał z doktor Turnbull - odparła.

- Aha. - Wróciłam do swego gabinetu, by pisać sprawozdanie dla Dyrekcji.

"Sandra Foster: Sprawozdanie z przebiegu badań" - wklepałam na oszczędzoną przez owcę dyskietkę.

Cele projektu:

1. Ustalić, co powoduje mody i trendy.
2. Ustalić źródła Nilu.

Wyniki projektu:

1. Nie ustalono. Możliwe, że ma z tym coś wspólnego szczurołap z Hamelin. Albo Włochy.
2. Ustalono. Jezioro Wiktorii.

Sugestie dotyczące dalszych badań:

1. Wyeliminować akronimy.

2. Wyeliminować zebrania.
3. Zbadać efekt manii antynikotynowej na zdolność jasnego myślenia.
4. Czytać Browninga. I Dickensa. I całą klasykę.

Wypuściłam to na drukarkę, potem zabrałam płaszcz oraz niemodną torbę i poszłam do Dyrekcji.

Była tam Shirl. Kierowała maszyną do czyszczenia dywanów. Dyrekcja odkurzała zepchnięte w róg biurko.

- Niech pani nie wchodzi na dywan - powiedziała Dyrekcja, gdy przekroczyłam próg pokoju. - Jest mokry. Podeszłam z chlupotem do biurka.

- Wszystkie owce są na wybiegu. - Przekrzykiwałam hałas parowego odkurzacza. - Mają być zabrane z powrotem. Załatwiłam to. - Wręczyłam Dyrekcji swoje sprawozdanie.

- Co to takiego?

- Chciał pan ponownie ocenić cele mego projektu - powiedziałam. - Ja również.

- Co to jest? - Dyrekcja nachmurzyła się nad kartką. - Szczurołap z Hamelin?

- Utwór Roberta Browninga - wyjaśniłam. - Zna pan tę historię. Szczurołap zostaje najęty, by uwolnić miasto od szczurów. Wykonuje swe zadanie, lecz miasto odmawia mu zapłaty. "A jeśli chodzi o naszą korporację - to szokujące".

Za biurkiem Dyrekcja rzuciła się w tył.

- Czy pani mi grozi, doktor Foster?

- Nie - powiedziałam zdziwiona. - "Obrażeni przez leniwego gbura?" - zacytowałam. - "Grozisz nam, chlystku? Któż się ciebie złąknie? Dmij w swój instrument, dopóki nie pęknie". Powinien pan czytać więcej poezji. Można się z niej wiele nauczyć. Czy ma pan kartę biblioteczną?

- Biblioteczną...? - powtórzyła Dyrekcja bliska apopleksji.

- Nie grożę panu - oznajmiłam. - Czemuż miałabym grozić? Nie wygoniłam żadnych szczurów ani nie znalazłam przyczyny manii krótkich fryzur. Nie udało mi się nawet zlokalizować szczurołapa.

Przerwałam. I tak jak zeszłego wieczoru, gdy stałam w kolejce do kasy z nieboszczką Barbie Romantyczną Panną Młodą, poczułam, że znajduję się na krawędzi czegoś ważnego.

- Czy według pani HiTek to szczur? - spytała Dyrekcja, a ja uciszyłam ją niecierpliwym machnięciem dłoni, próbując skupić się na swej uciekającej myśli. Szczurołap.

- Czy chce pani powiedzieć... - ryknęła Dyrekcja, a moja myśl przepadła.

- Chcę powiedzieć, że zatrudnił mnie pan do źle postawionego problemu. Nie powinien pan poszukiwać sekretu, który zmusza ludzi do podążania za manią, powinien pan szukać sekretu, jak zmusić ludzi do samodzielnego myślenia. Gdyż o to właśnie chodzi w całej nauce. A ponieważ następna mania może okazać się niebezpieczna, niewykluczone, że ocknie się pan dopiero razem z resztą stada, już spadając w przepaść. Nie, nie, nie potrzebuję eskorty w drodze do laboratorium. - Otworzyłam torebkę, by mógł zajrzeć do środka. - Zwalniam się. "Hen tam po zbocz, przez poranek" - i z chlupotem poszłam z powrotem przez mokry dywan. - Do widzenia pani, Shirl! - zawołałam. - Może pani zawsze przyjść do mnie do domu i tam sobie palić.

Wyszłam, wsiałam do samochodu i pojechałam do biblioteki.

Kostka Rubika (1980 - 81)

Gra, do której używano sześcianu złożonego z mniejszych wielobarwnych sześcianów. Gdy się je obracało, powstawały rozmaite kombinacje. Celem łamigłówki (którą usiłowało rozwiązać ponad sto milionów ludzi) była taka rotacja fragmentów dużego sześcianu, by każda ściana miała jednolity kolor. Próg przyswajalności był tu nieco za wysoki - o czym świadczy kilkadziesiąt opublikowanych poradników - i moda zanikła, a wielu osobom ani razu nie udało się rozwiązać tej łamigłówki.

W bibliotece znowu dyżurowała Lorraine.

- Chce pani Twój anioł stróż może zmienić tve życie? - zapytała. Miała na sobie sweter wróżki i błyszczące klipsy w kształcie czarodziejskich różdżek. - Nadeszła również książka o krótkich fryzurach.

- Nie chcę jej - oznajmiłam. - Nie wiem, co spowodowało krótkie fryzury, i już mnie to nie interesuje.

- Znaleźliśmy tę książkę Browninga. Okazało się, że jednak ją pani zwróciła. Nasza asystentka organizatora mediów odłożyła ją na półkę z książkami kucharskimi.

Gdy już dotarłam do "Kwarka Keplera" i podałam swe imię kelnerce z obciętymi włosami i w mundurze, który prawdopodobnie nie był mundurem, powiedziałam do siebie: wi-

dzisz, sprawy wyglądają lepiej. Znaleźli Browninga, nigdy nie będziesz musiała czytać ogłoszeń osobistych, a Flip tu nie przyczłapie, nie zepsuje ci dnia i nie zostawi cię z nie zapłaconym rachunkiem.

Kelnerka dała mi stolik przy oknie. Widzisz, mówiłam sobie w duchu, nie usadziła cię przy wspólnym stole. Nie nosi taśmy samoprzylepnej. Stanowczo świat idzie ku lepszemu.

Nie czułam jednak tego. Czułam się jak bezrobotna. Czułam się jak zakochana w kimś, kto mnie nie kocha.

Jest całkowicie niewrażliwy na modę, powiedziałam sobie. Spójrz na to wszystko z dodatniej strony. Nie musisz się już zastanawiać nad przyczynami krótkich fryzur.

I dobrze, gdyż właściwie skończyły mi się pomysły.

- Cześć - powiedział Ben, siadając naprzeciwko.

- Co tu robisz? - spytałam, kiedy odzyskałam mowę. - Czy nie powinieneś być w pracy?

- Zwolniłem się - powiedział.

- Zwolniłeś się? Dlaczego? Myślałam, że masz zamiar pracować nad projektem doktor Turnbull.

- Masz na myśli statystycznie przemyślany, naukowo pożądanym, niebnitzowsko pewny projekt Alicji? Za późno. Grant Niebnitza już przyznano.

Nie wyglądał na zmartwionego z tego powodu. Nie wyglądał na osobę, która właśnie rzuciła pracę. Był podekscytowany, lecz opanowany, a zza grubych szkieł patrzył triumfująco. Zaraz mi powie, że zaręczył się z Alicją, pomyślałam.

- Przyznano? Kto go zdobył? - spytałam, by do tego nie dopuścić. - Trzydziestoosmioletni planista eksperymentów na zachód od Missisipi?

Ben przywołał kelnerkę.

- Czy macie do picia coś innego niż kawę? Kelnerka wywróciła oczyma.

- Nasz nowy drink. Chinatasse. Zupełna nowość.

- Dwie chinatassy - powiedział, a ja już czekałam, aż kel-

nerka przeegzaminuje go: kompletne czy śmietankowe, białe czy brązowe, pekińskie czy kantońskie, ale chinatassy miały widocznie niższy próg przyswajalności od cafe latte. Kelnerka odczłapała.

- To do ciebie - rzekł Ben i wręczył mi list.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - zapytałam, patrząc na kopertę. Nie miała żadnych napisów z wyjątkiem mego nazwiska.

- Flip mi powiedziała - oznajmił.

- Myślałam, że już jej nie ma.

- Powiedziała mi to już dawno. Powiedziała, że bardzo często tu przesiadujesz. Przyszedłem tu trzy czy cztery razy, w nadziei że na ciebie wpadnę, ale nigdy mi się nie udało. Mówiła, że szukasz facetów w ogłoszeniach osobistych.

- Och, ta Flip! - Potrząsnęłam głową. - Czytałam je, bo potrzebne mi były do badania trendów. Nie próbowałam... zachodziłeś tu?

Skinął głową. Już nie triumfował. Oczy za grubymi szklami spoważniały.

- Przestałem przychodzić parę tygodni temu, gdyż Flip mi powiedziała, że jesteś zaręczona z tym facetem od owiec.

- Od strusi - poprawiłam. - A mnie Flip poinformowała, że szalejesz za Alicją, że właśnie dlatego chcesz z nią pracować.

- Cóż, przynajmniej wiemy teraz, co oznacza to "n" na jej czole. "Nietaktowna". Nie chcę pracować z Alicją. Chcę pracować z tobą.

- Nie jestem zaręczona z facetem od owiec - wyjaśniłam. Coś mi się przypomniało. - Dlaczego kupiłeś sobie ten niebieski krawat?

- Żeby zrobić na tobie wrażenie. Flip mi powiedziała, że nigdy się nie wybierzesz ze mną na kolację, jeśli nie sprawię sobie jakichś nowych ubrań, a w sklepach mogłem znaleźć tylko ten okropny niebieski krawat. - Spojrzał nieśmiało. - Umieściłem także wiadomość w ogłoszeniach osobistych.

- Naprawdę? Co napisałeś?

- Niepewny siebie, źle ubrany teoretyk chaosu pragnie inteligentnej, wnikliwej, wyjątkowo zdolnej badaczki trendów. Musi być NK.

- NK?

- Naukowo kompatybilna. - Uśmiechnął się szeroko. - Ludzie robią zwariowane rzeczy, gdy są zakochani.

- Na przykład pożyczają stado owiec, by ktoś mógł kontynuować badania.

Kelnerka z łoskotem postawiła przed nami dwie szklanki, rozlewając na blacie chinatasse.

- Chcemy to na wynos.

Kelnerka głośno westchnęła i tupiąc odeszła z napojami.

- Jeśli mamy razem pracować, lepiej zacznijmy.

- Chwileczkę - powstrzymałam go. - Obydwoje przecież porzuciliśmy pracę.

- Ale HiTek chce nas zatrudnić z powrotem.

- Naprawdę?

- Wybaczylimy nam. - Skinął głową. - Mówią, że dostaniemy wszystko, czego potrzebujemy. Gabinety, pomocników, komputery.

- Przebaczyli nam owce i bierne palenie?

- Otwórz list. Otworzyłam.

- Przeczytaj. Przeczytałam.

- Nie rozumiem - rzekłam.

Obróciłam kartkę. Na odwrocie nie było nic. Znowu spojrzałam na kopertę. Widniało tam tylko moje nazwisko. Spojrzałam na Bena - znów wyglądał triumfująco.

- Nie rozumiem - powtórzyłam.
- Ani ja. Alicja widziała, jak otwierałem swoje zawiadomienie. Będzie musiała przeliczyć wszystkie swoje procenty. Znowu przeczytałam list.
- Zdobyliśmy Grant Niebnitza?
- Zdobyliśmy Grant Niebnitza.
- Ale my... nie jesteśmy... nie mamy...
- Właśnie. - Pochylił się nad stołem i nareszcie ujął moją dłoń. - Miałem taki pomysł, wiesz, mówiłem ci, że systemy chaotyczne można przewidzieć, mierząc wszystkie zmienne i obliczając iteracje. Sądzę, że Verhoest jednak miał słuszość. Działa tu jeszcze jeden czynnik. Ale nie jest to czynnik zewnętrzny, lecz coś, co już znajduje się w systemie. Pamiętasz, jak Shirl powiedziała, że perednica jest taka sama jak inne owce, tylko trochę chciwsza, trochę szybsza, zawsze nieco w przdzie? Może...
- ...zamiast motyli mamy perednicę w systemach chaotycznych? - dokończyłam.
- Właśnie. - Trzymał teraz obie moje dłonie. - I nie wygląda inaczej niż inne zmienne systemu, lecz to ona uruchamia iteracje, jest katalizatorem, jest...
- Pippą - dokończyłam, ściskając mu dłonie. - Jest taki poemat, Pippa przechodzi Roberta...
- Browninga - odpowiedział. - Dziewczyna śpiewa pod oknami różnych ludzi...
- I zmienia ich życie, a oni nigdy jej nie widzą. Gdybyś robił model komputerowy miasteczka Asolo, nawet byś jej w nim nie umieścił, ale ona jest tą...
- ...zmienną, która wprawia w ruch skrzydła motyla, siłą popychając iteracje, językiem spustowym języka spustowego, czynnikiem, który powoduje...
- ...że kobiety w Hongkongu strzygą się na pazia.
- Właśnie. Czynnikiem, który powoduje twoje manie. Po prostu...
- ...źródło Nilu.

Kelnerka wróciła z tymi samymi dwoma szklankami.

- Nie mamy kubków jednorazowych. Zanieczyszczają środowisko. - Postawiła szklanki i odeszła, tupiąc.
- Na przykład Flip - powiedział Ben po chwili zastanowienia. - Dostarczyła paczkę do złego adresata i w ten sposób cię poznałem.
- Między innymi - dodałam i znów miałam to uczucie, że jestem na krawędzi czegoś, że kostka Rubika wykonuje końcowe obroty.
- Chodźmy - rzekł Ben. - Chciałbym zobaczyć, co się stanie, jeśli dodam perednicę do swoich danych z teorii chaosu.
- Poczekaj, chcę wypić swoją chinatasse, na wypadek gdyby miało się to okazać następną manią. I jeszcze coś... Nie przekazałeś jeszcze HiTekowi naszej decyzji, że zostajemy?
- Potrząsnął głową.
- Pomyślałem, że powiemy im o tym razem.
- Dobrze. Nie mów im, jeszcze nie. Chciałabym coś sprawdzić.
- Spotkajmy się więc w HiTeku za kilka minut. Dobrze? - powiedział i wyszedł.

Starałam się złapać poprzednią myśl. Coś na temat pociągów, a może autobusów. I coś, co powiedziała kelnerka.

Zamyślona pociągnęłam chinatasse i jeśli potrzebowałam znaku, że chaos znowu osiąga równowagę na nowym i wyższym poziomie, to właśnie go otrzymałam. Popijałam cudowną, aromatyczną mrożoną herbatę - napój jak w starej "Matce Ziemi".

Powinno mnie to zainspirować, nie mogłam jednak złapać idei. Myśl, że powinnam była wrócić

z Benem, wciąż mi przeszkadzała, jak również myśl, że - jeśli nie liczyć tamtych ćwiczeń wrażliwości i przypadkowego trzymania się za ręce - nigdy mnie nawet nie dotknął.

Widocznie jednak w naszym systemie operowało jakieś sprzężenie zwrotne, gdyż wrócił, przepchnąwszy się obok kelnerki, która chciała zapisać jego nazwisko, i postawił mnie na nogi. I pocałował.

- Dobrze - powiedział, gdy się rozdzieliliśmy.

- Dobrze - przyznałam bez tchu.

- Oho, ho! - zawołała kelnerka. - Poznała go pani przez ogłoszenia osobiste?

- Nie - odparłam, pragnąc, by nic już nie mówiła i by Ben pocałował mnie powtórnie - przez

Flip.

- Zapoznała nas ze sobą przednicą - oznajmił Ben i znowu objął mnie rękami.

- Oho, ho! - powtórzyła kelnerka.

Coueizm (1923)

Moda w psychologii zainspirowana przez doktora Emile'a Coue, francuskiego psychologa, autora książki Doskonalenie przez autosugestię. Metoda autosugestii Couego polegała na wiązaniu węzłów na kawałku sznurka i wielokrotnym recytowaniu: "Każdego dnia we wszystkim staję się coraz lepszy". Zanikła, gdy okazało się, że to oczywista nieprawda.

Przełomy naukowe dokonywały się pod wpływem najbardziej banalnych wydarzeń, na przykład widoku wzrastającego poziomu wody w wannie, powiewu bryzy, nacisku stopy na schodku. Ale nigdy nie słyszałam o przełomie wywołanym pocałunkiem.

Ten pocałunek poprzedzało jednak pięć ważkich tygodni wypełnionych chaotycznymi turbulencjami. Zaburzyły one wzorce myślowe, poruszyły i rozdzieliły zmienne. Wzorce i zmienne znowu się połączyły w nowe konfiguracje, nowe możliwości. I kiedy Ben objął mnie ramionami, było to jak stopione w jedno odkrycia penicyliny, pierścienia benzenowego i Wielkiego Wybuchu. Eureka do dziesiątej potęgi. Dotarcie do źródeł Nilu.

- Czy FLIP to jakaś grupa fanów? - pytała kelnerka.

- Raczej profanów - poprawiłam.

Patrzyłam znieruchomiła za odchodzącym Benem, zastanawiając się, jak mogłam być aż tak ślepa. Przecież wszystko jest zupełnie jasne: co powoduje manie, jak powstają odkrycia naukowe i dlaczego zdobyliśmy Grant Niebnitza.

- Czy do tego FLIP każdy może się zapisać? - pytała kelnerka. - Jestem już w grupie fanów cafe latte, ale nie ma tam żadnych fajnych facetów.

- Proszę o rachunek.

Wyjęłam dwudziestkę z portmonetki, wręczyłam kelnerce. Chciałam jak najszybciej wrócić do HiTeku i wprowadzić to wszystko do komputera.

- On już zapłacił - powiedziała, próbując zwrócić mi banknot.

- To dla pani. - Uśmiechnęłam się do niej. - Jesteśmy bogaci. Zdobyliśmy Grant Niebnitza!

Pośpieszyłam do HiTeku, wpadłam do laboratorium Statystyki i wywołałam swój program z modelem manii krótkich włosów.

Przypuśćmy, że manie tworzyły formę samoorganizującej się krytyczności, powstającej z chaotycznego systemu kultury masowej. I przypuśćmy, że tak jak na inne systemy chaotyczne, wpływał na nie jakiś przewodnik stada. Wyzwolenie kobiet, Irenę Castle, sporty na wolnym powietrzu, bunt przeciw wojnie - wszystko to potraktujmy po prostu jako zmienne systemu. Wymagałyby katalizatora, motyla wprawiającego je w ruch.

Zaczęłam analizować skupisko w Marydale w Ohio. Przypuśćmy, że to nie anomalia statystyczna. Przypuśćmy, że w Marydale mieszkała dziewczyna, dziewczyna taka jak wszystkie inne, z kłapiącymi klamerkami przy butach i pomalowanymi na czerwono kolanami, nieodróżnialna od reszty, tylko nieco chciwsza, nieco szybsza, nieco głodniejsza. Zawsze odrobinę przed stadem. Dziewczyna podkochiwała się w dentyście na drugim krańcu miasta. Pewnego dnia wkroczyła do fryzjera i nie mając

pojęcia, że rozpoczyna nową szaleńczą modę, że krystalizuje chaos w krytyczność, poprosiła, by obciąć jej włosy.

Załadowałam pozostałe dane z lat dwudziestych i wywołałam analizę geograficzną, i znowu w Marydale wystąpiła anomalia - dla opuszczonych pończoch i krzyżówek. Dla shimmy również; sam taniec narodził się w Nowym Jorku, lecz nie stał się manią, póki nie podchwyciła go ostrzyżona na pazia dziewczyna z Marydale w Ohio. Dziewczyna jak Flip. Motyl. Peredni-ca. Źródło Nilu.

Znowu wywołałam program graficzny i znowu wykreśliłam przebieg wydarzeń w HiTeku, poczynając od niewłaściwego doręczenia przez Flip paczki, aż do jej zabawy z rygłem przy furcie. Tym razem dołączyłam również Prowadzonych przez los, pud-ding chlebowy, ćwiczenia wrażliwości, taśmę samoprzylepną, gimnastykę Elaine, papierosy Shirl, chłopaka Sary, Barbie Romantyczną Pannę Młodą i rozmaite poziomy przyswajalności dla cafe latte.

Wszystkie zmienne, jakie zdołałam wymyślić, i każde z działań Flip, czy to związane ze sprawą czy nie, wszystko to wzbogacało system, wzmagając turbulencje i wiodąc nie do katastrofy - jak myślałam po ćwiczeniach wrażliwości - lecz do Grantu Niebnitza, do miłości, kompatybilności geograficznej i źródła krótkich fryzur. Do nowego, wyższego stanu równowagi.

Flip poczuła świąd i z tego powodu poszłam z Billym Rayem na kolację, a on oznajmił, że też czuje świąd, po czym opowiedział mi o owcach, o których ja z kolei przypominałam sobie, gdy Flip zgubiła formularz Bena.

Flip. Jej ślady - jak ostre obcasiki Barbie, jak echa głosu Pippy - znajdowały się wszędzie na scenie zbrodni. To ona powiedziała Benowi, że jestem zaręczona z Billym Rayem, ona nie skopiowała stron od dwudziestej dziewiątej do czterdziestej pierwszej, ona nauczyła przednicę, jak otwierać furtkę, opowiedziała Dyrekcji o palaczce Shirl, za każdym razem zwiększając poziom chosu, mieszając i rozdzielając zmienne.

Ekran wypełniły linie. Połączyłam je, wpuściłam równania iteracji i linie się splątały. Plątanina zacisnęła się w węzeł. Zgubiony zszywacz, Szczurołap Browninga, telefon komórkowy Bil-ly'ego Raya, postmodernistyczny róż. Flip rozproszyla petycje o zakaz palenia i Shirl wylądowała na parkingu w zamieci, skąd wzięłam ją do laboratorium Bena, gdzie obserwowała naszą szamotaninę z owcami, po czym powiedziała: "Potrzebujecie przednicy".

Ekran pociemniał, wydarzenia warstwami nakładały się na siebie, gęstniały od sprzężeń zwrotnych, a potem gwałtownie uformowały w nowy wzór. W piękną, złożoną strukturę z radykalną czerwienią i modrym błękitem.

Samoorganizująca się krytyczność. Naukowy przełom.

Przez chwilę siedziałam i przyglądałam się temu, podziwiając prostotę wzoru i rozmyślając o Flip. Myślałam się, "n" na jej czole nie było skrótem "niekompetencji" czy "niedouczenia". Czy nawet "nietaktu". Oznaczało "natchnienie". Flip, mimo wszystko, była właśnie Pippą, tylko nie śpiewała, lecz mieszała zmienne. Każdą petycją, każdą błędnie doręczoną paczką podnosiła poziom chaosu, aż system osiągnął stan krytyczny.

Myślałam także o penicylinie i Aleksandrze Flemingu w zatłoczonym, ciasnym laboratorium, zarzuconym stosami za-pleśniałych płytek Petriego. Instytut, w którym pracował, znajdował się w samym środku chaosu - na ruchliwej ulicy, w pobliżu dworca Paddington. Dodać jeszcze do tego trzeba wakacje, sierpniowy upał, nowego asystenta, dla którego Fleming musiał zrobić miejsce, i wszystkie te szczegóły-dopływy, takie jak ojciec ogrodnik i drużyna strzelecka. W szkole Fleming należał do zespołu, który rozgrywał mecz polo ze Szpitalem Świętej Marii. Trzy lata później, gdy przygotowywał się do szkoły medycznej, wybrał Świętą Marię, ponieważ tę nazwę pamiętał. Zbierzcie to wszystko i jeszcze dołóżcie sadzę wpadającą przez otwarte okno, a otrzymacie prawdziwy bałagan. Ale czy rzeczywiście?

David Wilson nazwał odkrycie penicyliny "jednym z najszcześniejszych przypadków, jakie kiedykolwiek miały miejsce w przyrodzie". Ale czy rzeczywiście? Czy też może penicylina czekała na odkrycie, a system był tak chaotyczny, że aby pchnąć go poza krawędź samoorganizującej się krytyczności, wystarczył zarodek wlatujący przez otwarte okno? Jak pieśń Pippy.

Poincare sądził, że myśl twórcza jest bodźcem dla chaosu wewnętrznego, pozwalającym

osiągnąć wyższy stopień równowagi. Czy jednak ten chaos musi być "wewnętrzny"?

Nagrałam wszystko na dyskietkę, wepchnęłam ją do kieszeni fartucha i zeszłam do Biologii.

- Ben, chciałabym cię o coś zapytać. O twoją teorię chaosu z przednica. Czy doszedłeś do niej stopniowo, czy też może uderzyła cię nagle?

Zmarszczył czoło.

- I tak, i tak. Myślałem o Verhoeście i jego czynniku X, o tym, że może miał rację, i zacząłem się zastanawiać, jaką postać może przyjąć ten dodatkowy czynnik.

- I właśnie wtedy dostałeś jabłkiem w łeb? Potrząsnął głową.

- Przyszła do mnie Alicja i powiedziała, że jej badania wskazują, iż Grant Niebnitza zdobędzie teraz radioastronom i że Dyrekcja zwołuje następne zebranie, potem był ten uścisk uwrażliwiający, a po nim przez parę dni mogłem myśleć wyłącznie o tobie i o tym, że jesteś zaręczona z tym kowbojem.

- Hodowcą strusi - poprawiłam. - Przynajmniej od paru tygodni. Tak więc idee krążyły, ale czy pamiętasz, dzięki czemu to wszystko powiązałeś do kupy?

- Dzięki tobie - odparł. - Owce kłębiły się w holu przed Dyrekcją, a ty stwierdziłaś: "Wiem, że zrobiła to Flip". Shirly powiedziała, że jej już nie ma, a ty odparłaś: "Nieważne. W jakiś sposób ona stoi za tym wszystkim". Wtedy pomyślałem: "Nie, to nie ona. To przednica". I w tym momencie przypomniałem sobie, jak Flip opierała się na furtce wybiegu, jak podnosiła i opuszczała rygiel, i pomyślałem: "Przednica musiała nauczyć się od niej otwierać furtkę i poprowadzić pozostałe owce w ten chaos". To właśnie mnie uderzyło. Przewodnicy stad powodują chaos. To oni są tym niewidzialnym czynnikiem.

- Wiedziałam o tym. Muszę teraz czegoś poszukać. Tak właśnie myślałam. Jesteś cudowny. Zaraz wracam.

Pocałowałam go, by mieć natchnienie, i poszłam poszukać Flip.

Zapomniałam, że zwolniła się z pracy.

- Trzy dni temu - wyjaśniła Elaine w Kadrach. Na nogach miała parę czerenkowowskobłękitnych łyżworolek. - Wrotki -oznajmiła, podnosząc nogę, by je zademonstrować - dają znacznie lepszą kondycję niż wspinaczka i pozwalają na szybsze poruszanie się w biurze. Czy słyszałaś o Sarze i jej chłopaku?

- Zerwali ze sobą? - zapytałam.

- Nie. Pobrali się!

Zastanawiałam się nad implikacjami.

- Czy Flip zostawiła adres do korespondencji? - spytałam. - Lub powiedziała, dokąd wyjeżdża? Potrząsnęła głową.

- Powiedziała, by jej czek z wypłatą przekazać Desidera-cie z Zaopatrzenia, a ona to załatwi.

- Czy mogę zobaczyć jej teczkę?

- Akta pracowników są poufne - odparła, nagle stając się służbistką.

- Zadzwoń do Dyrekcji i zapytaj ich o pozwolenie. Powiedz im, że to ja chcę zajrzeć do teczki. Tak też uczyniła.

- Dyrekcja kazała dać ci wszystko, czego zechcesz - oznajmiła osłupiała i odłożyła słuchawkę. - Czy chcesz całą teczkę?

- Tylko spis jej poprzednich miejsc pracy. Podjechała do segregatora, wyjęła spis i ślizgiem wróciła do mnie, wykonując czyste hamowanie na palcach.

Znalazłam to, czego się spodziewałam. Flip pracowała w kawiarni w Seattle, a przedtem w Burger Kingu w Los Angeles.

- Dzięki. - Oddałam Elaine spis, a potem pomyślałam jeszcze o czymś. - Daj mi na minutkę jej

teczkę. - Otworzyłam ją i spojrzałam na pierwszą rubrykę: "Pełne nazwisko, imię i inicjał drugiego imienia".

Widniało tam: "Orliotti Philippa J."

Tatuaże (1691)

Ten rodzaj samookaleczania po raz pierwszy zdobył popularność w Europie w siedemnastym wieku. Podróżnicy przywieźli tę praktykę z mórz południowych. Powróciła w epoce edwardiańskiej, stając się szalem wśród wyższych sfer. Jennie Jerome, matka Winstona Churchilla, miała węża wytatuowanego wokół przegubu. Tatuaże zyskały popularność podczas drugiej wojny światowej wśród żołnierzy służby czynnej, zwłaszcza marynarzy, potem znowu w latach sześćdziesiątych, jako element ruchu hippisowskiego, i jeszcze raz w późnych latach osiemdziesiątych. Tatuaże mają pewną wadę - mania przemija, skutki pozostają.

Zapisałam nazwisko Flip i zanotowałam sobie, żeby znaleźć nazwisko panińskie jej babki i sprawdzić, czy mieszkała w pobliżu Marydale, w Ohio w roku 1921. Następnie poszłam do Zaopatrzenia.

Desiderata nie mogła znaleźć adresu Flip.

- Mówiła, że jedzie gdzieś do Arizony - oznajmiła, szperając wśród gumek. - Chyba do Albuquerque.

- Albuquerque jest w Nowym Meksyku - sprostowałam.

- Och. - Zmarszczyła czoło. - Więc może do Fort Worth. Tam, dokąd on pojechał.

- Kto taki? Wywróciła oczyma.

- Ten dentysta.

Oczywiście. Wyraźnie zaznaczył, że zależy mu na kompatybilności geograficznej.

- Może powiedziała Shirl. - Desiderata grzebała teraz w ołówkach.

- Myślałam, że Shirl wyrzucono za palenie na wybiegu.

- Uhm. Zwolniła się - poinformowała mnie Desiderata. - Oświadczyła, że odejdzie natychmiast, jak przyjmą nowego dyrektora ułatwień przesyłania wiadomości do miejsc pracy. Dziś rano właśnie kogoś zatrudnili, więc możliwe, że już jej nie ma.

Jeszcze była. Przed odejściem reperowała kopiarkę, ale Flip jej również nie mówiła, dokąd jedzie.

- Wspomniała coś, że ten Darrell przenosi swą praktykę do Prescott - wyjaśniła, pochylając się nad podajnikiem papieru. - Słyszałam, że pani i doktor O'Reilly zdobyliście Grant Nie-bnitza. To cudowne.

- Istotnie. - Obserwowałam, jak wyrywa zaklinowaną kartkę papieru z podajnika. Na palcach nie miała plam po nikotynie. - Szkoda, że nie wiem, kto daje ten grant. Chciałabym coś im powiedzieć.

Shirl wepchnęła podajnik na miejsce i zamknęła wieko.

- Jestem przekonana, że komitet woli pozostać anonimowy.

- Jeśli to w ogóle jest komitet - zauważyłam. - Komitety nie nadają się do utrzymywania sekretów, a nawet doktor Turn-bull nie zdołała nic wyszperać. Sądzę, że to jedna osoba.

- Jedna bardzo bogata osoba - odparła, głosem już nie chrypiącym.

- Właśnie. Ktoś hojny, kto myśli samodzielnie i chce, by inni też to robili. Kiedy rzuciła pani palenie?

- Flip mnie nawróciła - odparła. - Brudny nałóg. Szkodliwy dla zdrowia.

- Uhm - ciągnęłam. - Ktoś wyjątkowo kompetentny....

- A propos - przerwała mi - czy już widziała pani następczynię Flip? Dzięki takim spotkaniom człowiek się cieszy, że już tu nie pracuje. Sądziłam, że niemożliwe jest zatrudnienie kogoś gorszego od Flip, lecz Dyrekcji się to udało.

- Ktoś wyjątkowo kompetentny - powtórzyła patrząc na nią uparcie. - Kto podróżuje po kraju jak Diogenes i szuka naukowców, których okoliczności predestynują do odkrycia naukowego. Ktoś, kogo nikt by nie podejrzewał.

- Ciekawa teoria - rzuciła zdawkowo Shirl, umieszczając papier pośrodku szklanej płyty. - Co chciałaby pani powiedzieć tej osobie? Jeśli zachowuje incognito, to znaczy, że prawdopodobnie nie pragnie podziękowań. - Nacisnęła guzik i zaczęła opuszczać pokrywę.

- Och, nie miałam zamiaru dziękować - oznajmiłam. - Miałam zamiar jej powiedzieć, że ma absolutnie złe podejście do sprawy.

Światło kopiarki błysnęło oślepiająco. Shirl mrugnęła.

- Sądzi pani, że do Grantu Niebnitza wybiera się złych zwycięzców?

- Tu nie chodzi o ludzi, których pani wybiera. Chodzi o sam grant. Milion dolarów oznacza, że uczony może rzucić pracę, zorganizować własne laboratorium i pracować nad swym tematem w ciszy i spokoju.

- A czy to źle?

- Niewykluczone. Weźmy na przykład Einsteina. Odkrył swą teorię względności, gdy pracował w niepozornym biurze patentowym, pełnym papierów i gadżetów. Kiedy próbował pracować w domu, było jeszcze gorzej. Wszędzie wisały mokre pieluchy, na kolanie piszczalo niemowlę, jego pierwsza żona wrzeszczała.

- I to właśnie są dla pani idealne warunki do pracy?

- Niewykluczone. A jeśli ciasnota, hałas i mokre pranie zamiast przeszkadzać stworzyły razem warunki, w których wykrystalizowały się nowe idee? - Podniosłam dwa palce. - Tylko dwóch zdobywców Grantu Niebnitza dokonało znaczących odkryć naukowych. Dlaczego?

- Odkryć naukowych nie produkuje się na żądanie. Są owocem długich lat ciężkiej pracy...

- I szczęścia. I luźnych skojarzeń. Wiatr przesuwany Gal-waniem żabie nóżki do ogrodzenia i zamykający obwód, dłoń umieszczona na drodze promieni katodowych, spadające jabłko. Fleming. Penzias i Wilson. Kekule. Odkrycia naukowe polegają między innymi na łączeniu idei, których nikt wcześniej ze sobą nie skojarzył. Systemy chaotyczne tworzą pętle sprzężenia zwrotnego, mające tendencje do randomizowania elementów systemu, do ich przemieszczania, do zaburzenia ich tak, że znajdują się nagle obok elementów, z którymi nigdy się nie kontaktowały. Systemy chaotyczne dążą do zwiększenia chaosu, lecz nie zawsze. Czasami stabilizują się na wyższym poziomie porządku.

- Archimedes - powiedziała Shirl.

- I Poincare. I Roentgen. Wszystkie ich pomysły wychynęły z sytuacji chaotycznych, a nie z ciszy i spokoju. Gdyby tylko możliwe było wywołanie chaotycznej sytuacji, a nie bierne oczekiwanie na nią... To taka luźna idea, lecz wyjaśnia ona, dlaczego dziesiątki uczonych przeprowadzało doświadczenia z wyładowaniami elektrycznymi w gazach, lecz nigdy nie wykryli promieni X. To wyjaśnia, dlaczego tak wielu odkryć dokonali naukowcy pracujący poza swoją dziedziną. Dlatego właśnie wybieracie "okolicznościowo predestynowanych", dlatego wybieracie ludzi pracujących poza swoją dziedziną, ponieważ wiecie, jak to działa, nawet jeśli nie wiecie dlaczego. Oczywiście, to tylko pomysł. Lecz pasuje on do teorii Bennetta na temat efektu perednicy. Muszę mieć znacznie więcej danych i...

Shirl uśmiechała się dość pogodnie.

- I myśli pani, że w ogóle nie mam racji? - Pochyliła się, by wyciągnąć z maszyny kopię. - Ciekawa teoria - dodała, pod-

nosząc stos papierów. - Jeśli kiedyś natknę się na tego, kto daje Grant Niebnitza, z pewnością mu to przekażę. - Ruszyła ku drzwiom.

- Do widzenia. - Pocałowałam ją w ogorzały policzek.
- A to znowu za co? - burknęła, trąc policzek dłonią.
- Za naprawienie kopiarki - wyjaśniłam. - Och, jeszcze coś!
- zawołałam za nią. - Kto to był ten Niebnitz, patron Grantu?
- Alfred Taylor Niebnitz - odparła, nie odwracając głowy.
- Mój nauczyciel fizyki w szkole średniej.

Tablica ouija (1917 - 18)

Gra parapsychologiczna, mająca na celu przepowiadanie przyszłości. Gracze popychają wskaźnik wokół deski z literami i liczbami, odczytując odpowiedzi na pytania. Zapoczątkowana albo w Marylan-dzie w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku przez C.W. Ken-narda lub Wiliama i Isaaca Fuldów, albo też w Europie trzydzieści lat wcześniej. Nie zdobyła jednak szalonej popularności, aż do chwili gdy Ameryka przystąpiła do pierwszej wojny światowej. Powraca za każdym razem, gdy toczy się jakaś wojna. Popularna w czasie drugiej wojny światowej i konfliktu koreańskiego. Szczyt sprzedaży osiągnęła w latach 1966 - 67 podczas wojny wietnamskiej.

Teoria jest na tyle dobra, na ile dobrze przewiduje zjawiska. Mendelejew przepowiedział, że puste miejsca układu okresowego zostaną wypełnione pierwiastkami o pewnych właściwościach i masach atomowych. Późniejsze odkrycia galu, skandu i germanu potwierdziły jego hipotezę. Teoria względności Einsteina prawidłowo przewidziała odchylenie promieni świetlnych, co sprawdzono podczas zaćmienia słońca w 1919 roku. Teoria dryfu kontynentalnego Wegenera została poparta przez wykopaliska i fotografie satelitarne. A penicylina Fleminga ocaliła życie Win-stonowi Churchillowi podczas drugiej wojny światowej.

W teorii systemów chaotycznych jest podobnie, a ja i Ben z naszą ideą przedniczy nadal znajdujemy się we wczesnym stadium badań. Zaryzykowałabym jednak kilka prognoz.

W przyszłym roku w HiTeku przynajmniej dwukrotnie wymyślą akronimy, wprowadzą regulamin dotyczący strojów i każą, by pracownicy, trzymając się za ręce, pokrzepiali "dziecko w sobie".

Doktor Turnbull przez cały następny rok będzie próbowała przewidzieć beneficjentów Grantu Niebnitza, lecz bezskutecznie. Nauka nie działa w ten sposób.

Prorokuję pojawienie się nowych mód w Prescott w Arizonie lub w Albuquerque, albo Fort Worth. Boulder, Seattle i Los Angeles przestaną się liczyć jako ośrodki nowych trendów. Piętna na czołach rozrosną się, a nieć dentystyczna i fryzury na pazia, zwłaszcza fale Marcela, przeżyją swój triumfalny powrót.

W sprawach duchowych: skończą się anioły, a zaczną wróżki, zwłaszcza dobre wróżki, które mimo wszystko istnieją. Kupcy zrobią na tym majątek i stracą ostatnią koszulę, próbując przewidzieć następny szal.

Przewiduję ostry spadek w hodowli owiec, wzrost liczby ślubów i brak zmian w ogłoszeniach osobistych. Najpopularniejszym deserem na jesieni będzie keks ananasowy.

I w jakiejś firmie lub instytucie naukowym czy też w college'u zatrudnią urzędniczkę do roznoszenia poczty, o zbyt dużych kwalifikacjach, która ma nadwagę, nosi futro lub zawsze ma przy sobie Biblię, a tamtejsi uczeni niech lepiej sobie przypomną zasłyszane w dzieciństwie opowieści o dobrych wróżkach.

Gwałtownie zwiększy się liczba znaczących odkryć naukowych, a chaos, jak zwykle, będzie panował niepodzielnie. Żyjemy w czasach doniosłych wydarzeń.

Tego ranka spotkałam następczynię Flip. Poszłam do Statystyki wziąć swoje dane o krótkich fryzurach, a ona właśnie wychodziła z kopiami, ciągnąc za sobą czyjeś okólniki.

Miała lawendowe włosy ułożone w fontannę, wokół nich kilka zwojów drutu kolczastego. Nosiła koszulę do gry w kręgle, spodnie kolanówki, czarne panofle do stepowania. Usta umalowała na pomarańczowo.

- Czy jesteś nową urzędniczką do roznoszenia poczty? Wydeła pogardliwie pomarańczowe usta.
- Dyrektorem ułatwień przesyłania wiadomości do miejsc pracy - oświadczyła, podkreślając

każdą sylabę. - A w ogóle... co to panią obchodzi?

- Witaj w HiTeku. - Uścisnęłabym jej dłoń, gdyby nie miała na palcu pierścionka z drutu kolczastego.

Czasy doniosłych wydarzeń.

Spis treści

- [1. Początek. 3](#)
- [2. Strumyk. 19](#)
- [3. Dopływy. 39](#)
- [4. Bystrzyny. 55](#)
- [5. Główne koryto. 85](#)